



Grzegorz Sztoler | Ścieżki śląskie

Grzegorz Sztoler

Ścieżki śląskie godne wspomnienia

Wędrujemy, by odnaleźć samych siebie
potwierdzić prawdy według których
żyjemy
jakich uczyli nas ojcowie
Te śląskie ścieżki są drogą
jaką przebył autor przez
ostatnie lata
spotykając Ślązaków
z krwi i kości
ludzi
tej
ziemi

**Pszczyna | Bojszowy | Bieruń
2004**

Grzegorz Sztoler

Ścieżki śląskie
godne wspomnienia

Pszczyna | Bojszowy | Bieruń

2004

Książka została ujęta w programie realizowanym pod patronatem Ministra Kultury RP

Wydanie było możliwe dzięki wsparciu:
Starostwa Powiatowego w Bieruniu,
Urzędu Gminy w Bojszowach
i firmy Hydrobet Józef Chrobok z Międzyrzecza

Fotografie ze zbiorów **Alojzego Lysko, Franciszka Kocurka** i autora.

Projekt okładki — Żaneta Mikołajczyk
Skład i łamanie — Mariusz Mikołajczyk
Redakcja — Grzegorz Sztoler
Korekta — Teresa Siupka

F•RMA
STUDIO

Wydawca — **FORMA STUDIO**
41-500 Chorzów, ul. Karpińskiego 25/3
e-mail: forma@formastudio.pl

© Copyright by Grzegorz Sztoler, Pszczyna 2004
Wydanie pierwsze

ISBN 83-916422-1-6

Urodziłem się, by żyć	4
Pocztówki z wojny światowej	6
List z daleka	9
Mame, to twoja rodzina	10
Pszczyński skryba	12
Życie Zofii	14
Olga z Auschwitz	16
Janek Śpiewak	30
Koniec legendy	32
Mistrz czasu	35
Pieśń o Rajmundzie	36
Stalmachowa w Międzyrzeczu	38
Miał być księdzem, został urzędnikiem	40
Zakłète fotografie	42
Jak Niemcy do indyjskiej legii Ślązaka zaciągnęli	44
Szukanie Miarki	50
Ślązak z wyboru	54
Rzecz o waltorni	56
Sroka w Białej Wizytówce	58
Wolny człowiek	59
Zaklinacze pogody	66
Noc nad Świerczyńcem	68
Dęta z Goczałkowic	72
Szykowny kierownik	74
Wulkan księżnej Daisy	76
Amerykanie szukają korzeni	79
Samotność w Stalinogrodzie	94
Australia nie jest biała	96
Pieśń o Zarzeczu	98
Wieś sprawiedliwych	100
Słońce Katalonii	105
Listy do dalekiego kraju	111
Polną do nieba	116
Żywot Ślązaka poczwiwego	121
Poślowie	127

Urodziłem się, by żyć

Władysław Wuzik,
pszczyński poeta - powstaniec

*Przepiękny dzień, świeżą zielenią okryte łąki, pola
A lasy zapachniały iglastych drzew żywicą
By majestat dumna się patrzy topola...
Władze powstańcze wzywają Polaków pod broń
Nawet i rolnik rzuca swe pola, chatę i pług
Wszędzie rozbrzmiewa piosenka „na bój”
Pełne to wzruszeń nastały rozstania chwile
Do piersi ich tułą żony i matki
Ilu Was zginie?... powiedzcie ile?*

Urodziłem się w Załężu w Katowicach 7 maja 1901 roku w rodzinie Franciszka i Jadwigi z domu Famulok. Przez całe życie mieszkałem w Brzeźcach. 1 lipca 1920 roku zostałem zaprzysiężony na członka Polskiej Organizacji Wojskowej. Moją grupą dowodził Paweł Pachol i Karol Wrożyna z Mizero-wa. Wkrótce wybuchło drugie powstanie... Pamiętam nasze zbrojne wypadki do Żor i Pszczyny. Podczas walki z policją niemiecką na granicy Poręby i Brzeźc zginął jeden z ich policjantów. W czasie akcji plebiscytowej rozbrajałem z oddziałem niemieckie bojówki. Ostrzegłem też kilkakrotnie w nocy Polskiego Komisarza Plebiscytowego w Pszczynie.

Trzecie powstanie. Przydzielono mnie do I Kompanii I Batalionu II Pułku Pszczyńskiego (lotny). Walczyłem w kompanii dowodzonej przez Pawła Pacholą. Brałem udział w obronie Łazisk Średnich z wojskiem włoskim. Działo się to 3 maja 1921 roku. Zginął tam na moich oczach jeden z kolegów. 22 maja walczyłem w jednej grupie zwiadowczej pod Sosnowicami, skąd na wyraźny rozkaz się wycofaliśmy. W bitwie pod Siedlcami koło Kamienia zostałem ciężko ranny.

*A kule świszczą kłują by żąłem osy
Padają zabici, opatrunku błagają ranni
Jak pod Siedlcami 24 maja wczas rano
Gaśnie im życie stygnie krew wraz z łzami.*

Zabrano nas do niewoli. Rannych nie pomieściła obszerna sala gospody w Kamieniu. Dużo było zabitych. Przywieziono



mnie do Wrocławia, gdzie w szpitalu Braci Miłosiernych leczyłem się przez trzy miesiące. Potem przebywałem jeszcze w szpitalu Czerwonego Krzyża w Mysłowicach. Zwolniono mnie stamtąd na święta Bożego Narodzenia w 1921 roku. Kiedy w czerwcu 1922 roku gen. Szeptycki przejmował oficjalnie ziemię pszczyńską w imieniu Rzeczypospolitej brałem udział w banderze konnej. Pech chciał, że znowu złamałem lewą nogę. Ponownie trafiłem do szpitala. Nie byłem w pełni zdolny do podjęcia pracy, ale rok później w wyniku moich starań przyjęto mnie do wojewódzkiej policji. Tam byłem tylko rok i zwolniłem się na własną prośbę, gdyż nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Pracowałem na swoim rodzinnym gospodarstwie. Do chwili wybuchu II wojny byłem prezesem grupy powstańców śląskich.

*Więc nie wszyscy wrócili do rodzinnych swych chat
Choć długo czekała stroskana żona i matka
Na śląskiej ziemi w rozsianych grobach śpią już
Na darmo czekają w smutku bracia, siostry, kochanka
Nie wrócą nam żywi nigdy już, nie
A Śląsk swym rytmem tętni dalej.*

23 maja 1940 roku zostałem aresztowany i znalazłem się w Dachau. W sierpniu przeniesiono mnie do obozu koncentracyjnego w Oranienburgu – Sachsenhausen. „Pozdrawiam wszystkich, choć już po raz ostatni. Bywajcie zdrowi! Rodzice, siostry, bracia i wszyscy znajomi. O jedno was tylko proszę, a to: o modlitwę! Niech się dzieje wola Boża! Jestem zdecydowany na wszystko” – napisałem najbliższemu na odwrocie zdjęcia. Myślałem, że zostanę tylko na nim.

Z obozu zwolniono mnie 22 czerwca 1941 roku dzięki wstawiennictwu paru osób. Jedną z nich znała szefa gestapo w Katowicach ze szkolnej ławy. W Pszczynie chciano mi odebrać dopiero co uzyskane zwolnienie i wysłać do Oświęcimia. Przez długi czas musiałem meldować się na posterunku żandarmerii. Nie przeszkodziło mi to we wstąpieniu do AK. Ujawniłem się 5 kwietnia 1947 roku. Z chwilą kiedy wojska radzieckie weszły do wioski, zostałem komendantem miejscowego MO. Byłem członkiem Komisji Parcelacyjnej, przez pewien czas prezesem Samopomocy Chłopskiej...

Pamiętam, że ukrywało się u nas pięciu więźniów oświęcimskich. Mam nawet jakiś list...

Z listów nadesłanych...

„Drogi Panie Władysławie!

Taśmy filmowe nakręcone przez nas w Brzeźcach są w tej chwili wywoływane i jeszcze nie wiemy jak to wszystko wypadnie na ekranie... Chciałbym odwiedzić Pana zimą i zebrać jeszcze trochę materiału o wrześniu 1939 roku, ale głównie chciałbym dowiedzieć się o przemarszu więźniów oświęcimskich...

Redaktor Jacek Szopkiewicz, „Walka Młodych”, Warszawa.

Pocztówki z wojny światowej

„Wielce szanowny Panie,
Wielce mnie Pan zaskoczył, prawdę powie-
dziawszy tym wspomniałym darem, przeka-
zanym naszemu muzeum... Niewielu bo-
wiem znam powstańców śląskich, którzy
zachowaliby się tak jak Pan i oddali Swe
najcenniejsze pamiątki... Dziękuję również
za Pański zbiór wierszy, które otrzymaliśmy
za pośrednictwem p. inż. Stefana Boryse-
wicza z Warszawy... Dzięki takim relacjom
możemy dzisiaj odtworzyć wiele szczegó-
łów sprzed 60 lat i ukazać pełny obraz Po-
wstania... Niech się Pan nie denerwuje dro-
biazgami, ani złą wolą niektórych ludzi, bo
świata nie zmieni się...”

Zyta Zarzycka, kierownik Muzeum Czynu Po-
wstańczego w Leśnicy Opolskiej.

*Tragiczny zgon Stasi
Odeszłaś by cień przed żywym blaskiem słońca
Chce nas opuścić straszny Cię gnębił żal
Nie przebacze winnym do życia mego końca
Tej zemsty przysięgę wiatr niesie szemrząc w dal.*

Władysław Wuzik zmarł w Brzeźcach w wieku
76 lat. Zostały po nim wiersze...

*Nie błądź po ciemku
Nie błądź po ciemku, zagubisz się
Co Cię chłopczyku, tak do mnie rwie
Nie znajdziesz mnie, daremny trud
Nie kocham Cię, miłszy mi grób.
Tak więc nie czekaj, do domu wróć
I to na przełaj, swą drogę skróć
Nie znajdziesz mnie szczególnie dziś
Gdyż dziś to z innym zapragnęłam śnić
Nie dam swych nerwów na strzepy rwać
I na mych skrzypcach, po ciemku grać
Nie znajdziesz mnie daremny trud
Gdyż takich artystów, mam innych w bród.*



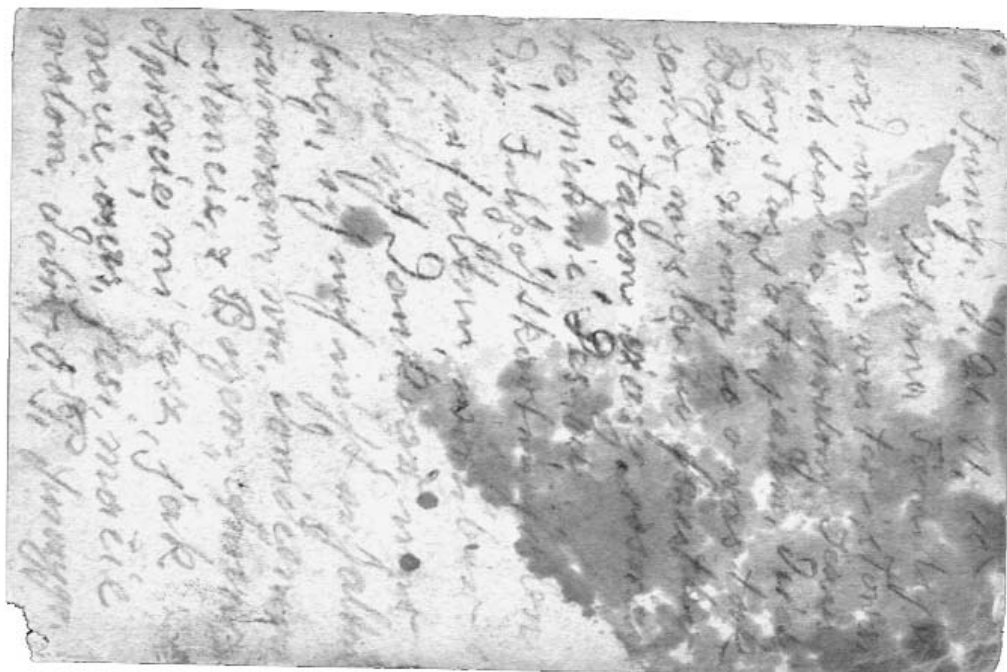
Zdarzyło się, że mieszkaniec Wisły Wielkiej Paweł Jurczyga trafił na front pierwszej wojny światowej. Tak pisał do żony Franciszki i dzieci, które pozostawił w domu: „Kochana Familjo, pozdrawiam was temi słowy niech bendzie pochwolony Jezus Chrystus, ja tu jezdem zdrowy co, myśla, isz wy tesz, jak bydziecie do piwnic suć żemiaki, to, potem, ot okienka, jak ty deski som wysoko, tak muszom tesz być żemiaki, ta szpara musi być frai co, by, potem, ta woda wam nie szła, do żemiaków, zryhtujcie se to dobrze, bo jeśli jo przyjadem, to wam to naryhtujem, pozdr. was P. Jurczyga.” List został wysłany 29 września 1915 roku z Legnicy. Wojna miała potrwać jeszcze parę lat i piszący te słowa nie mógł przewidzieć, że nie tak prędko powróci gospodarzyć. Paweł myślał pewnie, że wojna światowa prędko się skończy i spokojnie powróci do domu. Przynajmniej zdąży pomóc jeszcze rodzinie zbierającej akurat ziemniaki z pola. Dziwnie brzmi ta troska o zbiór ziemniaków w obliczu nadciągającej burzy dziejowej. Trzeba pamiętać, że dla tych ludzi

świat zaczynał się i kończył na domu. Troska o dom jest najważniejsza w mentalności Ślązaka. Trudno wymagać od człowieka, który mieszkał od urodzenia w swoim małym heimacie – miejscu zapomnianym, ale rodzinnym – że nagle zrozumie świat, który zaczął go przytłaczać. Zupełnie obcy mu do tej pory. 3 października 1915 roku prosi po niemiecku rodzinę o przysłanie 1/2 funta tytoniu i jednej pary skarpet. Późniejszy list nie zawiera już takiego optymizmu. 15 października pisał „dobrze nam jest dali, jak bendzie Bóg najlepiej wie. Kochane dzieci modlicie się za Ojca waszego, by nas Bóg do kupy słonczył.” 26 listopada 1916 roku przesyła kolejny list, tym razem z Westfalii: „Kochana Familjo! pozdrawiam was temi słowami niech bendzie pochwalony Jezus Chrystus, ja tu jestem, dzięki Bogu zdrowy co o was tak samo myśla tu, fszestko przistarem czasy rosmaite pieknie (...) ostańcie z Bogiem (...) odpiszcie mi tesz, jak macie czas, jeśli macie wolom dobro P. Jurczyga”. Paweł powrócił z frontu. Tego szczęścia nie miało kilkudziesięciu in-

ných mieszkańców Wisły, których z nazwiska wymienia miejscowa kronika parafialna założona przez ks. Franciszka Dobrowolskiego. Byli to: Jan Balcarek, Franciszek Balcarek, Walenty Balcarek, Paweł Chodzidło, Franciszek Chodzidło, Wincenty Chodzidło, Paweł Chrobok, Franciszek Chmiel, Ludwik Pietryja, Franciszek Przybyła, Augustyn Przybyła, Franciszek Klimek, Tomasz Klimek, Filip Klimek, Wincenty Klimek, Franciszek Kudek, Michał Kuś, Franciszek Kuś, Paweł Król, Paweł Kościelny, Franciszek Mańdok, Franciszek Garbocz, Augustyn Garbocz, Franciszek Szuster, Jan Szuster, Karol Szymoszek, Karol Pisz-

czek, Ludwik Szczypka, Józef Sinka, Franciszek Brudek, Andrzej Spek, Józef Szmajduch, Antoni Szmajduch, Jan Lazar, Jan Nowok, Franciszek Spek, Augustyn Brudek, Ludwik Kurzyca, Paweł Uszok, Jan Uszok, Józef Langer, Franciszek Laska, Franciszek Sojka, Paweł Skorupka, Franciszek Walecki, Jan Wala, Józef Wala, Franciszek Wala, Michał Wala, Ludwik Śmieja, Michał Wantuła, Tomasz Wantuła, Tomasz Trójca, Józef Wantuła, Jan Król, Franciszek Roesner, Franciszek Kudela, Tomasz Borski, Honkis.

Te kartki pisane ledwie mażącą kredką najlepiej oddają tragedię tych ludzi.



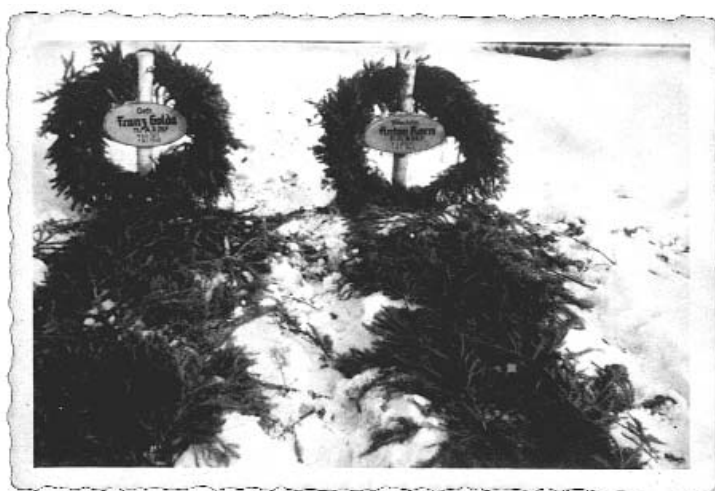
List z daleka

— Jak miał 19 lat wzięli go do niemieckiego wojska — wspomina swego nieżyjącego brata, Franciszka Goldę, jego siostra Jadwiga Gruszka. — Nie chciał iść. Policja go biła na posterunku w szkole. Musiał pójść...

Urodził się 6 czerwca 1921 roku w rodzinie Jana i Franciszki Golda. Mieszkał w niewielkiej wsi Brzeźce koło Pszczyny. Jego starszy brat Jan poszedł w 1933 roku za namową ks. Jerzego Franciszka Czembora do panewnickiego klasztoru ojców franciszkanów i zginął w czasie drugiej wojny w Jugosławii. Franciszek też zginął.

„Niżej podpisany nieznany żołnierz — pisał do rodziny jego kolega z wojska — ze smutnem sercem, chce Wam opisać, ten straszny cios, którym Bóg obciążył barki Wasze po stracie tak ukochanego Syna i Brata, Franciszka... Na pewno jest już Wam wiadomo, że ukochany Syn i Brat Wasz padł dnia 9 stycznia 1943 roku od bolszewickiej fliegerbomby. Naturalnie, że żył jeszcze zdaje mi się piętnaście minut. Razem z nim zginął jeszcze jeden przełożony i kilku ciężko, mniej rannych. Dziś dnia 11 stycznia 1943 roku odbył się pogrzeb...” List był długi i pełny współczucia. Podpisał go Ludwik Mandla.

— Chcieliśmy wiedzieć jak zginął, dlatego wysłaliśmy kolejny list — wspomina pani Jadwiga, ostatnia żyjąca z rodziny Goldów.



Mame, to twoja rodzina

Nadeszła odpowiedź: „... w tem nieszczęśliwym dniu brat pani, Franciszek, był we swoim kwatyrze, to jest drewnianym domu. I ta nieszczęśliwa bolszewicka bomba spadła pod samą ścianę tego domu, w którym się św. pamięci brat pani znajdował. Szplity od tej bomby przeszły balki tego domu i spowodowały śmierć tych dwóch niewinnych ludzi. Ten jeden był zaraz na śmierć zabity. A św. pamięci Franciszek został śmiertelnie raniony w brzuch i głowę. I nie wymówił już żadnego słowa. Bo był nieprzytomny aż do końca. Doktor był natychmiast na miejscu, ale nie było w tem wypadku żadnej pomocy...” Korespondent wyjaśniał, że relację o śmierci kolegi zna z opowiadań. „... Jam chciał jeszcze z nim mówić, ale niżej zdążyłem się oblec, to już odtelefonowali, że już nie żyje” — pisał.

— Dlaczego się nie ukrył — zapytywała rodzina nieznanego korespondenta.

„Łaskawa Pani! Jest dobrze mówić — czemu się nie skrył jak Pani pisze. Ale tu jest inaczej i ja ten nieukoiony smutek czuję razem z Panią. Ale niech Pani pamięta o tem że dziennie giną setki niewinnych ludzi.” — pisał miesiąc po pogrzebie Franciszka Ludwik Mandla.

Kim był kolega poległego Franciszka? — *Prosiłiśmy go o podanie adresu* — mówi pani Jadwiga — *ale chyba nie zdążył.*

Dopisek pod ostatnim listem: „Jeszcze mnie Pani prosi o mój adres. Na razie nie mogę tego uczynić, chociaż boli mnie samego serce nad tem, ale później uczynię to bardzo chętnie. W każdym razie jestem z Pszczyńskiego”. I tyle właściwie wiadomo o Ludwiku Mandli. Nie zdążył już nigdy podać swego adresu rodzinie Franciszka. Nie wrócił chyba do domu. W ten sposób umarła szansa na dowiedzenie się jeszcze czegoś bliższego.

Po Franciszku zostały zdjęcia i dwa listy z daleka. Listy z Rosji od przyjaciela, który też chyba nie powrócił z frontu. Czy żyje jeszcze jego rodzina?

— *Mame, jeśli będziesz w Europie, koniecznie, ale to koniecznie musisz zawitać do rodziny w Polsce* — nalegała Nadia Kostka z Argentyny, na matkę Marisę. — *Odnajdziesz coś, czego dotąd nie znałyśmy.*

Ojciec Marisy, Karol Kostka pochodził z Cielmic. — *Zawsze nastuchiwał wieści z Polski* — mówi Marisa. — *Żył nią. Kiedy zdałam sobie sprawę z tego, że on czekał całe życie na to, by być tu przez moment, zaczęłam płakać.*

Karol Kostka był w Polsce, w swojej cielmickiej ojcowiznie tylko raz – dwadzieścia pięć lat temu. Całe lata pisywał do starego kraju listy piękną przedwojenną polszczyzną, której nauczył się w Wilnie, gdzie studiował teologię. Naukę przerwała mu wojna. Weszli Rosjanie. Karol Kostka znalazł się na drugim końcu cywilizacji, na Syberii. Razem z wojskiem generała Andersa w 1942 roku opuścił niegościnnie kresy Związku Radzieckiego. Przebywał w Palestynie, a potem walczył pod Monte Cassino. Nie miał pojęcia, że po drugiej stronie, w klasztornych murach, walczy jego brat. Dowiedział się o tym dopiero po wojnie.

W Wenecji poślubił Mirandę, piękną dziewczynę ze słonecznej Italii, mamę naszej bohaterki. Razem postanowili po kilkuletnim pobycie w Anglii osiedlić się w Argentynie. Dlaczego tam, a nie na przykład w Kanadzie?

— *W tym czasie Argentyną rządził Peron, który wręcz sprowadzał europejskich imigrantów* — mówi Marisa. — *Tam było najłatwiej i najtaniej się osiedlić. Chociaż ojciec często żałował, że nie wyjechał do Kanady.* Marisa przyjechała do Polski po raz pierwszy w życiu. Jedyne, co wiedziała o tym kraju dało się zamknąć w paru słowach – zimno, komunizm, Wałęsa. Jej ojciec nigdy za wiele nie mówił o Polsce, o rodzinnych stronach, chociaż zawsze słał listy do dalekiego kraju adresując je: Górny Śląsk, Cielmice. Matka była bardziej rozmowna. Od niej Marisa nauczyła się włoskiego. Ojciec nigdy nie nauczył jej słowa po polsku. — *I think he was too lazy* — mówi Marisa. — *Był chyba zbyt leniwy, by tłumaczyć nam wszelkie reguły tego języka. W domu zawsze mówiło się po włosku.*

Marisa, córka Górnoślązaka i Włoszki, zakochała się we wszystkim, co hiszpańskie. — *Czuję się Argentynką, choć moi rodzice byli imigrantami* — podkreśla. — *Jestem zakorzeniona w Argentynie. Nie potrafiłabym inaczej żyć bez tego kraju. Nie umiałabym tak, jak mój ojciec rzucić ojczystego kraju i wyjechać.* W Cielmicach i Bieruniu Marisa odkryła, że ma dziesiątki kochających ciotek, kuzynów, wujków, o których mogła tylko pomarzyć. Znalazła swoje korzenie.

Pszczynski skryba

Po Franciszku Szczepańczyku, przedwojennym nauczycielu pszczyńskich szkół, pozostało kilkaset zapisanych zeszytów wspomnień, wierszy i powieści. — *Tata pisał je z prawdziwą pasją* — wspominają dzieci. — *Pisał je do samej śmierci. Ostatnie strony skończył na kilka dni przed odejściem.*

Na ziemię pszczyńską trafił w 1922 roku. Został kierownikiem szkoły w Jankowicach. Był też sekretarzem gminy. W latach trzydziestych wybudował szkołę powszechną w Czarkowie. Był kierownikiem w Piasku. Krótko przed wojną zamieszkał ze swą liczną rodziną (miał kilkanaścioro dzieci) w Pszczynie. Nie podpisał volkslisty, za co musiał ciężko pracować fizycznie. Nie zniechęciło go to do tajnego nauczania, co zawsze uważał za swoje powołanie. Pomagał też więźniom pszczyńskiej filii obozu koncentracyjnego.

Zostało po nim kilkaset zeszytów. Niektóre zaginęły, inne są inspiracją do nowych odkryć dla lokalnych badaczy dziejów. Dzięki niemu zachowały się wspomnienia Józefa Kassolika, przyjaciela lat młodości, którego namówił do przyjazdu w okolice Pszczyny. Kassolik został kierownikiem szkoły w Międzyrzeczu, a Szczepańczyk w Jankowicach. Często się odwiedzali. Kassolik przeżył wojnę, obozy koncentracyjne, niewdzięczność ludzką, ale pamięć o nim zachował

Szczepańczyk — przyjaciel. „Wspomnienia kolegi Kassolika mają dużą wartość historyczną — pisał Szczepańczyk, który pierwszy się na nich poznał. — Szkoda tylko, że pisanie są zbyt chaotycznie. Kolega Kassolik pisał je w różnym czasie, nie troszcząc się o kolejność następstw... Pisał je dorywczo.” To właśnie pszczyński skryba przepisał je ze świętą cierpliwością, porządkując chronologicznie.

— *Tatusz robił atrament z ołówków kopio-
wych* — wspomina Barbara Sojka. — *Zeszy-
tów też brakowało. Brał więc papier, odpo-
wiednio kroił i oprawiał. Introligatorstwa na-
uczył się w seminarium nauczycielskim
w Kętach.*

— *Tata pisał przy kuchennym stole nie zwa-
żając na to, że chłopcy biegają i hałasują
po całym domu. Uciszał ich stanowczym
głosem nie przerywając pisania* — wspomi-
na Sojka. — *Był bardzo dobrym ojcem.
Uczył nas wiary i pobożności. Pamiętam,
że kiedy był nauczycielem w jedynce za-
wsze robił uczniom paczki na święta.
Wszystko rozkładał w domu. Co ważne nie
zapominał o swoich dzieciach, choć było
nas kilkunastu. Każdy mógł liczyć na pre-
zent. Tatusz nigdy nas nie bił, nawet jeśli
coś przeskrobaliśmy. Miał niby w ręku*

*przedwojenną trzcinkę, ale wiedzieliśmy,
że jeśli ucałujemy go w rękę, przebaczy
nam. Nie uderzył nikogo. Dzieci były rozbry-
kane, bo wiedziały, że nie będzie bił. Pa-
miętam, że w niedzielę po południu chodził
z nami na spacer.*

Franciszek Szczepańczyk pisał listy. Zbierał i pisał wspomnienia. Jedną z powieści poświęcił jankowickim powstańcom. — *Kiedy tylko był na jakiejś uroczystości, a przyszło mu coś go głowy, od razu wyciągał kartkę, na której szybko coś notował* — mówią jego dzieci.

Po Franciszku Szczepańczyku zostało kilka-
set oprawionych zeszytów. Niemal każdy
z nich zapisany był kopiowym atramentem.
Każdy zeszyt zaopatrzony jest w kolejny nu-
mer. Na jego końcu jest spis treści. Autora
już nie ma. Pozostały rzędy mówiących jego
głosem liter.

Franciszek Szczepańczyk zmarł w 1987 ro-
ku, w wieku 96 lat. Jego imię nosi dziś ulica,
przy której leży szkoła podstawowa na Strzel-
nicy. Był jej kierownikiem. Doczekał się 84
wnuków i ponad stu prawnuków. Rozrzuceni
są po całym świecie. I trudno ich nie spotkać
w Pszczynie.



Życie Zofii

— *Niech pan spojrzysz na moje spracowane ręce — mówi Zofia Pomietlorz z Bierunia, która 21 marca 2001 roku dożyła stu lat. — Boże, ile ja wywiozłam mleka! Ładowałam trzy banie na rower i jechałam na dworzec kolejowy do Bierunia Starego. Dla młodej dziewczyny czterdzieści litrów to spory ciężar. Do pociągu pomogli mi się ładować konduktorzy. W Katowicach na mleko czekało kilku odbiorców. I tak dzień w dzień.*

W latach dwudziestych pani Zofia poznała męża, Karola, który pracował na poczcie w Bieruniu Nowym. Początkowo młodzi mieszkali u teściów, Pomietlorzów. Potem kupili kawałek pola i tuż przed wybuchem wojny zaczęli stawiać dom, w którym do dzisiaj mieszka rodzina. — *Własnymi rękami kopałam fundamenty. Pomagałam w murarce. Pamiętam, że wyrabialiśmy cegły z gliny. Przez całe życie pracowałam na gospodarstwie. Włóczyłam koźmi. Doiłam krowy. Nauczyłam się jeszcze za młodu sieć kosą. Ojciec dojeżdżał do pracy,*



a ktoś przecież musiał pomóc matce w prowadzeniu gospodarstwa – wspomina stulatka.

— *Babcia Zofia zawsze jest wesoła, uśmiechnięta* – podkreślają Barbara i Henryk Sajdokowie. — *Do teraz ludzie często wspominają ją w Bijasowicach i pytają o zdrowie. Na jej urodziny wybierze się chyba cała wieś.*

Pani Zofia jest najstarszą obywatelką Bierunia. Każdego roku gości u niej delegacja władz miasta z kwiatami. — *Jest tak od momentu powstania gminy* – dodają gospodarze.

— *Jestem dumna z tego, że mam tak wielką babcię* – uśmiecha się licealistka Karolina, prawnuczka Zofii Pomietlorz. — *Z jej wspomnień wiem, że żyło się jej naprawdę ciężko. Bardzo często opowiada o budowie rodzinnego domu.*

— *Do dziewięćdziesiątego roku życia jeździła na rowerze i pracowała na polu. Nie pytała nikogo czy mu pomóc. Po prostu, gdy widziała, że sąsiedzi zniwują, brała gra-*

bie i szła do roboty. Prowadziła własny ogródek. Lubiła szyć. Kiecki, które do teraz nosi, uszyła własnoręcznie. W domu stoi jeszcze gdzieś Singerka, maszyna do szycia – wspominają Sajdokowie.

Solenizantka kładzie się spać „z kurami”, ale wstaje bardzo wcześnie – już o godzinie piątej rano. Przed dziewiątą spożywa śniadanie, obiad o pierwszej, a kolację o osiemnastej. Nie gardzi kielichem dobrego wina. Bardzo lubi słodkości. Babcia Zofia, jak wspomina rodzina, zawsze piekła znakomite kołocze. Solenizantka jest bardzo religijną osobą. Przed wojną chodziła pieszo do oddalonego o kilkanaście kilometrów kościoła w Bojszowach. Do teraz czyta bez okularów katolicką prasę i ulubioną książkę o duszach w czyśćcu przywiezioną z jednej z pielgrzymek. Nie znosi telewizji. Nie słucha radia, bo lubi spokój. Denerwuje ją „buczenie” dobiegające z radioodbiornika.

Pani Zofia doczekała się sześciu wnuków, ośmiu prawnuków. Jej jedynym praprawnukiem jest czteroletni Szymon Sojka.



Olga z Auschwitz

- opowieść o więźniarce,
która zapomniała o wybaczeniach.
Dlaczego? Czy było to dla niej bolesne wspomnienie?

Pamięć Olgi

„Przemówili ci, którzy teraz milczą, a nie mogą powiedzieć więcej” — napisał Albert Einstein, światowej sławy fizyk, laureat Pokojowej Nagrody Nobla, w liście do Olgi Lengyel, więźniarki oświęcimskiego obozu dziękując za książkę „Five Chimneys” — „Pięć kominów”. Wspomnienia wydane w 1947 roku w Stanach Zjednoczonych zrobiły furorę. Książka Olgi była jedną z pierwszych, która opisywała mechanizm zagłady hitlerowskiego obozu, a także przerażające pseudomedyczne eksperymenty Josefa Mengele, zwanego Aniołem Śmierci. Więźniarka zaczęła ją pisać w maleńkich Brzeżcach koło Pszczyny w rodzinie Augustyna i Zofii Godziek, którzy pomogli jej przeżyć. Przez długie lata rodziny Godzków i Paszków z Brzeżc koło Pszczyny czekały na przysłanie książki o obozowych wspomnieniach Olgi Lengyel, którą uratowali od śmierci. — *To byłaby duża rzecz przeczytać o małych Brzeżcach w amerykańskiej książce* — mówił jeszcze w latach osiemdziesiątych Józef Paszek, który także pomagał Oldze. Książka jednak nie nadchodziła, a czas płynął. Wybawcom Olgi pozostały tylko wspomnienia. Amerykanka znalazła się w Brzeżcach w styczniu 1945 roku, kiedy przez wioskę przechodziły tysiące więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Olga razem z dwoma Żydówkami uciekły z konwoju śmierci i schroniły się w zabudowaniach gospodarczych Marii i Ludwika Paszków przy szosie na Pawłowie.

— *Jeden z więźniów ukrywających się w moim domu poinformował mnie, że w stodole są jacyś ludzie* — wspominał Ludwik Paszek. — *Udałem się tam i najpierw po polsku tłumaczyłem, że jestem miejscowym gospodarzem i proszę o wyjście. Dopiero, kiedy to samo powtórzyłem w języku niemieckim, ze stodoły wyszła więźniarka, która powiedziała, że wraz z dwoma koleżankami z Węgier prosi o ukrycie.*

Kiedy nadeszły ciemności, przewieziono je wozem, ukryte w sianie, do stodoły Godź-

ków. Uczyniono tak, bo dom Paszków leżący przy głównej trasie marszu, narażony był na częste postoje ewakuujących się Niemców. Poza tym Augustyn Godziek pracował w Landwache, lokalnej służbie porządkowej. Był więc poza podejrzeniami.

Gdy następnego dnia rano Godziek poszedł do stodoły po słomę, zdumiony znalazł zakopane w plewach Żydówki - Olgę, Magdę i Lożsikę. Ubrane były w cienkie paletka. Przyprowadził je do kuchni całe wystraszone i chude. Mówiły, że są Węgierkami. Augustyn dogadał się z nimi w łamanej niemiecku. W ciągu dnia miały nie pokazywać się w obejściu. Na noc zabierano je do izby, gdzie spały na siennikach z całą rodziną. Godźkowie początkowo nie mieli pojęcia skąd znalazły się u nich Żydówki. Dopiero kilka dni później Zofia, żona Augustyna, dowiedziała się, że Żydówki przewiózł do ich zabudowań Paszek. — *Pamiętam, jak podczas pobytu więźniarek przyszli do nas niemieccy żandarmi* — wspominała. — *Na szczęście nie zaglądali do pokoju, gdzie przebywały.*

— *Mieszkały w jednej izbie razem z moimi rodzicami* — opowiada Jadwiga Lazar. — *Jedna z więźniarek, Magda uszyła mi sukienkę. Węgierki bardzo rzadko wychodziły na zewnątrz. Najczęściej przebywały w domu. Olga często opowiadała o obozowych przeżyciach. Pamiętam, że zapisywała swoje wspomnienia w zeszytach.*

U Godźków Żydówki doczekały się wyzwolenia przez Rosjan. Kiedy tylko sowieccy żołnierze pojawili się w obejściu, przerażone więźniarki wpadły do piwnicy, gdzie ukrywali się mieszkańcy domu i sąsiedzi. Jedną z nich – Olgę, próbowano zgwałcić.

Żydówki wyjechały z Brzeż po dwóch miesiącach, kiedy niebezpieczeństwa ze strony Niemców już nie było. Augustynowi zostawiły adresy swoich rodzin i paczki listów – na wszelki wypadek. Prosiły, by w razie ich śmierci zawiadomił bliskich. W obawie przed stacjonującymi Rosjanami Godziek schował papiery w skrytce nad wejściem do

domu. Wilgoć sprawiła, że litery pisane atramentem się rozmyły. Listy stały się nieczytelne.

— *W 1947 roku nie mając od nich żadnego znaku życia, mój ojciec Ludwik napisał do szwagra Olgi w Rumunii* — wspomina Henryk Paszek. — *Otrzymaliśmy wiadomość, że Olga mieszka w Nowym Jorku. Napisała rok później. Podziękowała za uratowanie życia i obiecała przysłać dopiero co wydaną książkę. To był ostatni list Olgi. Nie odzywała się przez 33 lata. Wysłane do niej listy wracały z angielskim nadrukiem: „adresat nieznan”.*

Ludwik Paszek, jeden z pomagających Żydówkom, zmarł w 1974 roku. Zofia Godziek 13 lat wcześniej. 90-letni Augustyn umarł w 1979 roku, półtora roku przed przyjazdem Olgi. Nigdy nie dowiedzieli się, co stało się z Olgą, Magdą i Lożsiką.

Olga przyjechała do rodziny Godźków i Paszków dopiero w 1981 roku razem z prof. Stanisławem Leszczyńskim z Warszawy. Nie umiała odżałować, że Augustyn, Zofia i Ludwik nie żyją. Pozostało jej zrobić tylko zdjęcia przy grobach swych wybawców. „*Kochana rodzinko, było tak wielką przyjemnością dla mnie spotkać się z Wami po tylu latach, chociaż nie było między nami częstego kontaktu listownego... wiercie mi, że dzień nie przechodził bez wspomnienia Was wszystkich z uczuciem przyjaźni i nieograniczonej wdzięczności*”.

Z pobytu Olgi zachowało się osiem zdjęć. Przedstawiają one miejsca, w których się ukrywała razem z koleżankami. Drewniana stodoła Paszków, w której znalazły schronienie została rozebrana zaraz po wojnie. Zabudowania Godźków pozostały prawie nietknięte. Tym bardziej wspomnienia związane z ucieczką z marszu śmierci musiały poruszyć Olgę.

„*Bardzo tęskniłam za Waszymi Rodzicami i wierzyłam, że po tylu latach będzie mi dane dziękować im za uratowanie mnie i moich przyjaciół więźniów. Dałam wyraz moim*

uczuciom stojąc nad ich grobami, ale pamiętać ich będę jak długo będę żyła” – pisała Olga 30 lat po uratowaniu jej życia, po pierwszej wizycie w Brzeżcach w 1981 roku. „Napiszę o Was wszystkich w mojej nowej książce. Proszę Was podajcie mi Wasze nazwiska, wiek itd. W mojej poprzedniej książce (wydanej w 1947 roku – przyp. autora) pisałam o Was, ale w związku z sytuacją polityczną nie wiedziałam, czy chcecie abym podała Wasze nazwiska w amerykańskiej książce. Jeżeli teraz wyrażicie zgodę napiszę o naszym spotkaniu po trzydziestu kilku długich latach”. Książka ta jednak chyba nigdy nie powstała. Olga poza kolejną wizytą w 1983 roku już nigdy z nią nie dotarła do swoich przyjaciół w Brzeżcach.

Co działo się z Olgą?

To pytanie przewijało się najczęściej właśnie w rodzinach Paszków i Godzków przez całe 30 lat. W kwietniu 1948 roku pisała z Nowego Jorku: „Gdy Was opuściłam, pojechałam do Paryża przez Rosję, Turcję i Włochy. W Paryżu przebywałam 13 miesięcy pisząc książkę, którą zaczęłam jeszcze w Brzeżcach. Prześlę Wam jedną kopię. Myślę, że dojdzie za 3-4 tygodnie. Z Paryża dostałam się do Ameryki, gdzie w sierpniu 1947 roku ukazała się w języku angielskim. Każdego dnia opowiadam o przeżyciach w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, często wspominając o Was, jak ocaliliście mi życie. W mojej drugiej książce opiszę jak żyłam w Brzeżcach i jak dobrzy byliście.”

W 1956 roku Olga znalazła się na Kubie, ale gdy do władzy doszedł Fidel Castro, czym prędzej uciekła do Ameryki. Nie mogła jednak sobie nigdzie znaleźć miejsca. „Jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwa i cierpię więcej na wolności niż w niewoli obozu. Nie mogę zapomnieć moich rodziców, mego męża i moich dzieci. Moje przyjaciółki (tj. Magda i Lojzika – przyp. autora) są bardziej szczęśliwe, odnalazły własne rodziny. Żyję sama i tylko dla mojej pracy. Nie chodzę do

kina ani teatru. Myślę, że jestem równie nieżyjąca jak moja rodzina”.

To przerażające słowa oddające stan ducha Olgi, uczucie pustki i rozczarowania światem. „Nie wiem, co myślicie o przyszłości, ale ja nie jestem optymistką. Ludzie niczego nie nauczyli się przez tę wojnę. Bardzo się boję, że zacznie się to wszystko po raz drugi. Ameryka była bardzo daleko od tego niebezpieczeństwa, tych wszystkich okrucieństw. Nie mają pojęcia, jak wiele wycierpieli ludzie podczas tej wojny.”

Dlatego Olga napisała książkę o swoich przeżyciach i znalazła się na liście założycieli (m.in. obok Simona Wiesenthala) Memorial Library and Art Collection of Second World War, instytucji mającej upamiętnić holokaust narodu żydowskiego, w Nowym Jorku.

„Mój cały majątek znajduje się w Rumunii – pisała zaraz po wojnie. — Chciałam tam wrócić po moje rzeczy, ale nie otrzymałam paszportu. Myślałam, że będę miała przy okazji przyjemność odwiedzenia Was i podziękowania. Niestety nie jest to możliwe.” Olga jest rozgoryczona i to stanie się powodem długiej, korespondencyjnej przerwy. „Jak Wam się powodzi? – pyta uporczywie Godzków i Paszków. — Pisałam więcej razy, z Paryża i Ameryki jednak nie otrzymałam odpowiedzi... Nie chcę już więcej pisać, może następnego razu, gdy będę pewna, że mój list otrzymacie.”

Rozgoryczenia po przejściach w Auschwitz, utracie bliskich nie zrekompensują nawet drobne paczki z cymentem, pieprzem i rodzynkami przysyłane do dalekiego kraju. „Tu, w Stanach zarabiam tyle, że mogę żyć, ale wierzcie mi, że nie chcę żyć ani zarabiać więcej. Po co? Wiem doskonale, że pieniądze i tak nie mają żadnego znaczenia w życiu”.

Magda i Lojzika

Przyjaciółki Olgi były dwie: Magda, doktor chemii i Luiza (Lojzika – tak mówi moja babka Jadwiga), żona węgierskiego lekarza. Nigdy żadna z nich nie napisała słowa do swo-

ich wybawców. Magda prowadziła korespondencję z Olgą. Wszystkie pochodziły z Budapesztu. „*Po wyjeździe z Polski* — pisała Olga w lipcu 1984 roku — *poleciałam do Rumunii, gdzie ma być wydana moja książka po rumuńsku. Odwiedziłam również znajome miasto Cluj i tam dowiedziałam się z wielkim smutkiem o śmierci Luizy, którą ukrywał razem ze mną Wasz śp. Ojciec. Umarła tegoż dnia, kiedy ja leciałam z Nowego Jorku do Polski*”.

W drodze do Yad Vashem

— *Dziwię się, że pani Lengyel z własnej inicjatywy nie poczyniła żadnych starań, by pośmiertnie uhonorować moich zmarłych rodziców i zmarłych państwa Godzków* — podkreślał Henryk Paszek z Mikołowa, syn Ludwika, w liście do Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Warszawie w 1984 roku, na kilka miesięcy przed wizytą Olgi w Polsce. — *Podobno w Izraelu każda polska rodzina, która udzielała pomocy Żydom ma zasadzone drzewko.*

Drzewa sprawiedliwych jest w Yad Vashem kilkanaście tysięcy. Jedna trzecia z nich należy do Polaków. „Sprawiedliwi wśród Narodów Świata” mają prawo do symbolicznego posadzenia drzewka, za każde uratowane istnienie ludzkie. Godźkowie i Paszkowie uratowali trzy Żydówki.

O medale zaczął starać się Henryk Paszek, który jeszcze tego samego roku przesłał stosowną dokumentację do Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich. Odpowiedź nadeszła dopiero po 12 latach. „*Z satysfakcją powiadamiam, że Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów Holocaustu Yad Vashem w Jerozolimie na sesji w dniu 12 kwietnia 1992 roku przyznał medale „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” moim nieżyjącym rodzicom, Ludwikowi i Marii Paszek, jak i państwu Zofii i Augustynowi Godzkom oraz podpisanemu* — pisał Henryk Paszek z Mikołowa. — *Ale przyznając medale wspomniano o pani Jadwidze, która przesiadywała z Żydówkami w jednej izbie.*”

Milczenie

„*Powodem mojego długiego milczenia jest moja choroba, od chwili mojej operacji w październiku 1986 roku, ciągle moje zdrowie wymaga rehabilitacji* — pisała w lutym 1988 roku. — *Trzy ataki bólowe spędziłam w zeszłym roku w listopadzie i w grudniu w szpitalu. To uniemożliwia mi to tej pory podróż do Polski, którą planuję każdego roku. Zawsze chcę zobaczyć Wasze Rodziny i pojechać znowu do Auschwitz. Zwykle ludzie chcą powracać do miejsc związanych z przyjemnymi wspomnieniami. Zamiast tego moje okropne przeżycia w Oświęcimiu z niewytłumaczalnych psychologicznie przyczyn, ciągle skłaniają mnie do powrotu do Auschwitz znowu i znowu.*”

„*Jeżeli zrealizuję podróż w tym roku, chciałabym zorganizować w Auschwitz obiad rodzinny dla Wszystkich Was. Mam nadzieję, że macie się dobrze, i że otrzymam od Was wkrótce dobre wieści*” — napisała Olga w jednym z ostatnich listów. Było to w 1988 roku, cztery lata przed przyznaniem medali „Sprawiedliwych wśród Narodów Świata”. — *Nie przypominam sobie takiego rodzinnego spotkania z Olgą* — podkreśla Barbara Tomecka, córka Henryka Paszka z Mikołowa. — *Gdyby do niego doszło na pewno utkwiliby mi w pamięci.*

Olga nie przyjechała już do Polski. — *Profesor Stanisław Leszczyński z Warszawy rozmawiał ostatni raz z chorą więźniarką w 1991 roku. Próbowала jej szukać w Stanach przez znajomych księży, ale bezskutecznie. Nikt nie mógł odnaleźć Olgi* — opowiada Jaddwiga Lazar, która marzy o zasadzeniu drzewka na Wzgórzu Pamięci w Jerozolimie.

Szukanie Olgi

Od kiedy Olga, więźniarka obozu w Oświęcimiu uratowana przez dziadka Augustyna Godzka, przestała pisać listy, urwał się z nią kontakt. Nie wiedzieliśmy, co się z nią stało. Dzięki przyjaciółom w Stanach zlokalizowałam dwie osoby o tym nazwisku mieszkające w Nowym Jorku. Obie powinny już nie żyć.

Ale nie byłem tego pewny. Pisałem internetowe listy, e-maile do różnych instytucji, bibliotek w Stanach. Bez efektu. Jedne raczyły odpowiedzieć, że to nie ich sprawa. Inne nie odzywały się wcale. Te internetowe poszukiwania utwierdziły mnie tylko w jednym. Wspomnienia, które Olga zaczęła pisać w Brzeżcach weszły do klasyki literatury o holokauście. Każda pozycja, strona internetowa wymieniała książkę „Five Chimneys”. Szkoda tylko, że bez rzeczywistych imion i nazwisk bohaterów.

Podczas wirtualnych penetracji dotarł do mnie jeden ważny list. Napisał go Jo Davidsmeyer, który książkę Olgi – a właściwie jej fragment – przerobił na sztukę teatralną pt. „Anioł”. Z tego, co wiem, znali się z Olgą dosyć dobrze. Więźniarka była na premierze przedstawienia. Jo napisał, że Olga umarła niecały rok temu (a list od niego otrzymałem w maju 2002 roku). Padło tam kilka ważnych zdań:

„I am sorry to say that Olga passed away last summer. She had lived in Manhattan.

I had the honor to meet her several years ago on the occasion of "Angel" being produced at a local theater. She invited me to her home where we discussed her amazing life and her projects.

She was a remarkable woman.

Regards,

Jo Davidsmeyer”

Jakiś czas później zaciekawiony kupiłem we Wrocławiu biografię Józefa Mengele, hitlerowskiego Anioła Śmierci. To o nim zdaje się była ta sztuka. Mengele był doktorem w Oświęcimiu, ale tylko w złym znaczeniu tego słowa. Ofiary jego eksperymentów, w większości dzieci albo nie przeżywały, albo nie umiały się z nich „otrząsnąć” do końca życia. Zdaje się, że to samo spotkało Olgę, która mimowolnie była zmuszona do uczestnictwa w tych ponurych chwilach. Nie pomogła książka, która miała się stać przysłowiowym katharsis – oczyszczeniem. Zadra, wyrzuty sumienia, zaważyły na dalszym samotnym życiu więźniarki.



Wspomnienia Olgi były często cytowane w tej książce. Przypominałem sobie wtedy słowa mojej babki Jadwigi, która zawsze pragnęła przeczytać całość wspomnień po polsku. Niestety, nie byłem w stanie sprostać tym oczekiwaniom. Własnoręcznie przełożyłem, tylko tę część, która opowiadała o uwolnieniu i pobycie Olgi z przyjaciółkami w małej polskiej wiosce, czyli w Brzeźcach. Do dzisiaj stoi tam stodoła, dom i chlewy nietknięte upływem czasu. Tak jak zapamiętała je Olga.

Urządziłem też w Brzeźcach rodzinne spotkanie potomków Godzków i Paszków, rodzin którym Żydówki zawdzięczały ocalenie. Obejrzeliśmy film Telewizji Katowice nakręcony wkrótce po odbiorze w Katowicach medalu „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” przyznanemu Augustynowi Godzkowi. Babka Jadwiga mocno się wzruszyła wspomnieniami. Opowiadała jak więźniarka szyła jej sukienkę. Oprowadzała nas po miejscach, gdzie spały, wypoczywały. Zachowa-

łem na pamiątkę kasotę z nagraniem tego spotkania.

Okazało się, że żyjących spadkobierców tej oświęcimskiej sagi jest koło dwustu. W większości są to już pra, praprawnukowie ratujących. Ale najbardziej zainteresowane było pokolenie średnie, z lat 50. i 60. żyjące w rejonie Mikołowa. Potomkowie Henryka Paszka, zabiegającego o sprawiedliwość i uznanie zasług tych, którzy narażali życie mieli sporo pytań. Byli ciekawi, jak i gdzie ukrywano Żydówki. Miejsca, które znali z opowieści, nabrały dla nich realnych kształtów. Z ciekawością słuchali relacji z moich poszukiwań i muszę to przyznać, zdopingowali mnie do dalszych.

Ocalenie według Olgi

Jakiś czas potem dzięki przyjaciółom w Stanach sprowadziłem książkę Olgi do Polski. I przetłumaczyłem ów fragment, w którym Olga nie wymienia imion ani nazwisk swych wybawicieli. Brzmi on tak.



„Okrążeni przez strażników SS tworzyliśmy jedno wielkie stado wzdłuż drogi do Auschwitz. Panowało mroźne zimno, powietrze rozdzierało nasze łachmany. Z daleka rozbrzmiewały strzały. Strzelanina z potężnej broni stawiała się coraz głośniejsza; detonacje wydawały się być bliskie, ich bliskość potęgowało echo. Sporadyczne wybuchy rakiet rozświetlały niebo. Rosjanie najwidoczniej przygotowywali wielką ofensywę. Stawaliśmy się weselsi, gdy nocą nieboskłon rozdzierały połyskujące światła. Odległe stuki artylerii były najlepszą pożegnalną muzyką Auschwitz. Poganiiali nas szybciej i szybciej. Niemieccy strażnicy byli zaniepokojeni. Biczowali nas, by zmusić do biegu aż zupełnie nie czuliśmy zimna, a nasze ubrania były zupełnie mokre od potu. Psy jakby wyczuwały niebezpieczeństwo czyhające na ich panów, były w nerwowym napięciu. Błyskały kłami, warcząc i gotowe zaatakować każdego, kto oddalił się z kolumny. Obóz, który nie tak dawno płonął żarem utonął w mroku. Kilka godzin wcześniej chętnie maszerowaliśmy. Teraz z trudem posuwaliśmy się do przodu... Przez całą drogę nie słyszeliśmy ani jednego słowa poza przeklinaniem i wiecznym: „Stehen bleiben!“, Weiter gehen!“ (dalej w drogę). Komendanci byli zwykle zajęci ogłuszającym powtarzaniem chórom złożonym z tysięcy więźniów. Tak w kółko. Myślałam, że doprowadzi mnie to do szalu. Ale teraz słowa przerywane były łomotem pociągów. Już nie było chórów. Mogłam umrzeć, ale w tym momencie musiałam uciec. Martwiłam się o moje przyjaciółki, Magdę i Luizę. Były przerażone, ale podążały wytrwale za mną. Od czasu do czasu patrzyłyśmy na ziemię lub skulone za nami śnieżne wzgórza, by zbiec przed salwą, którą niemieccy żołnierze mogli wystrzelić. Na szczęście blask nie rozjaśnił jeszcze nieba. Wlokąc się, doszliśmy do zakrętu drogi. Dostrzegliśmy wieżę kościelną. Wiodła do niej nasza droga. Kiedy więc dotarliśmy do małej, polskiej wioski, ruszyliśmy w stronę kościoła.

Pewien człowiek stał w wejściu do świątyni. Po naszym głośnym zachowaniu poznał, że musimy uciekać, ale udał się do domu. Gestem dał do zrozumienia, że tam znajdziemy schronienie.

Tymczasem niemiecki patrol bezpieczeństwa zbliżył się do przykościelnego cmentarza. Kiedy ujrzeliśmy żołnierzy, pognaliśmy do tego domu. To był dosyć duży budynek. Blisko niego znajdowała się stodoła. Drzwi były zamknięte, ale w jednej ze ścian otwarty był przesmyk – jakby w tym momencie czuwała nad nami Opatrzność. Skierowaliśmy się tam skradając. Wspięliśmy na poddasze wypełnione sianem. Niemiecki patrol, który mógł zauważyć ślad naszej ucieczki, wpadł na podwórze. Ale na szczęście szukali kilkunastu chłopców. Pani domu zapewniła, że w obejściu nie ma obcych. Być może strażnicy zobaczyli jej trzech synów. Pomiędzy tego, Niemcy przetrzasnęli całkowicie dom. Wtedy zbliżyli się do stodoły. Jednak z niewytłumaczalnego powodu postanowili odwołać poszukiwania obiecując, że wrócą tu później wieczorem.

Przeżyliśmy trudny moment, gdy dziękując dobremu losowi za ocalenie, zauważyliśmy, jak służąca wspięła się na strych po siano i odkryła naszą obecność. Nadszedł jej szef. Zapewnił, że nie poinformuje Niemców, ale będziemy musiały się wynieść. Rozmowa trwała długo i w końcu gospodarz dał się ubłagać. Zgodził się na pozostawienie nas w stodole na noc, a w międzyczasie miał postarać się znaleźć nam inne schronienie. Jego żona, która była życzliwą kobietą, przyniosła jedzenie. Tak długo nie jadłyśmy normalnej żywności, że nie mogłyśmy jej poznać. Po chwili uświadomiłam sobie, że to zwykły wiejski chleb posmarowany smalcem. Tylko chleb ze smalcem w stodole, między wolnymi ludźmi. To była manna z Nieba.

Nasz gospodarz zbudził nas następnego dnia wcześniej rano. Podążyliśmy za nim do nowego miejsca ukrycia. Jednak ostrzegł nas, że jeżeli spotkamy niemiecki patrol, zignoruje nas, a my nie rozpoznamy jego.

Jego ostrożność okazała się uzasadniona. Niemiecki patrol minął nas po drodze. W tej samej chwili pojawiła się w powietrzu rakietą – najwidoczniej rosyjska – i powaliła na ziemię strażnika. Korzystając z zamieszania uciekłyśmy do domu, który był naszym następnym schronieniem.

Nasz nowy gospodarz pozwolił nam ukryć się w stajni. Ale następnego dnia zaprowadził nas do najlepszego pokoju z sypialnią. Tutaj właśnie starsza para, ich córka i Magda tłoczyli się w łóżku, podczas gdy ja z Luizą spałyśmy na podłodze. Byli tutaj zakwaterowani także niemieccy żołnierze. W tej samej okolicy przebywali aż do końca okupacji. Oczywiście nie było możliwości opuszczenia pokoju.

Pewnego poranka, kiedy myślałam, że Niemcy odeszli, posłam do kuchni upiec transylwańskie ciasto dla rodziny. Tak byłam zajęta, że nie spostrzegłam, kiedy niemiecki żołnierz nieoczekiwanie wszedł do kuchni. Przypatrywał mi się ze zdziwieniem i zaczął wypytywać, kim jestem i dlaczego nie widział mnie wcześniej. Powiedziałam mu, że jestem krewną, która właśnie przyjechała z wizytą. A moja matka jest chora i leży złożona chorobą w jednym z wiejskich domów. Do tej pory byłam zajęta opieką nad nią.

Tak czy inaczej żołnierz uwierzył mi i od tego czasu narzucił swoje wstrętne towarzystwo mnie i całej rodzinie. Czasami przynosił czekoladę. Pewnego razu przyjechał z kilkunastoma przyjaciółmi i zmusił mnie do wzięcia udziału w ich salonowych grach. Rodzina mojego gospodarza obserwowała ze współczuciem jak musiałam towarzyszyć mężczyźnie, do którego czułam odrazę i pogardzałam, bo należał do morderców moich bliskich.

Kanonada stawiała się coraz głośniejsza. Rosjanie posuwali się naprzód. Niemcy, którzy byli tu zakwaterowani otrzymali rozkazy i przygotowywali się do odwrotu. Widziałam, gdzie rozmieszczali miny. Byłam nawet świadkiem przedwczesnego wybuchu, który zabił dwóch żołnierzy. Od czasu mojej

rozmowy z jednym z niemieckich żołnierzy (którego poznałam w kuchni), wiedziałam, że uważają sytuację na froncie za ponurą.”

Prawda a fikcja

Wspomnienia Olgi dałam do przeczytania prof. Stanisławowi Leszczyńskiemu z Warszawy, wybitnemu radiologowi, który w latach 80. wspólnie z Olgą odnalazł rodzinę Godzków i Paszków. Jego relacja rzuciła jeszcze bardziej interesujące światło na spotkanie, które miało miejsce po kilkudziesięciu latach od zakończenia ostatniej wojny.

Otóż okazało się, że Leszczyński przyjechał do Brzeźca z Olgą przypadkiem. Tak się złożyło, że akurat wtedy, gdy Olga planowała wyjazd do Oświęcimia, otrzymał krótki urlop naukowy. Pojechał do Oświęcimia z Żydówką. Kiedy zwiedzali obóz zauważył, że Olga mniej czy bardziej świadomie nie poznaje swego bloku. Zwalił winę za to, na karb jej wieku. Niemniej wizyta po latach w obozie w Auschwitz wywołała odpowiednie wrażenie. Olga zapragnęła odpowiedzieć swoich wybawicieli. Leszczyński znakomicie wywiązał się ze swego zadania. Odnalazł miejscowość, do której normalnie Olga by nie trafiła (podpszczyńskie Brzeźce bardzo często mylone są z Brzeszczami koło Oświęcimia). — *Było mi przykro, bo nie kupiliśmy nawet bukietu kwiatów, a witano nas, a właściwie Olgę iście po królewsku* — wspomina. — *Byłam zażenowana tym wybuchem serdeczności. Zażenowany, bo miałem świadomość tego, że nie mieliśmy dla nikogo żadnego prezentu.*

Olgę wizyta poruszyła do głębi. Dała temu wyraz w swych listach. Leszczyński korzystając z chwili postanowił ją obwieścić po wszystkich okolicznych cmentarzach, na których spoczywali Żydzi polegli w czasie pamiętnego marszu śmierci, by dowieść Amerykance, jak bardzo czcą się w Polsce pamięć o nich. Groby były zadbane, ukwiecone. Świadczyły o pamięci. Ale potem nastąpiło długie rozstanie. Leszczyński widział jeszcze Olgę raz jeden w Nowym Jorku, w jej mieszkaniu muzeum.

— *Amerykańscy Żydzi* — opowiadał — *chętnie korzystali z takich rozwiązań, bo omijały surowe progi podatkowe.*

Do tego zresztą otwarcie przynawała się Olga. Lecz Leszczyński, wówczas stawiający pierwsze kroki w międzynarodowym światku naukowców radiologów, nie wspominał tego spotkania miło. Olga prowadziła żywot pustelnika. Niezbyt wiele wygod, ascetyzm w wyglądzie i pożywieniu. To zrażało gości i nie sprzyjało nawiązywaniu kontaktów. Tym bardziej, że dokuczliwa bywała starcza podejrliwość, że ktoś łasi się na jej pieniądze. Tak właśnie można wytłumaczyć lekko sknerowatą naturę Żydówki, która postępowała tak jakby wyrównała wszystkie rachunki. Leszczyński też nie doświadczył od niej pomocy. Nawet w stanie wojennym, mimo prośb. Olga pozostała głucha i nie pomogła jego najbliższemu, który opuścili ojczysty kraj. A kiedy dotarł do niego list babki Jadwigi, która z trwogą pytała o to, co dzieje się z Olgą, bo od dłuższego czasu nie ma od niej żadnej nowiny. Leszczyński odesłał list do Ameryki z odpowiednim, ostrym komentarzem. Poskutkowało. Olga przypominała sobie o rodzinach wybawicieli. Na jakiś czas. Potem znowu kontakt wygaś. — *Ale nie wiem, co się z nią dalej stało* — mówi. — *Nie interesowałem się już tą sprawą. Nie jestem nawet w stanie powiedzieć, kiedy zmarła.*

Przeczytał za to z zainteresowaniem książkę ze wspomnieniami obozowymi Olgi. — *Zupełnie nie rozumiem tego, jak mogła nie wymienić imion i nazwisk swoich wybawców. Pozostawić ich bezimiennych, tak samo jak tę wioskę. To nieprawda, że mogła wyrzucić im tym krzywdę. Ci ludzie, ich czyn na to zasługiwał. Właśnie Olga wyrządziła im ogromną szkodę* — podkreślał.

Profesor nie zgadzał się z argumentem, że chroniło ich to przed niebezpieczeństwem ze strony komunistów. — *Przecież ratowali życie ryzykując swoje i to przeciwstawiając się hitlerowcom. To nie może być wytłumaczeniem* — oponował.

Ale tłumaczy sprawę inną rzecz. Amerykańskim środowiskom żydowskim nie w smak była historia uratowania życia trzem Żydówkom przez Polaków, na których ziemi ojczystej istniał obóz zagłady kilku milionów Żydów. Ten fakt trzeba było pomniejszyć. — *Wiem, co mówię* — twierdzi Leszczyński. — *Nie jestem antysemitą i tępię wszelkie przejawy tego typu postępowania. Ale podczas moich amerykańskich podróży częstokroć spotykałem się z naukowcami pochodzenia żydowskiego i toczyliśmy, długie zażarte dyskusje. To oni zazwyczaj toczyli, bo ja po pewnym czasie zorientowałem się, że nie ma sensu prostować tego steku kłamstw i pomówień. Zbyt wiele trzeba by poświęcić na to czasu. Ale swoje powiedziałem, i wiem jak gorąco odebrali moje argumenty niektórzy Żydzi. Dla nich Polak był wspólnym holokaustowi, bo na jego ziemi toczyły się te okropieństwa. Pamiętam, że w amerykańskiej telewizji puszczały wtedy jakiś pseudodokumentalny serial, który pełen był takich pseudohistorycznych herezji.*

Leszczyński bronił się, ile mógł przed posądzeniem go o antyżydowskie fobie. — *Jako kilkunastoletni chłopak pomagałem Żydom z łódzkiego getta. Przenosiłem dokumenty, które podrabiał mój ojciec. Byłem też w okupowanej Warszawie* — wspominał.

Największe zasługi w ratowaniu ludzkiego życia położyła matka profesora, Stanisława Leszczyńska, którą papież ogłosił błogosławioną. — *Nie chcę się na ten temat wypowiadać* — delikatnie dał nam do zrozumienia. — *Wielu mądrych ludzi napisało już tyle rzeczy, po co jeszcze coś powtarzać.*

Ale po lekturze wspomnień Olgi był bardziej skory do rozmów. Jego zdaniem Olga przyczerniła mocno niektóre obozowe zdarzenia. — *Matka nigdy nie wspominała mi o celowym zabijaniu kobiet w ciąży. Przeciwnie ona je ratowała od śmierci. Oczywiście, wiele z nich zginęło. Ale i tak zdążyło przetrwać obozowe okropności kilkadziesiąt dzieci.*

Ponieważ matka profesora posiadała odpowiednie zaświadczenie, że jest położną i po-

kazała je lekarzowi obozowemu, została przydzielona do bloku, gdzie przebywały ciężarne kobiety. Zastąpiła siostrę Klarę, Niemkę z pochodzenia, która znana była z mordowania dzieci. Władze obozowe uznały, że dopuściła się przestępstwa i usunęły ją. — *Moja matka przyjęła ponad trzy tysiące porodów* — opowiada prof. Leszczyński. — *Kobiety rodziły na piecu. Nieprawdą jest również, że kobiety po urodzeniu dziecka od razu wędrowały do gazu. Przecież były – przynajmniej z nazwy – w szpitalu obozowym. Niemcy nie zgodziliby się, aż na takie okrucieństwa. Nie zgadzam się także z jej twierdzeniem, że by uratować ciężarne kobiety od mąk w czasie gazowania, trzeba było spowodować przerwanie ciąży. To bzdura, przecież w innym baraku, w tym samym czasie, ratowała rodzące kobiety i noworodki moja matka. Odcinała pępowiny i dzieci rodziły się żywe. Jeżeli umierały, to z nędzy i tragicznych warunków. Ale nikt ich nie zabijał przed urodzeniem.*

Leszczyńska próbowała przez wiele lat zapomnieć, ale w końcu przemogła się i napisała raport o tym, co wyprawiano w Oświęcimiu. On stał się później kanwą procesu beatyfikacyjnego.

Olga natomiast, czego nie może zrozumieć profesor, zupełnie pominęła sprawę ratowania niemowląt. Skupiła się tylko na drastycznych opisach. A przecież pracowały obok siebie, w sąsiednich barakach. Skoro ciężarne kobiety wiedziały, gdzie spodziewać się śmierci, a gdzie jej można uniknąć, powinna to też wiedzieć pielęgniarka asystująca doktorowi Mengele – z mniej lub bardziej wymuszoną wolą.

Epizod

Cały ten opis, pytania bez odpowiedzi w niczym nie umniejsza jednego. Wielkości wielu bezimiennych ludzi, którzy w imię miłości bliźniego umieli poświęcić, narazić na niebezpieczeństwo życie swoje i bliskich. Po to tylko, by ratować innych, którzy byli nawet innej wiary. Dlatego podziwiam i będę podzi-

wiał przez całe życie mojego pradziada Augustyna Godzka za to, co zrobił. Za to, że się nie bał. Albo inaczej – że umiał ukryć strach i spowodował, że to uczucie go nie sparaliżowało. Nie doczekał sprawiedliwości na ziemi, nie dożył podziękowań od tych, których wybawił. Doczeka się sprawiedliwości w niebie.

Brzeźce

To moja rodzinna miejscowość. Pisząc jej monografię, nie zdawałem sobie sprawy z jak bardzo poplątanymi ludzkimi życiorysami przyjdzie mi się zetknąć. I jak wiele opowieści – nawet już po napisaniu książki – będzie mnie nadal prześladować. Jedną z nich jest opowieść o Oldze, Magdzie i Lojzice. Marzeniem mojej babki Jadwigi, która jako ostatnia żyjąca osoba pamięta Żydówki, jest przeczytać wspomnienia Olgi po polsku. Chciałbym sprawić niespodziankę mojej babce i odnaleźć oryginał pamiętnika Olgi, który zaczęła spisywać jeszcze w Brzeźcach. Mam nadzieję, że tam wszyscy jej wybawcy wymienieni są z imienia i nazwiska, a całe to zamieszanie jest winą bezdusznych wydawców. Pragnę uwierzyć, że Olga nie przyjechała do Brzeźc z naprędce wymyślonym wytłumaczeniem o kolejnej książce, w której opisze spotkanie po latach. Tą opowieścią mamiała nas przez kilka kolejnych ciężkich lat, kiedy był stan wojenny, a my żyliśmy tą historią wyrwaną z serca naszej babki. Jej oczy nadal pokrywają się mgłą, gdy wspomina tamte dni. Mam nadzieję, że uda mi się tę książkę odnaleźć, choć prof. Leszczyński – który towarzyszył Oldze – nawet o niej nie słyszał. Pozostały mi tylko słowa obietnicy Olgi w jednym z listów, i nadzieja...

Pewnego razu w Ameryce...

Manhattan, późne popołudnie. Budynek Memorial Library przy 79 wschodniej ulicy (dokładnie 58 East 79th Street), niedaleko Central Parku. W niewielkiej galerii opowiadam historię ocalenia Olgi Lengyel, która założyła Memorial Library i mieszkała dokładnie pod tym samym adresem. — *Tak zgadza się –*

mężczyzna głodzi się po siwej czuprynie, zdejmując okulary. Zaprasza gestem do stylowego biurka. I słucha z zainteresowaniem pewnej rodzinnej historii – o moim pradziadku Augustynie Godźku z Brzeźca koło Pszczyzny, który razem z rodziną Paszków ratował Olgę przed śmiercią podczas ostatniej wojny. I o tym, że nie doczekał się jej wizyty. I że czekała na nią też moja babka Jadwiga, pamiętająca Olgę z czasów wojny.

Zaopatrzony we wszelkie możliwe zezwolenia, zaświadczenia pukam do drzwi redakcji „New York Timesa”. Ale strażnik zatrzymuje mnie przy wejściu i każe dzwonić. Za któryś razem łączą mnie z dyżurnym reporterem, któremu cierpliwie klaruję całą historię. W słuchawce zapada kłopotliwa cisza. — *A może prześle pan to e-mailem...* — słyszę i odpowiadam, że to już uczyniłem, a wystarczy, żeby szanowny pan redaktor zszedł na dół, przedstawię mu wszystkie materiały, zdjęcia, które specjalnie przywożę z Polski. Słyszę trzask odkładanej słuchawki.

W oddziale New York Public Library odnajduję kilka wzmianek prasowych o książce Olgi „Five Chimneys”. Alfred Werner, publicysta „New York Timesa”, przeczytał nawet dwie książki o holokauście, ale przemówiła do niego bardziej książka Olgi. Była bardzo osobista. Była tym bardziej wstrząsająca i poruszająca, że Olga była młodą kobietą, która straciła w Oświęcimiu męża, dwoje dzieci i rodziców. I spotkała w Auschwitzu samego diabła – doktora Josefa Mengele zwanego Aniołem Śmierci. W prasie szeroko promowano jej książkę. Wydawca „Ziff Publishing Company” z Chicago zamieścił w „NYT” z lat 40. kilka reklam. „Książka „Five Chimneys” Olgi Lengyel powie ci dlaczego – mówiła jedna z nich. — *To jedna z najbardziej poruszających historii i najstraszniejsza, jakie kiedykolwiek powstały*”. Zachęcano do lektury powołując się na opinie znanych amerykańskich gazet: „The Washington Post”, „New York Herald Tribune”, „Saturday Review of Literature”. Wynikały z tego kolejne informacje o Oldze: że jej

męża zastrzelono, że zginęło w obozie oświęcimskim jej dwoje dzieci, a ona sama zaczęła spisywać swoje wspomnienia w języku węgierskim (pochodziła bowiem z miasta Cluj w Siedmiogrodzie). Tłumaczenia na język angielski podjęli się Clifford Coch i Paul P. Weiss. Wcześniej opublikowano tę książkę w języku francuskim. Data pierwszej publikacji amerykańskiej: lipiec 1947. „Po przeczytaniu tych dwóch książek (Olgi i „The Other Kingdom” Davida Rousseta – przyp. autora) czuję się jakbym spędził sezon w piekle, choć właściwie należałoby powiedzieć w nazistowskim obozie koncentracyjnym” – podkreślał Charles Poor w recenzji zatytułowanej „Książki Wszechczasów”.

Lisa Heilman, przyjaciółka z Florydy, dzielnie pomaga mi w poszukiwaniach. Ustalamy listę organizacji i stowarzyszeń zajmujących się holokaustem i po kolei do nich dzwoniemy pytając o wszelkie materiały i informacje związane z Olgą. „*Dzień dobry. Przepraszam, że przeszkadzam, ale jest ze mną dzentelmen z Polski, pisarz, który szuka wszelkich śladów związanych z Olgą Lengyel i Memorial Library... Czy przypadkiem nie zna pan/pani jakieś osoby albo instytucji związanej z Olgą?*”. Za pierwszym razem odbiera bibliotekarka z instytucji mieszczącej się przecznicej dalej. — *Ale tam już niczego nie ma* — informuje mając na myśli losy Memorial Library.

Tego dnia Lisa wykonała w mojej obecności dwadzieścia telefonów. Ponieważ w każdym amerykańskim hotelu obok Biblii spoczywa też książka telefoniczna, nie było kłopotów z ustaleniem ilu Lengyelów, imienników naszej Olgi mieszka na Manhatan. Było ich całkiem sporo: Lengyel Amy, Lengyel Emil, Lengyel Florian, Lengyel Gina, Lengyel Michael, Lengyel Peter, Lengyel Roger, Lengyel Suzanne. — *Nie wierzę, by w jednym miejscu na świecie mieszkało aż tylu ludzi o tym samym nazwisku i żaden z nich nie był spokrewniony z Olgą* — stwierdziła Lisa. Niestety, odzywają się same automaty. W końcu jednak trafiamy.

Lisa: — *Przepraszam, czy to mieszkanie profesora Emila Lengyela.* — Głos w słuchawce: — *Niestety mój mąż zmarł kilkanaście lat temu...* Lisa: — *Przykro mi z tego powodu. Jestem w posiadaniu listu z 1984 roku, w którym wymieniona jest pani Olga Lengyel i instytucja Memorial Library. Czy to coś pani mówi?* — Kobieta: *Niestety, nie. Olgę znałam tylko towarzysko. W ogóle nie mam pojęcia co się z nią dzieje. Zmarła? Kiedy... To straszne. Ludzie odchodzą... Nie, Olga nie była naszą krewną. Tak mój mąż św. pamięci Emil związany był z Memorial Library, do której to instytucji należała też Olga. Czy mogę coś powiedzieć więcej o Oldze? Tak, owszem ten dżentelmen z Polski może się ze mną spotkać jutro. Proszę zadzwonić rano.*

Ale do wdowy po profesorze Emilu dodzwoniliśmy się dopiero w południe. Nie chciała się z nami spotkać i powtórzyła to samo, co wczoraj, że jej mąż zmarł, a wszystkie materiały jakie posiadał przekazał Uniwersytetowi w Kolumbii i tam powinienem czegośkolwiek szukać.

Ildiko właśnie wyszła

Zdeterminowani trafiamy do nowojorskiego muzeum holokaustu (Museum of Jewish Heritage) na drugim końcu Manhattanu w przekonaniu, że tu powinny być jakieś ślady związane z Olgą. W „New York Timesie” znalazłem artykuł z 1998 roku pióra Mindy Aloffa pt. „Mój Manhattan: podróż rzeką, miasto i jego przeszłość”. Było tam właśnie wymienione Muzeum Holokaustu przy Battery Park City (widać stąd Statuę Wolności), przy którym (przypadkowo?) autor wymienił nazwisko dr Olgi Lengyel, która w latach 40. opublikowała swoje wspomnienia. „*Będąc w Auschwitz próbowała sobie wyobrazić, co też ludzie robili w sylwestra*” — pisał dziennikarz. — *I doszła do przekonania, że z pewnością piją szampana*”. Tak jakby nic się nie działo. Jakby nie wiedzieli, że na drugim końcu świata giną ludzie. Pierwsze zaskoczenie. Pracownicy muzeum - w większości czarnoskórzy - nigdy nie sły-

szeli o takim nazwisku. I zamiast do archiwum, kierują nas do muzealnej księgarni. Tutaj pracuje młody człowiek (biały), który próbuje nas zainteresować książkami o holokauście. Tłumaczymy, że tych w Polsce nie brakuje, a poza tym szukamy niepublikowanych dokumentów. Dlatego chciałbym się dostać do archiwum. Chwila konsternacji, bo okazuje się, że pracownik muzealnej księgarni (tak jak reszta zatrudnionych) nie ma pojęcia, czy taka instytucja funkcjonuje w muzeum. Daje nam jednak numer telefonu, do tej części muzeum gdzie są „office” (biura), i która mieści się po drugiej stronie parku w wysokim czarnym wieżowcu.

Doktor Julia Bock jest bibliotekarką. To już trzecia osoba tej profesji, która pomaga nam w Nowym Jorku. W jej biurze pełno jest pułek, szuflad, akt jak to w archiwum. Pani Bock mówi łamaną angielszczyzną. Pochodzi z Budapesztu. Cieszy się z naszej wizyty. Czuje się Europejką i była już w Polsce, w Krakowie z przyjaciółmi. Słucha mojej opowieści. Dziwię się po cichu, że nie znała Olgi, która przecież też pochodziła z Węgier, a poza tym mieszkała w tym samym wielkim Nowym Jorku na Mhannattanie. Dr Bock zapewnia serdecznie o swojej pomocy. Kieruje nas do Czerwonego Krzyża, ale okazuje się to niepotrzebne. — *Masz dużo informacji. Zrobiłeś na niej dobre wrażenie. Ta kobieta będzie chciała ci pomóc* — zapewnia Lisa.

Pozostaje mi tylko jeden adres, od którego właściwie powinienem zacząć. Adres Memorial Library and Art Collection of Second World War, położonego przy 58 East 79th Street, w pobliżu Central Parku. Odprowadzam żonę do Metropolitan Museum (świetne zbiory europejskiego malarstwa i rzeźby), które położone jest przecznicą od Memorial Library. Tak to tu mieszkała Olga. Kilkupiętrowa okazała kamienica. Dzwonię. Przez kratę widzę galerię. Otwiera starszy mężczyzna. — *Pani Ildiko przed chwilą wyszła...*

Ale po naszej dłuższej opowieści tajemniczy mężczyzna wyjmuje karton z numerami telefonów. — *Niestety, nie wiem jak pani Ildiko*

ma na nazwisko. Ale jest kluczem do wszystkich informacji o Oldze. Była jej osobistym asystentem. Proszę do niej zadzwonić po południu. Mieszka na Long Islands i pewno jeszcze nie dojechała do domu. Wyszła dosłownie przed dziesięcioma minutami – słyszymy.

Testament Olgi

Drugi i ostatni dzień wizyty w Nowym Jorku dobiega końca. Jutro opuszczamy hotel i wracamy do domu. Wieczorem nikt nie odpowiada na nasze telefony. Następnego dnia tuż przed śniadaniem nalegam na Lisę, by spróbować jeszcze raz. Ostatni. Odzywa się automatyczna sekretarka, ale nagle zostaje wyłączona i odzywa się ona – Ildiko. Tak zgadza się na spotkanie – za pół godziny w Memorial Library.

Wspinamy się stromą klatką schodową na piętro. Kilka dzwonek u drzwi. Naciskamy po kolei wszystkie i stanowczo pukamy do drzwi. Ktoś otwiera. Zaskoczenie. Zamiast starszki – bo tak sobie wyobrażałem osobistą asystentkę Olgi – widzę młodą 30-kilkuletnią kobietę. Tak, spodziewała się nas i czeka. Przyjmuje nas w olbrzymim salonie zagraconym stylowymi meblami i obrazami. Włączona klimatyzacja. Zaczynamy swoją opowieść. Ildiko słucha i zapewnia, że Olga pod koniec życia chciała jeszcze raz dotrzeć do rodzin, którym zawdzięcza ocalenie. Ale stan zdrowia Żydówki był zły. Niedowidziała. Częściowy paraliż uniemożliwiał jakąkolwiek podróż, nie mówiąc o pisaniu. Tak, Olga zaczęła pisać drugą część wspomnień. Ale ich nigdy nie skończyła. Pozostawiła kilkadziesiąt zapisanych kartek. Część relacji utrwaliła na taśmie filmowej. – *Dla niej nawet siedzenie przez dwie godziny w fotelu było męczarnią* – wspomina Ildiko.

Oglądamy zdjęcia Olgi z lat młodości, ale świeżo po przybyciu do Ameryki. Widzimy piękną, młodą kobietę, blondynkę jak z hollywoodzkiej produkcji. Ani śladu zmęczenia, tragicznych przeżyć. Ale życie dla Olgi nie było łaskawe – nawet po przejściach obozu

koncentracyjnego. Na Kubie, tuż przed rewolucją poznaje przystojnego Niemca, i bierze z nim ślub. Potem przebywa w Puerto Rico i Meksyku. W końcu trafia do Stanów Zjednoczonych. Zaproponowano jej tu posadę lektora na Uniwersytecie w Nowym Jorku. Małżeństwo Olgi nie było szczęśliwe. Decyduje się na rozwód i zamieszkuje samotnie na Manhattanie. Z tego związku zostaje jednak córka, dziś już prawie 40-kilkuletnia kobieta. – *Włada tylko hiszpańskim* – informuje nas Ildiko.

Zapewnia, że Olga zawsze chciała zobaczyć rodziny Godzków i Paszków, tyle że listy z Polski gdzieś się zapodziały (a i tak Ildiko nie zna polskiego). Nic dziwnego. W sypialni, kolejnym pokoju napotykamy sterty książek i obrazów. Wszystko gromadzone z myślą o Memorial Library. – *W tej chwili jest to trochę zaniedbane* – mówi Ildiko – *bo wiek i siły nie pozwalały Oldze o to się bardziej starać. Budynek wymaga remontu. Ale w przyszłości ma się tu pojawić centrum edukacyjne dla ludzi nauki. W tym gabinecie będzie biblioteka, a tam sala konferencyjna. Będą tu organizowane sympozja, szkolenia. Tak by – jak sobie tego życzyła Olga - ludzie nigdy nie zapomnieli o holokaucie.*

– *I o swoich wybawcach* – dodaje. Zapraszam Ildiko z córką Olgi do Polski. Ostatnia osoba pamiętająca holokaust i uwolnienie Olgi, moja babka Jadwiga jeszcze żyje. Ale Ildiko Kope nie ma czasu, bo rozpoczyna naukę w wyższej szkole. Nie tracę nadziei, że kiedyś ta wizyta nastąpi. – *Powinnaś poczuć ducha miejsca i czasu, żeby zrozumieć to co się stało. Olga była zawsze częścią naszej rodziny. Jej losy zawsze nas obchodziły. Dlatego przykro nam było, że przez tyle lat się nie odzywała* – wyrwało mi się.

– *Tak wiem. Zdaję sobie sprawę, że ta opowieść to część twojego życia* – stwierdziła Ildiko.

Nowy Jork wydał mi się bardziej przyjazny. Nie wracałem do Polski z niczym.

* * *

Więźniarka Olga Lengyel, autorka książki o holokauście „Five Chimneys”, została uratowana w styczniu 1945 roku przez rodziny Paszków i Godzków. Zmarła 15 kwietnia 2001 roku, w Nowym Jorku, w wieku 92 lat. Przez ostatnie kilkanaście lat rodziny próbowały ją odnaleźć. Bezskutecznie.

* * *

„Drogi Panie Grzegorz

Z przyjemnością przeczytałam w majowym numerze „Śląska” wojenną historię naszych rodzin. Zupełnie przypadkowo przeglądałam czasopismo w kiosku, gdy rzuciły mi się w oczy znajome zdjęcia. Cieszę się, że historia ta jest wciąż żywa, zwłaszcza w czasach, gdy Polacy niejednokrotnie oskarżani są o antysemityzm i ubolewam, że Olga do końca nie zachowała się fair wobec swoich wybawców.

Miło mi, że Pan jako młody człowiek, historyk, dotyczy tych ran w imieniu naszych Przodków. Jestem pewna, że mój śp. Dziadek – Ludwik Paszek i mój zmarły ojciec cieszyłby się, że jest ktoś, kto nie pozwala zapomnieć o przeszłości. Jesteśmy im to winni – napisała w czerwcu 2003 roku Barbara Tomecka z Mikołowa. — I jeszcze jedno. Artykuł zainteresował moją najmłodszą córkę — obecnie 17-letnią osobę. Nie tylko przeczytała z wielkim zainteresowaniem. Poprosiła o całą dokumentację i razem przeglądałyśmy archiwum. I to też jest Pana wielki sukces!”

* * *

Minęło kilka miesięcy od mojego wyjazdu do Stanów, a Ildiko nie dawała znaku życia. Zgodnie z obietnicą przesłałem jej kopię posiadanej dokumentacji wraz ze zdjęciami na płycie CD. I do tej pory nie mogę doczekać się odpowiedzi z jej strony. W międzyczasie doszedł do mnie tylko e-mail od sympatycznej dr Julii Bock z Nowego Jorku, która zapewniała mnie, że pamięta o mojej prośbie i nadesłaniu wsze-

lakich informacji związanych z Olgą. Najwięcej dokumentacji miało przyjść ze strony Ildiko, która obiecała współpracę z przyszłą instytucją powołaną dzięki Oldze i jej fundacji. Ale czas płynął i Ildiko nie dawała znaku życia.

To wszystko zdawało mi się być bajką. Do tej pory, kiedy przeglądam relacje z mojej podróży do Stanów, zadziwia mnie szczęście które mi towarzyszyło albo bezgraniczna nieświadomość celów podróży. Cel właściwie tylko przeczuwałem i dzięki desperacji swojej i przyjaciół coś osiągnąłem. Choć nie wyčerpałem wszystkich punktów programu, opowieść o Oldze zaczęła mi się niesamowicie rozrastać. Pomyślałem, że warto, aby córka Olgi poznała te miejsca i tych ludzi; tak samo zresztą jak Ildiko. To powinno być dla niej oczywiste. Ale – ku mojemu lekkiemu zaskoczeniu Ildiko zaczęła kilkakrotnie wymawiać się obowiązkami i zajęciami na uczelni. „Przyjedź Ildiko choćby sama, póki żyje jeszcze moja babka, jedyna żyjąca osoba pamiętająca holokaust i Olge” – twierdziłem. Ale nie znajdowało to jakoś odzewu.

Ponadto uświadomiłem sobie, jak mało znana jest historia Olgi i jej uratowania, choć z drugiej strony jej wspomnienia są sztandarowym punktem każdej poważnej pozycji dotyczącej holokaustu. Z Polaków nie zna jej prawie nikt, ale na świecie czerpią z niej wiedzę. Zadałem sobie pytanie: Kto i kiedy przetłumaczy tę książkę lub choćby jej część i czy doczeka tego moja 80-letnia babka, jeszcze dzięki Bogu sprawna? Zbyt dużo dobrych ludzi odeszło stąd w zbyt krótkim czasie, by perspektywa uciekającego czasu nie przerażała mnie dogłębnie. Ile jeszcze zostanie mi czasu i czy dam radę? Może stanie się tak, a nie inaczej. Może moja babka doczeka przyjazdu Ildiko? Ale czy pojedzie do Izraela. To chyba mało prawdopodobne. Czy dostanie medal „Sprawiedliwej wśród Narodów Świata”. Ja i najbliżsi wiemy, że na to zasłużyła, ale czy doczeka... Jeżeli nawet stanie się tak a nie inaczej, musimy mieć nadzieję, że takie są plany Boże, których – na szczęście – my głupcy 21. stulecia nie znamy.

Janek Śpiewak

Nazywam się Janek Chrobok. Pochodzę z Bojszów. Lubię śpiewać. Chodzę na pogrzeby i wesela. Ostatnio byłem na mszy za kucharkę w Międzyrzeczu. Pochowali ją w Rybniku. Dobra kobieta z niej była. Parę razy dostałem od niej kotleta do zjedzenia.

Dwa lata temu zmarła moja matka. Sześć lat temu przejechało na śmierć mojego 24-letniego brata w Świerczyńcu. Lubię śpiewać.

Ale już nie będę. Niektórzy się denerwują i przepędzają mnie. Są też dobrzy ludzie, którzy zawsze dadzą mi jakąś złotówkę. Pani z ul. Mlecznej daje mi odzież. Szukam pracy. Byłem w Tychach, jadę do szkoły górniczej w Bojszowach Nowych – tam ma coś być. Jeździłem kiedyś na białym rowerze, ale mi go ukradli. Teraz jeżdżę autobusami.

W piątek pojadę do Pszczyny. Dawno tam nie byłem. Odwiedzę wujka z Wisły Małej, który mieszka tuż za drewnianym kościołem.

Jestem na rencie, ale zabiera mi ją ojciec. Szukam pracy. Kiedyś pracowałem na gospodarstwie w Ćwiklicach, ale trafiłem na pi-

jaków. Tylko jeden gospodarz mnie bronił. Za darmo pracowałem. Innym razem pomagalem gospodarzowi w Chełmie. Złamał sobie nogę. Pracowałem przez rok, potem mnie odesłał. Wielu pomagałem, ale niejeden wyganiał mnie bez zapłaty.

Jeden ksiądz na Krzysztofie w Tychach powiedział, że mam iść do roboty, a takiemu pijakowi nie dałby komunii. Zdenerwował mnie. Nie piję alkoholu. Nie byłem nigdy pijany w kościele, a że śpiewam? Lubię śpiewać. Najbardziej z kolegami na dworcu kolejowym w Tychach. Zawsze jeżdżę na festyny. Najbardziej cieszy mnie Nowy Rok. W sobotę jest pogrzeb chłopca z Bierunia. Pójdę, bo zawsze chodzę na pogrzeby. U nas w rodzinie było ich sporo.

Zamiatalem przez lato plac przed jednym z barów na rynku w Bieruniu. Zabrali mi z kieszeni zarobione pieniądze. Myślą, że chory to można. Dałbym radę wyrostkom, ale jeżeli jest ich paru warto później z nimi po sądach i policji się włożyć? I tak zwaliliby winę na mnie.

Byłem teraz na odpuszcie u „Walencinka” i śpiewałem o nim. Jeżdżę na wszystkie prawie odpusty, jakie mogę. Jedyne w Krakowie nie byłem.

Podoba mi się, jak ludzie w kościele śpiewają. Najbardziej na pogrzebach. Jest tak uroczyście z orkiestrą. Zapraszamy mnie czasem na stypy. Na wesela też - chcą żeby tam czytać. Ale najpiękniej jest w kościele, tym boższowskim. W niedzielę po mszy to nieraz siedzę przy nim cały dzień na schodach. Można wytrzymać do wieczora. Wtedy wracam do domu. Może zostanie coś dla mnie do jedzenia z obiadu.

Pomagam ojcu na gospodarstwie. Ma prawie 70 lat. Jeździliśmy wozami po węgiel na byłą kopalnię „Czeczott”, ale teraz już nie. Nie wpuściliby nas. Samochodami stoją.

Lubię śpiewać, ale czasem rzucają na mnie śniegiem, gonią patykami. Dlatego już nie będę. Tylko tam, gdzie wiem, że chcą, będę śpiewał, i w kościele.

K Tobie wygnany Ewy wołamy synowie,
K Tobie wdychamy, płacząc, z padółu
wielginiwie.

Oredowiczko nasza, racz swe litościwe
Oczy zwrócić na nasze serca żalodliwie.
I owoc błogosławion żywota Twojego.
Racz pokazać po zejściu z świata mizernego.
O jaskawa, pobożna, o święta Maryjo!
Niechaj wszyscy zbawieni będą, grzeszni
i ja.

O Jezu, niech po śmierci Ciebie oglądamy.
O Maryjo, uprosz nam czego pożądamy!

PIEŚNI POGRZEBOWE

Chrystus Pan jest mój żywot. On nagradza hojnie.
Jemu ja się oddaję, umieram spokojnie.
Spokojnie odłazd idę do Chrystusa mego.
Spodziewam się dostąpić zbawienia wiecznego.
Skonczyły się już krzyże i różna strapienia.
Który mnie mi był dla Jego intenia.
(opuszczono 1 i 3 zwrotki).

O Boże, Ojcie dobry, Sędzio sprawiedliwy,
Raczej być mojej duszy nieszczęśliwy!

Cokolwiek w świecie jest, wszystko marność,
Choćby mnie królowa dozna godność.
Światło zginie, świat przeminie, Króla i cesarza
Śmierć nie minie.
(opuszczono 2, 3 i 4 zwrotki).

Najlepiej, zaprawdę, Bogu służyć,
Chcę w niebie stałego dobra użyć.
Nieszczęsne, Nieszczęsne, Nieszczęsne,
W niebie stałego dobra użyć.

Nie tu ojczyzna, ani tu nikomu.
Dano na świecie wieczystego domu.
Wyrok niezmieniony i jakże straszliwy.
Ze umrzeć musi każdy człowiek żywy.

Ni się wykupię, ni wprosić może.
Uciec ani skryć, gdy Bóg umrzeć kaze.
Nikogo nie minie ani nie daruję.
I nikt nas z śmierci rąk nie wyratuje.

Ten, co się rodzi, co żywota skusi,
Choćby był królem wszak umierać musi.
Ślawę, godność, uciechy, wywczaszy
Opuszczać musi na pokutne czasy.

Z światłem się żegnać, o wielka to trwoga.
Pójść w straszna wieczność, przed sąd stanąć
Boga.
Jakbyś tedy rad, żebyś i poznał
I na wieże czasy żył był światobliwie!

+

Spójże, już po twom boju.
Chrześcijańskie kochany.
Spójże, odpoczni w pokoju.
Z pętów świata rozwiązany.
Spójże, aż Bóg wszystkich ludzi
Z grobów ich znova pobudzi.

Już teraz uwolniony
Od trąsunków i trudności.
Spójże, aż Bóg...

Niech ci hojnie Bóg nagrodzi.
Coś ucipliał w doznaniach.
Niech się mnie Bóg ochłodzi.
Za twe krzyże we wieczności.
Spójże, aż Bóg...

Jako Jezus z grobu swego
Żywy wyszedł, uwielbiony.
Tak ty wyjdiesz z grobu tego.
Na głos Hości obudzony.
Spójże, aż Bóg...

Za krótki czas i my k Tobie
Przyjdziemy, spójże, aż Bóg...
Jakośmy tu zgromadzeni,
Aż nas Bóg, wszyscy, kich ludzi,
Z grobów naszych znova zbudi.

+

Z głębokości ja wołam.
Panie, co tylko zdolam,
Racz ucho swe nastawić.
Przyjdź z czyszcą mnie wybawić.

Z głębokości żałuję.
Grzechy me oplakuję.
Zlituj się, Jezu Panie,
Okaz Twe zmiłowanie.

Z głębokości Cię proszę.
Użyj w męce najgroźniejszej.
Daruj me przewinienia.
Przyjdź mnie do zbawienia!

+

Zmarły człowiecze, z tobą się żegnamy.
Przyjdź dar smutny, który ci składamy.
Trochę

Koniec legendy

— *Jeśli istniała pszczyńska szkoła fotografii to tworzył ją Michał Święch* — mówi Jurek Święch i zapewnia, że jego fotografii pozna od razu.

— *U Święchów nie zmieniło się prawie nic* — wspomina Marek Grucka, właściciel zakładu fotograficznego. — *Kiedy na początku lat osiemdziesiątych trafiłem tam na praktykę wszystko było dokładnie tak samo, jak 40 lat temu.*

Widać to na starej czarno-białej fotografii wykonanej techniką dyspersyjną. Takiego klimatu i odcieni nie odda żadna kolorowa ani nawet współczesna fotografia czarno-biała.

Pierwszy zakład fotograficzny Michał Święch założył na ul. Dworcowej na początku lat trzydziestych. Potem przeniósł się do niewielkiego parterowego domu na Dworcowej 17. Mieści się tu dzisiaj sklep z dewocjonaliami. Dawniej fotografowano światłem dziennym - ono jest najbardziej naturalne i plastyczne, dlatego jedna ściana w zakładzie wykonana była ze szkła. Jeśli przychodził klient siadał wygodnie, odsłaniało się ścianę i robiło zdjęcie. Samo wykonanie trwało jednak nieraz... dwadzieścia minut. Trzeba było czekać na odpowiednie światło. Nieraz zdarzało się, że przychodził klient i musiał przyjść znowu następnego dnia, i znowu następnego - aż trafił na dobry słoneczny dzień. Wtedy siadał na fotelu. Pozę pomagały mu utrzymać liczne podpórki. Taki mieszczański eleganck musi mieć lekko wydęty brzusek. Elegantka uwydatniony biust i koniecznie poważną minę. Ale jak tu wytrzymać tyle czasu. Zdarzało, że ujęcie trzeba było powtórzyć, bo model wykonał nieostrożny ruch. Na przykład strzepnął złośliwego komara z nosa.

Michał Święch przywędrował do Pszczyny z Krakowa. Był fotografem legionów Józefa Piłsudskiego. Uczestniczył w kampanii bolszewickiej z aparatem w ręku. Prawdopodobnie obok tego, że był zwykłym żołnierzem, zajmował się kartografią wojskową.

Dokumentował liczne akcje zbrojne np. wysadzania mostów. Podczas jednej z takich akcji o mało sam mnie zginął. Zawędrował aż pod Kijów. Uciekał przed armią Budionnego. Tyle przetrwało w rodzinnych przekazach.

Zanim trafił do Pszczyny pracował w Suchej, Bielsku i Cieszynie. Tam poznał żonę Agnieszkę. — *To zdjęcie wykonano właśnie tam* — wskazuje Jurek Świąch. Na ścianie wisi piękna fotografia kobiety.

— *Mama była cicha, drobnej postury, ale emanowało od niej niezwykle ciepło* — wspominają Jurek i jego żona. — *Ojciec z kolei był surowy i wymagający od siebie i innych.*

Oboje tworzyli idealną parę. Ona posiadała niesamowity talent artystyczny. On był perfekcjonistą i technikiem. On wędrował z aparatem po górach, robił świetne zdjęcia. Ona była mistrzynią retuszu. Na pozytywie lub negatywie umieszczonym na szkle delikatnie ołówkiem likwidowała zmarszczki fotografowanym osobom. Ujmowała im lat. Pastelami kolorowała zdjęcia. Dlatego wyglądają dziś tak pięknie.

Michał Świąch kochał góry. Technika fotograficzna była jeszcze słabo rozwinięta, a on już przed wojną wędrował po Beskidach, polskich i słowackich Tatrach ze swoim nieporęcznym, ciężkim aparatem. Niewiele się zmieniło, gdy się zestarzał. Jako 80-letni starszyszek wyprawił się jeszcze w góry. A w czasie stanu wojennego jeździł do Strumienia motorowerem po... chleb.

Zdjęcia do monografii Pszczyny Ludwika Musioła wykonywał właśnie on - Michał Świąch. — *Miał zezwolenie od urzędników książących* — mówi jego syn — *i mógł wejść tam, gdzie inni nie mieli dostępu. Pamiętam naszą wyprawę do parku zamkowego zamkniętego przecież dla zwykłych śmiertelników. Fotografował Ludwikówkę. Ten mały brzdąc na zdjęciu obok pałacyku to ja.*

Tak samo na zdjęciu łabędzi w parku widoczny jest mały Jurek Świąch.

W Cieszynie Świąch wyrabiał ze znajomym fotografem stereogramy, czyli przestrzenne zdjęcia. — *Sam pamiętam, jak oglądałem stereogram dzwonu Zygmunta w Krakowie* — mówi Jurek Świąch. W Pszczynie jednak ich nie wyrabiano.

Przez pewien czas zakład prowadziła żona Agnieszka, a Michał pracował dorywczo w starym zakładzie fotograficznym u Szambeka na Krupówkach w Zakopanem. Jeździł po okolicy i fotografował ludzi, kościoły. Wydawał nawet przed i po wojnie własne pocztówki. Fotografował pogrzeb Jana Henryka XV, spalony kościół św. Jadwigi w Pszczynie. Chciał utrwalić na taśmie przemarsz więźniów oświęcimskich w styczniu 1945 roku. Okazało się to jednak zbyt groźne. W końcu sfotografował grzebanie ich ciał na cmentarzu w Ćwiklicach. Zdjęcia do dziś przechowuje się w Muzeum Oświęcimskim.

Dlaczego umarła legenda?

Zakład Michała Świącha był najdłużej działającym prywatnym zakładem fotograficznym w Pszczynie. Jego historia to ponad pół wieku istnienia.

— *Był Mistrz i reszta* — opisuje pracę w zakładzie Jurek Świąch. — *Przed wojną ojciec miał jednego ucznia. Po wojnie doszła jeszcze jedna pomocnica. Potem był czeladnik z uczniem. Ale to już był koniec zakładu.*

Po największym pszczyńskim zakładzie fotograficznym Harlosa Świąchowie przejęli po wojnie kamienicę na rynku, w której zamieszkali, i część sprzętu. Mieścili się w niej przed wojną Bank Ludowy. Po wojnie mieszkali w nim Świąchowie. Funkcjonował tu też ich zakład.

Do dziś wielu pszczyńiaków pamięta, że na rynku znajdowała się gabłota ze zdjęciami. Do zakładu Świąchów wchodziło się po starych skrzypiących schodach. Drzwi otwierał pewien starszy pan. Zmieniły się czasy,

choć nie zmienili się klienci. Nadal byli to w większości mieszkańcy Pszczyny. Święchowianie fotografowali rodziny, pogrzeby, wesela i uroczystości - jak dawniej - tyle że teraz partyjne. Tylko początkowo wydawało się, że będzie jak dawniej. Zakład odwiedza-
li ci sami wybredni klienci, którzy wiedzieli co, na jakim papierze i w jakim odcieniu ma być. — *Znali się na tym* — wspomina ich Jurek Święch. Potem przyszły nowe, szare czasy, gdzie sztuką było zdobyć jakąkolwiek kliszę fotograficzną. Zdjęcia ślubne wykonywało się na amatorskim, błyszczącym papierze, który uniemożliwiał jakikolwiek retusz. Takie były czasy. Święchowianie świetnie pamiętają początki fotografii kolorowej. Nakładało się na siebie trzy różnokolorowe klisze. Potem trzeba je było od siebie oddzielić i przenieść to na papier. — *Benedyktyńska robota* — wspomina Jurek Święch. Potem wykonywano zdjęcia przez filtry. Ale wszystkie kolory na tych zdjęciach są nietrwałe.

Wszystko skończyło się niedawno. — *Ojciec był już stary i zakład w latach siedemdziesiątych przejął brat Michał* — wspomina pan Jurek — *ale brat ciężko chorował i jakiś czas później zmarł.*

Zakład przejął pan Jerzy. W międzyczasie Bank Spółdzielczy upomniał się o swoją kamienicę. — *Zażądali takiego czynszu, że oznaczało to śmierć zakładu* — mówi Jurek Święch.

Przyszły inne czasy i trzeba było inwestować w nowy sprzęt. W zakładzie Jurka Święcha czas stanął jakby w miejscu. — *Musiałbym wziąć pożyczkę, żeby jakoś z tego wszystkiego wyjść* — wspomina — *ale w tych czasach było to samobójstwo. Miałem poza tym 60 lat na karku i prawie w ogóle nie słyszałem.*

Wkrótce po upadku zakładu umarła Agnieszka Święch. Pół roku później założyciel zakładu 91-letni Michał Święch. Odeszła legenda.



Mistrz czasu

— *Jestem zegarmistrzem tradycyjnym i do tego samoukiem* — mówi Stanisław Lis z Pszczyny, pracujący od 30 lat w tym zawodzie. — *Z moich uczniów tylko dwóch pracuje zawodowo. Tylko jeden z nich umie naprawiać stare zegary.*

Na półce stoi 90-letni zegar. — *Trzeba być pasjonatem, a nie tylko zawodowcem* — mówi Lis. — *Trzeba mieć jeszcze coś w środku, o tu* — pokazuje na serce.

— *Żeby się utrzymać przy życiu dzisiejsi adepci tego zawodu muszą handlować. Samym naprawianiem zegarków na chleb nie zarobią* — stwierdza. — *Naprawiam elektronikę, ale duszę mają tylko zegary tradycyjne. Dusza to balans, kotwica i wychwyt, które pomagają w utrzymaniu chodu zegara.*

— *Pamiętam, że jako kilkuletni brzdąc chodziłem koło wujka, który naprawiał stare zegary. Ale wkrótce potem umarł. Do wszystkiego doszedłem sam i dużo później. Może drzemały we mnie jakieś rodzinne uzdolnienia?* — wspomina.

Żadne z siedmiorga dzieci pana Stanisława nie przejmie tradycji. Choć on ma jeszcze nadzieję, że tak się stanie. Na razie pośród starych zegarów jest sam. Ma jeszcze sporo sił.

Punktualnie o ósmej pojawia się pierwszy klient. — *To pan Jonderko, zegarmistrz z przeciwka. Pracuje w zawodzie trochę dłużej. Dobrze się znamy* — mówi Lis.

Klientów ma różnych. Przyjeżdżają nawet z Warszawy. — *Tam renowacja zegarów jest kosztowna* — stwierdza. — *Moje zegarki chodzą nawet w... Waszyngtonie.*

Pan Stanisław przekazał nawet parę zegarów Muzeum Zamkowemu. Swoją kolekcję częściowo odsprzedał. Zmusiły go do tego okoliczności.

Naprawia właśnie mechanizm zegara z początków XX wieku, który przyniósł jeden z klientów. — *Robiłem go dokładnie 10 lat temu* — opowiada. Trzeba go dokładnie wyczyścić, by nabrał blasku. Pokryty jest warstwą kurzu. — *Każdy z nich* — mistrz wskazuje na ścianę z zegarami — *wymaga nieraz kilkanaście godzin benedyktyńskiej pracy. Uzupełnia się wiekowe tryba.*

Patronem zegarmistrzów jest św. Eligiusz. — *Jego wspomnienie przypada pierwszego grudnia, w moje urodziny* — wspomina Lis. W małym zegarmistrzowskim zakładzie, przez którego szybę widać opustoszałą o tej porze ul. Piastowską, rozlega się tykanie. Naprawiono kolejny stary zegar...

Pieśń o Rajmundzie

Nazywam się Rajmund Śmietana. Jestem z Łędzin. Dobrze mi tu. Moja matka zmarła 15 lat temu. Przygarnęła mnie dobra kobieta. Mam u niej schronienie. Traktuje mnie jak swojego syna. Chowie kury, krowy i cielęta. Czasem jej pomagam.

Chodziłem do szkoły w Nakle. Tam nauczyli mnie pisać i czytać. Rachować też umiem - nikt mnie nie okłamie. Wiem, że pieniędzy, też ot tak sobie wypłuć nie można. Wszystko kosztuje. Muszę mieć na papierosy – to mi wystarczy. Resztę oddaję. Dobrze mi, bo mam dach nad głową i dobre jedzenie. Dziś była smażona jajecznicą z kielbasą.

Miałem jechać na święta do krewnej w Smardzowicach, ale przestraszyli mnie – że niby rady sobie nie dam. Więc nie pojechałem nigdzie przez całe święta. W ogóle to mało jeżdżę. Nawet nie wiem, czy żyje Janek Śpiewak z Bojszów. Widziałem go kiedyś parę razy. Fajnie z nim się nawet gadało. Ale dawno go nie widziałem. Mało jeżdżę.

Uciekłem, kiedy chłopcy lali u nas wodą. Mogliby coś zrobić. Nie lubię awantur. Kiedyś chodziłem na mecze do Łędzin. Teraz prawie w ogóle. Pamiętam, że przyjechali kiedyś kibice z Tychów. Myślałem, że całe boisko

przewrócą. Ci z Bojszów też nie lepsi – same chachary. Dlatego mało chodzę na mecze. Mało znam ludzi z imienia. Dobrzy są lędzianie, ale skąpi. Nie dają mi nic do jedzenia. Kilku nastoletnich chłopaków bije mnie. Rzucają kamieniami. Ciągłe ci sami. Leją wodą. Nie wiem co robić. Kiedy jedzie policja zatrzymuję ich i mówię, że mnie biją. Nie zawsze pomaga. Co z tego, że pójdę do rodziców tych chłopców – oni sami wyśmieją mnie i zwymyślają. Jest jeszcze ksiądz. Jemu się poskarżę i on w niedzielę na kazaniu powie co trzeba. Mało śpiewam. Nie tak jak bojszowski Janek. Tylko w kościele. Ostatnim razem byłem na bieruńskim odpuszc u „Walencinka”. Janek też tam śpiewał. Lubię tańczyć na weselach, najlepiej w parze. Uczył mnie jeden kolega. W Wielką Sobotę byłem ze święconym. Kapelanek pokroił wodą kielbasę, szynkę, masło, chrzan, chleb, który miałem w koszyku. Wieczorem święcili wodę. Święta były krótkie. Powinny trwać z tydzień. Te w grudniu są dłuższe. Takie czasy, że ludzie mało modlą się przy kapliczkach. Nie mają czasu. Chodzą tylko do kościoła. Ja idę i tu, i tu. Wstaję po piątej rano. Jak idę po chleb przystaję na

chwilę koło kapliczki. Potem modlę się w kościele na mszy. Wstaję sam. Budzi mnie śpiew ptaków za oknem, gruchanie cukrówki i pianie koguta. Jest wiosna, kwitną gałęzie, nie ma takiego zimna, powietrze jest inne. Miałem kiedyś psa, który wszędzie za mną chodził i po chleb, i do kościoła. Goniłem go, bo do kościoła nie mógł wejść. Pracuję jak najdłżej dla rodziny. Teraz częściej będę pomagał w polu rodzinie. Nie czytam gazet. Oglądam za to chętnie telewizję. Podobał mi się zespół „Mazowsze” i górnicze piosenki, które oglądałem w święta. Chciałbym występować w takim zespole. Kładę się spać po dwudziestej pierwszej, kiedy niebo i słońce się skryją, a nad moimi kochanymi Lędzinami pokażą gwiazdy. Jutro trzeba znowu wstać.

* * *

Rajmund w Lędzinach jest znany. Trudno go sobie wyobrazić bez drogich mu Lędzin i Lędzin bez niego. Jest człowiekiem innym, ale jednym z nas i dlatego bardziej niż ja i ty, Czytelniku, zasługuje na naszą opiekę i serce. Tyle chyba warto dodać od siebie, pisząc o tych, którzy dodają naszemu szaremu życiu kolorytu.

Stalmachowa w Międzyrzeczu

— *Przeraziłam się, gdy zobaczyłam szkołę bez dachu* — wspomina 89-letnia Gertruda Stalmach, która została kierowniczką szkoły po Józefie Kassoliku. Do Międzyrzecza trafiła w 1958 roku prosto ze Śląska Cieszyńskiego.

Nową kierowniczkę zastała przebudowa szkoły. Społeczność wsi pracowała przy niej w czynie społecznym. — *Nie zawsze chętnie to czyniono. Każdy miał przecież normalne obowiązki* — mówi Stalmachowa.

Kronika szkolna dokładnie odnotowała, ile, kto poświęcił czasu na rozbudowę szkoły. Pracowano najczęściej przy kopaniu fundamentów nowej części. Ze starej zostały grube mury. Dobudówkę wzniesiono od strony Bojszów. — *Podczas przebudowy dzieci normalnie się uczyły. Nie było to łatwe. Trzeba było jechać do CEZAS-u w Bytomiu i zamawiać nowe ławki, przyrządy i stoły* — wspomina kierowniczka Stalmachowa. — *Nowe meble trafiły do olbrzymiej stodoły stojącej za szkołą.*

Wszystkim podobała się nowa szkoła. Dzieci miały porządną salę gimnastyczną i prysznicę. — *Te największe brudasy były odtąd pierwsze do kąpeli* — tłumaczy.

Szkolne życie toczyło się odtąd normalnym biegiem – wycieczki szkolne, choinka itp. Pojawiła się jednak nowość. — *Upartam się,*

że muszę mieć fortepian — wspomina Stalmachowa. — *Jeździłam za nim do pszczyńskiego inspektoratu. Przekonywałam i... w końcu go kupiłam.*

Instrument stanął na holu szkoły. W wolnych chwilach kierownicza szkoły siadała za klawiaturą i... grała. Przyjeżdżali nawet artyści z katowickiego konserwatorium. Pokazywali, na czym muzykuje się w orkiestrze.

Międzyrzeckich dzieci było mało, ale wszędzie pełno. — *Grzeczne i dobrze ułożone* — mówi kierownicza szkoły o swoich dawnych podopiecznych. Łączono klasy. Kiedy jedni uczyli się pisać, inni słuchali. Pożytek był wzajemny.

Stalmachowa przeprowadziła się do Międzyrzecza z trójką dzieci. Mąż nie powrócił z wojny. Była sama. Najmłodsza córka Janina szła do szóstej klasy. Najstarsza 18-lletnia zdała maturę w Cieszynie i wyszła za mąż. Barbara uczęszczała do pszczyńskiego liceum.

Do międzyrzeckiej szkoły przyjeżdżał też czasem jej poprzedni kierownik Kassolik. Był już starszym człowiekiem i nie miał tego serca, co dawniej. Wkrótce potem zmarł.

Mieszkanie kierowniczkę było właściwie dużym pokojem. — *Zrobiłam z niego kancelarię. Drugi pokój odstąpiłam małżeństwu Pierchałów, którzy mieszkali przedtem na strychu* — wyjaśnia Stalmachowa.

Po wybudowaniu szkoły nauczyciele zamieszkali w schludnym domu nauczyciela. Jedyną trudność polegała na... ogrzewaniu. Nauczycielstwo musiało nauczyć się palić w piecu. Woźny pracował w tygodniu. Jedną niedzielę paliła w centralnym kierownicza, następną Pierchałowie.

Przez długi czas docierały do Międzyrzecza UNR-owskie paczki z sucharami, mąką. Kierownicza jechała po nie do inspektoratu. Paczki trafiały do świetlicy i kuchni. Postanowiono, że raz na jakiś czas ktoś z rodziców będzie gotować dzieciom posiłki. Nadesłaną mąkę mamy zabierały do domów, skąd na drugi dzień przynoszono do szkoły wspaniałe wypieki: ciasta, wiejskie chleby, pączki. Dzieci miały w ten sposób zapewnione drugie śniadania.

Po poprzednim kierowniku szkoły Stalmachowej został pies. — *To była taka wierna dusza* — mówi pani Gertruda. — *Chodził krok w krok za mną. Był powszechnie lubianym szkolnym psem. Przed ósmą rano siedział wiernie przy bramie czekając, aż dzieci wejdą do szkoły. Potem wędrował ze mną na zajęcia. W klasie chował się pod katedrą. Dopiero po lekcji wynosił się na podwórze.*

Miał być księdzem, został urzędnikiem

Na schodach ratusza zmarł w latach 60. jeden z najzdolniejszych burmistrzów miasta, Józef Kocurek.

— *W środku nocy obudził mnie patrol milicji – wspomina Franciszek Kocurek, brat burmistrza. — Kiedy przybiegłem, brata wniesiono już na górę. Podobno tak zadecydowała żona. Gdyby tego nie uczyniono być może brat przeżyłby.*

Józef Kocurek, najzdolniejszy z bieruńskich burmistrzów wracał akurat z pracy. — *Brat wszystkim się przejmował. Wracał wieczorem ze spółdzielni, bo chciał dopilnować czy doszedł transport mąki przeznaczonej na chleb, choć nie należało to do jego obowiązków. Późne powroty należały niemal do codzienności. Przed ratuszem, w którym mieszkał, wdał się jeszcze w rozmowę z sąsiadką* — wspomina F. Kocurek.

Sąsiadka odeszła, a Józef Kocurek wchodząc po schodach zesłabł i przewrócił się. Była godzina dziesiąta wieczorem. Milicjanci, których posterunek mieścił się na parterze urzędu, szybko poinformowali czekającą na Kocurka



żonę. Ta kazała go wnieść po schodach na górę. Chwilę później przyjechał miejscowy lekarz Woźniak, ale nie dało się już nic zrobić. Burmistrz zmarł.

— *Jak tylko usłyszałem, że brat umiera, pobiegłem do ratusza. Niestety było już za późno* — wspomina F. Kocurek, który postanowił napisać wspomnienie o bracie.

Józef Kocurek miał zostać księdzem. Przerwał świetnie zapowiadającą się karierę urzędniczą (był przed wojną kierownikiem działu registratury) i rozpoczął studia teologiczne w Seminarium Księżąt Salezjanów w Pogrzebieniu koło Rybnika. Ówczesny burmistrz Bierunia Rudolf Piprek doszedł do wniosku, że nie może utracić tak dobrego fachowca i za wszelką cenę postanowił sprowadzić Kocurka z powrotem do ratusza. — *Kilkakrotnie jeździł do Pogrzebienia namawiając brata do powrotu* — mówi F. Kocurek. — *Obiecał mu miejskie stypendium i możliwość kontynuowania zaocznych studiów w Krakowie.*

Józef zgodził się, ale jego naukę przerwała wojna. Wiosną 1939 roku jako młody 23-letni chłopak został powołany do wojska. Pułk piechoty, w którym służył miał bronić Wyr koło Miłkołowa. Każdy z żołnierzy otrzymał po 90 naboju, z których jednak 30 musiał oddać świeżemu zaciągowi rezerwy. Bitwa, choć zacięta została przegrana. Kocurek postanowił wrócić do domu, ale tuż przed Bieruniem trafił na niemiecki patrol wojskowy, który osadził go w kościele św. Bartłomieja zamienionym na tymczasowy areszt. W zwolnieniu go pomogła biegła znajomość niemieckiego jego ojca, który był żołnierzem cesarskim podczas pierwszej wojny. Sprytny Ślązak poszedł do komendatury... i wyraził radość z odnalezienia się syna. Pomogło. Niemcy zwolnili młodego Kocurka, który mimo słabej znajomości niemieckiego został ponownie zatrudniony w niemieckim już magistracie. Burmistrzem Bierunia był wtedy niejaki Grunig. Po dwóch latach Kocurka ponownie



zaciągnięto do wojska, ale tym razem już niemieckiego. Trafił od razu na front wschodni w stepowe okolice Starojarusji. Został tam kilkakrotnie ranny i przypadkiem wziął do niewoli kompana z byłej polskiej jednostki wojskowej z Wyr, który walczył po stronie Rosjan, ratując mu życie. Białorusina nie odesłano – dzięki wstawiennictwu Kocurka – do obozu jenieckiego, lecz za-

trudniono w kuchni polowej. Tak jak wielu Górnoślązaków Józef Kocurek trafił w końcu do niewoli alianckiej i przeszedł do drugiego korpusu polskiego generała Władysława Andersa. Perypetie wojskowe burmistrza Kocurka to temat na inną opowieść.

Nasz bohater wrócił do domu rok po zakończeniu wojny. Wkrótce został prezesem lędzkiej spółdzielni spożywców, którą z jego inicjatywy połączono z bieruńską. Dzięki temu handel, zwłaszcza po wojennych zniszczeniach, lepiej prosperował, ku zadowoleniu okolicznej ludności. To utorowało Kocurkowi drogę do ratusza. Został pierwszym powojennym burmistrzem Bierunia i zarazem najmłodszym – miał zaledwie 30 lat.

Swe burmistrzowanie Kocurek zaczął od odbudowy pomnika Powstańców Śląskich zburzonego zaraz po wkroczeniu Niemców. Czasy były trudne, więc radni zdecydowali się w końcu na postawienie dużo skromniejszego niż wcześniej monumentu. Za jego kadencji miasto zelektryfikowano i skanalizowano. Kocurek walczył też uparcie u starosty tyskiego o pieniądze na modernizację zaniedbanych bieruńskich ulic. Za jego czasów część polnej drogi za mostem na rzece Mlecznej przebudowano na miejską ulicę Licealną, a ul. Zdrowia prowadząca do Zakładów Tworzyw Sztucznych ERG zyskała nawierzchnię klinkierową. Najważniejsza dla Bierunia była decyzja o budowie pierwszego w okolicy liceum ogólnokształcącego, podjęta razem z Franciszkiem Banotem, przyszłym dyrektorem szkoły.

Zakłęte fotografie

Po Wilhelmie Mierniku, pierwszym bieruńskim fotografie, pozostały stare szklane klisze i trochę zdjęć w rodzinnym albumie.

Jego zdjęcia tchną życiem: na jednym w gospodzie pokotem leżą pijani klienci; brat wrócił z wojska i czule wita się z rodziną; umarło dziecko i leży niewinnie w trumnie; na podwórku bawią się nagie dzieci; para zakochanych stoi we wodzie w czułym uścisku. Wilhelm Miernik nie lubił zdjęć pozowanych. Lubił zaskakiwać. Prawie żadna z jego postaci nie pozuje na zdjęciach. Każde zdjęcie zawiera opowieść. Miernik był pasjonatem fotografii i często brał swój trochę nieporęczny drewniany aparat na trzech nogach i wędrował w teren. Uwielbiał fotografować ukochany Bieruń, jego krajobrazy. Na jednym ze zdjęć widać ruiny żydowskiego cmentarza. — *Tu się zawsze bawiłam* — wskazuje Helena Bobak, córka bieruńskiego fotografa. — *Nieopodal cmentarza stała drewniana szopka.*

Jej ojciec pozostał na zdjęciach. — *Dopiero po latach dostrzega się ich wartość* — mówi Helena. — *Najdziwniejsze jest to, że mimo upływu lat nadal są takie same. Nie wyptowiały i żywe.*

— *Mój ojciec umarł, kiedy miałam trzy lata. Pamiętam, że matka wróciła ze szpitala i wyłożyła na stół wszystko, co miała: ciasto, jedzenie i ubrania, które zabrała. Twarz ukryła w dłoniach. Płakała. Pamiętam, że biegałam wokół dużego, kuchennego stołu. „Co się stało, mamo?” — pytałam. — „Twój tato nie żyje” — odpowiedziała matka. Nie umiałam w to uwierzyć. Zawsze brakowało mi ojca. Dorastałam, inne dzieci miały do kogo się przytulać, a ja zawsze czułam się jak sierotka. Brakowało mi ojcowskiej ręki.*

Zakład, a właściwie tylko drewniany aparat przejęła matka. Wędrowała z nim po okolicznych weselach jeszcze w latach pięćdziesiątych od Międzyrzecza do Bojszów robiąc nim zdjęcia. Z tego żyliśmy. Nie prowadziła już zakładu jak ojciec

przed wojną. Kto chciał zdjęcia, przychodził do nas do domu. Matka miała dużo klientów. W tym czasie każdy potrzebował fotografii do dowodu osobistego lub jakiejś legitymacji.

Ale obecność ojca czuliśmy zawsze. Nie tylko dzięki fotografiom, ale głównie przez nie. Zawsze ilekroć zawitałam do jakiegoś domu słyszałam: „To zdiynci robił twój ojciec”. Nieraz stały na honorowym miejscu.

Tato był jedynym stałym biurowskim fotografem. Inni nie zagrzali w Bieruniu dłużej miejsca. Miejscowi ludzie jeździli po wojnie do fotografów w Oświęcimiu lub Tychach. Pamiętam, że krótko po wojnie urzędowała przy rynku niejaka Swobodowa. Ale tylko mojego ojca wspominają do dziś.

Wilhelm Miernik fotografii uczył się od innego pasjonata Hugona Gemborka, który do Bierunia przywędrował z Katowic. Spędzał u niego długie godziny na rozmowach o pasji utrwalania obrazów na szklanych kliszach. Gemborek był robotnikiem, miał dużo większe doświadczenie od młodego Wilhelma. Ale to właśnie Miernik otworzył pierwszy w Bieruniu zakład fotograficzny, z atelier przy rynku (tam, gdzie dzisiejsza piekarnia). W 1932 roku ożenił się z 18-letnią Łucją, córką Gemborka. Doczekał się z nią dwóch córek Janiny i Heleny.

Fotografia na pewno dominowała wśród rodzinnych tematów Łucji i Wilhelma. Z tego przecież żyli. Jeśli spotykali teściów na pewno ich rozmowy kręciły się wokół tego. Być może nawet Wilhelm przychodził na nie z... aparatem i „magnezją”, lampą błyskową, której charakterystyczny blask powodowany był przez tlenek potasu. Bohaterami większości jego zdjęć jest rodzina, a najczęściej jego córki. Widać, że je kochał. — *Ojciec był pasjonatem fotografii. Uwielbiał robić zdjęcia. To wystarczało mu w zupełności do życia. Dlatego u nas zawsze była bieda. A potem, gdy nastąpiła wojna i ojca wzięli do wojska, bieda była jeszcze większa* — wspomina jedyna żyjąca córka.

Atelier, w którym pracował nad zdjęciami Wilhelm Miernik mieściło się niedaleko urzędu miejskiego. — *Pamiętam, jak pracował w skupieniu przy czerwonym świetle, pochylony nad miskami, nad wywołaniem zdjęć* — opowiada Helena. — *Zawsze robił to z jakąś wewnętrzną radością. Przychodzili do jego zakładu ludzie, których twarze już nie pamiętam. Z pewnością w swoich zbiorach przechowują fotografie wykonane przez mojego ojca.*

Wilhelm Miernik fotografował nie tylko krajobrazy i rodzinę. Był oficjalnym asystentem biuńskich uroczystości. Uwiecznił odsłonięcie pomnika Powstańców na rynku. Fotografował chóry, stowarzyszenia religijne, urzędników magistrackich itp. — *Wysyłał własnoręcznie zrobione kartki do znajomych* — opowiada jego córka.

Być może też je sprzedawał. Zachowało się też jedno z niezwykłych zdjęć: jegomością siedzącego na jednej z kamieniczek. — *To fotomontaż, który ojciec uwielbiał robić* — mówi pani Helena.

Wilhelm Miernik mógł jeszcze długo żyć. — *Przebywał na froncie wschodnim. Kiedy usłyszał przez radio, że bombardowane są okolice Mikołowa i Oświęcimia, zapragnął nas ujrzeć. Był pewny, że u nas rozpętało się piekło. Postanowił sobie, że choćby nad grobem, ale musi zobaczyć swoją rodzinę. Do Bierunia dotarł wyczerpany wielodniowym marszem. „Wy żyjecie!” — odezwał się, gdy przekroczył próg domu. Zaraz potem zachorował i trafił do szpitala w Mikołowie. Było z nim ciężko. Chyba spodziewał się najgorszego. Przed śmiercią starał się powierzyć matce wszystkie swoje zawodowe sekrety. Uczył ją robienia zdjęć. Doradzał, by korekty robiła kopiowym ołówkiem na szklanej kliszy. Matka zrobiła mu ostatnie zdjęcie w trumnie.*

Wilhelm Miernik umarł w mikołowskim szpitalu w sylwestra 1944 roku. Miesiąc później do Bierunia weszli Rosjanie. O miesiąc za późno...

Jak Niemcy do indyjskiej legii Ślązaka zaciągnęli

- opowieść Franciszka Kocurka z Bierunia

Z Wehrmachtem do „Wolnych Indii”

80-kilkuletni Franciszek Kocurek z Bierunia tak, jak wielu Górnślązaków trafił do Wehrmachtu, ale chyba jako jedyny do... indyjskiego legionu.

— *Sikhowie mieli na głowach turbany, bo wiara zakazuje im noszenia hełmów* — opowiada Franciszek Kocurek. — *Mieli długie włosy. Nie mogli się golić i strzyc. Każdy z nich nosił na ręce metalowy pierścień, który nadano im w dzieciństwie. Dziecko z tą obrączką rośło tak długo, aż obrączka nie spadała mu z dłoni.*

Prócz Sikhów w legionie indyjskim służyli jeszcze Indu i - jak ich nazywano - „wegetarianie”, którzy nosili normalne hełmy. Turbany posiadali Sikhowie, którzy nie pletli warkoczy, tylko ściągali włosy jak koński ogon do góry i zakręcali w czubek. Na to dopiero wkładali turban z cienkiego jedwabnego materiału, szerokiego na pół metra, a długiego od ośmiu do dwunastu metrów. — Jeden koniec materiału chwycił w zęby, a drugim zawijał głowę — opowiada Kocurek. — *Potem jednym zaciskał całość z tyłu. Kraniec trzymany w zębach zakładano za zwój. Jeśli turban został dobrze owinięty można było go zdjąć i położyć na stół. Jego materiał był elastyczny, dlatego nakładało się go jak czapkę.*

Na jednym ze zdjęć widać Franciszka Kocurka w turbanie. — *Byłem jedynym Ślązakiem przydzielonym przez Niemców do jednostki indyjskiej. Trafiłem tam, bo znałem się na broni. Lubili mnie* — wspomina. — *Hindusi przeważnie żywili się baraniną. Nie mogli tknąć wieprzowiny i mięsa wołowego. Niektórzy zadowalali się konserwami rybnymi.*

Tylko pięciu Hindusów z Kocurkowego batalionu było katolikami. Reszta – muzułmanami i hindusami. — *Kiedy rano wstawało słońce, niektórzy z nich wychodzili z koszar i modlili się bijąc czołem w ziemię. Na ogół jednak chyba niezbyt starali się wypełniać praktyki religijne. Nie wiem jak*

wyglądało to na ich salach. Po prostu nie kwaterowaliśmy z Hindusami.

Nie zauważyłem, by obchodzili jakoś szczególnie swoje święta. Niedziele tak jak i my mieli wolne od służby. Wychodzili normalnie na miasto. Nie wzbudzali szczególnej sensacji. Ale może po prostu Niemcy woleli jej nie okazywać...

Na ramię broń brzmiało po indyjsku: *Bandu, bandu*. Do nogi broń – *Banduk nicze*. Równaj w prawo – *Sidaj deko*. *Apti nazar bai* - nie pamiętam już, co znaczyło.

— Nie pamiętam ich imion. Wiem, że *Hama Sink*, 19-letni *Hindus*, pomagał nam w warsztacie. Był wysoki i przystojny. *Hindusi* byli na ogół cherlawi, ale czasem trafił się między nimi jakiś mocny. Taki właśnie był barczysty *Sink*, na którego zawsze mogliśmy liczyć. *Sink* oznacza po hindusku lwa. Nosili imiona inspirowane przez zwierzęta. *Hindusi* nie pili alkoholu. Nigdy nie widziałem, by któryś z nich był pijany z wyjątkiem właśnie *Sinka*, który zaczął rozrabiać i musieliśmy go uspokajać. Nie wiem, co się z nim stało. Czy Niemcy zamknęli go do aresztu?

Hindusi ubrani byli w mundury afrykańskie. Nosili krótkie spodnie. Można je było podwijać - raz krótkie, raz długie. Buty sięgały po kolana. Wykonane były z drelchu, podobnie jak reszta *munduru*. Przylegały dobrze do nogi, bo były sznurowane. Nosili cienkie drelchowe koszule. Do tego dochodziła jeszcze czapka i hełm tropikalny - prócz normalnego, stalowego. Personel niemiecki posługiwał się karabinami maszynowymi, *Hindusi* lekkimi.

— Piekli cienkie placki w rondlach na otwartym ogniu, które podobne były do maczków żydowskich.

Nigdy nie chwalili się, ile mają córek. Liczyli się tylko synowie, o których zawsze mówili z dumą.

Gdy *Hindus* szedł do wychodka nie zabierał ze sobą papieru toaletowego, lecz... puszkę z wodą do wymycia tyłka. Ten nie-

zwykły zwyczaj budził początkowo wielkie zdziwienie Niemców.

Hindusi dbali o czystość. Myli włosy. Chodzili się kąpać. — Kiedyś prowadziłem jedną drużynę do łaźni miejskiej. Oczywiście *Hindusi* szorowali się pod prysznicami, a mnie jako niemieckiemu żołnierzowi kierowniczką łaźni przydzieliła wannę. Niemcy zawsze odnosili się do nich z dystansem — wspomina Kocurek.

W Berlinie hitlerowcy zainstalowali hinduski rząd z prezydentem Szubanem Czandrą Bosym. Ukazywała się hinduska gazeta. Zaczęto też tworzyć, wzorem Anglików, indyjskie formacje wojskowe. Ciemnoskórzy żołnierze w turbanach nosili naszywki „*Freies Indien*” to znaczy „Wolne Indie”. Franciszek Kocurek służył w trzecim batalionie. Pracował w rusznikarni. Ale zanim spotkał *Hindusów*...

Droga do Wehrmachtu

Przed wojną Franciszek Kocurek rozpoczął pracę w biurowskiej „*Lignoście*” (obecnie Zakłady Tworzyw Sztucznych „*ERG*”). — W grudniu 1938 roku zostałem czeladnikiem ślusarsko-kowalskim — wspomina. — Krótko przed wybuchem wojny reklamowano mnie od służby wojskowej, ale wiosną 1939 roku część wydziałów produkcyjnych „*Lignozy*” wywieziono do Pustkowa koło Dębicy. Do Centralnego Okręgu Przemysłowego przenoszono wtedy, z uwagi na zbliżający się konflikt z Niemcami, wszystkie ważne strategicznie fabryki, szczególnie te z terenu Górnego Śląska. Produkowaliśmy spłonki, dynamit, trotyl, a więc ważne dla wojska rzeczy — mówi.

Fabryka, w której pracował Kocurek, drugiego dnia wojny została zbombardowana przez Niemców. Kiedy front zbliżył się na dziesięć kilometrów, kto tylko mógł uciekał. Kocurek też odruchowo podążył na wschód, jednak po przekroczeniu Wisłoki zawałał się. Postanowił wrócić do domu.

Maszerował cztery dni. Kiedy dotarł do domu, zgłosił się znowu do pracy w fabryce,

tym razem już niemieckiej. Był młody i słabo posługiwał się niemieckim, ale to Niemcom nie przeszkadzało. Ważne, że umiał pracować – po dziesięć godzin dziennie. Jak dziesiątki tysięcy Górnolazaków podpisał trzecią grupę volkslisty.

— *Mimo że byłem obywatelem trzeciej kategorii, podlegałem pod obowiązek służby wojskowej* – wspomina. Praca w niemieckim przemyśle zbrojeniowym reklamowała od wojska tylko przez rok. Niemcom zaczynało brakować mięsa armatniego. — *Kartę powołania dostałem dopiero we wrześniu 1942 roku, akurat w urodziny* – mówi Kocurek.

O krok od Afryki

Kocurek trafił do pułku grenadierów pancernych w bawarskim miasteczku Landshut. Po miesięcznym przeszkoleniu zgrupowanie odkomenderowano do Beaufortu we Francji, gdzie przebiega linia Maginota. — *Pełniliśmy tam służbę wartowniczą* – opowiada Kocurek. — *Maszerując kiedyś z kompanią kazano nam śpiewać. Ślżacy siedzieli cicho, bo żaden z nich nie umiał ani w ząb po niemiecku. Powiedzieliśmy, że nie umiemy. Jeden z oficerów kazał nam śpiewać... po polsku. Chłopcy się zdziwili, bo jak to - w niemieckim wojsku po polsku. Ale w końcu rozległ się śpiew: „Wojenko, wojenko”. Oficerowie się śmiali. Po przyjeździe do koszar zaczęto nas uczyć niemieckiego śpiewu. Dowiedziałem się też, że pod Beaufortem walczyły z Niemcami w 1940 roku polskie wojska gen. Władysława Sikorskiego, które wycofały się z Francji do Anglii.*

Po miesięcznym pobycie w Beaufortcie żołnierzy skierowano na badania lekarskie. — *Zastanawialiśmy się, po co to robią?* – opowiada Kocurek. — *Czy pan jest chory na żółtaczkę?* – zapytał mnie lekarz. *Zaprzeczyłem. Zawsze cieszyłem się dobrym zdrowiem, byłem tylko nieco ciemniejszej od innych karnacji. Ale to chyba nie przekonało lekarza. Zbadał też żołnierza austriackiego pochodzenia, z którym się przyjaźniłem. Ten widząc, że nie rozumiem niemieckich*

komend zakrzyknął, że udaję. Zrozumieliśmy, dlaczego przeprowadzano wśród nas te badania. Szukano żołnierzy do Africa Corps, niemieckich jednostek wojskowych walczących w Afryce pod dowództwem Erwina Rommla.

Dostaliśmy się do Kistrina (Kostrzyna) nad Odrą, gdzie stacjonowała jednostka szkoleniowa żołnierzy skierowanych do Afryki. Przydzielono mnie do drużyny ciężkich karabinów maszynowych. Nie szło mi jednak strzelanie z CKM-u. Byłem za mały, a broń za duża i zbyt ciężka. Nie umiałem nawet sięgnąć do celownika.

Kocurek pojechał na świąteczny, bożonarodzeniowy urlop. Zaraz po powrocie został przydzielony do rusznikarni na ponowne przeszkolenie. — *Nie rozumiałem za bardzo po niemiecku, ale znałem się na rysunku technicznym. Szkicowałem i opisywałem to, czego nie umiałem zapamiętać na wykładach. Egzamin zdałem bez problemu. Niemcy dziwili się, a najbardziej ten, który prowadził całe to szkolenie* – wspomina Kocurek.

W tym czasie wybrani przez komisje lekarskie niemieccy żołnierze wyjechali do Afryki. Kocurek został bez przydziału.

W rusznikarni

Rusznikarnię, w której pozostał Kocurek, prowadził cywil – werkmeister i wojskowy – waffenmeister. — *Wojskowy zapytał mnie kiedyś skąd pochodzę. Odpowiedziałem, że ze wschodniego Górnego Śląska. Usłyszałem, że z krańca, który zawsze życzył Niemcom przegranej.*

Dwa tygodnie później do naszej rusznikarni kolejny raz przyszedł stary porucznik, którego nazywaliśmy „papą” i spytał, kto z nas zna angielski. Nikt nie umiał, ale był z nami 19-letni Pałust, sudecki Niemiec, który walczył z Anglikami pod Tobrukiem. Więc „papa” zawołał go i kazał mu wybrać kolegę. Pałust wybrał mnie. — Zostaniecie przeniesieni do indyjskiego legionu – usłyszeliśmy.

— *Ale ja nie potrafię nawet dobrze po niemiecku, a co dopiero po angielsku!* — *za protestowałem.*

— *Nauczycie się — porucznik poklepał mnie po ramieniu.*

Freies Indien

Indyjska jednostka stacjonowała w miasteczku Koenigsbruck niedaleko Drezna, które Kocurkowi przypominało rodzinny Bieruń. — *Pierwsze co zobaczyliśmy, to ogromne koszary i rozbieganych ludzi w turbanach* — mówi Kocurek. — *Po zameldowaniu się, natychmiast przebrano nas w tropikalne mundury w kolorze khaki, krótkie spodenki i wysokie buty.*

Następnego dnia Kocurka czekała już robota w pułkowym, rusznikarskim warsztacie.

W lipcu 1943 roku indyjski batalion Kocurka przeniesiono do Holandii na „wielki poligon”, gdzie odbywały się ćwiczenia wojskowe. — *Do naszych obowiązków należało pilnowanie broni i dbanie o jej stan* — mówi Kocurek.

Hindusi nie byli tak zdyscyplinowani i porządku jak Niemcy czy Ślązacy. Po wystrzeleniu często zapominali o czyszczeniu broni. Trzeba było te karabiny przeczyćścić, naprawiać i przestrzeliwać na dalekie odległości. Kocurek jako członek przedwojennego „Strzelca” uzyskiwał całkiem dobre wyniki w takich „celowaniach”.

Z miasteczka Zwolle pochodzi jedno ze zdjęć Franciszka Kocurka w mundurze, jaki obowiązywał w indyjskich legionach.

— *Nosiłem w portfelu zdjęcie dwóch polskich Strzelców Podhalańskich w barwnych strojach, z piórami w kapeluszu i w pelerynie. Zawsze niby przypadkiem otwierałem go i wtedy moi niemieccy kompani pytali, co przedstawiają. Wtedy tłumaczyłem, że widzą polskich żołnierzy i w ten sposób stawało się dla nich jasne, że Polacy nie nosili byle jakich mundurów* — mówi. Zdjęcia pięknych Podhalańczyków zabrali mu później Rosjanie. Ostało się za to trochę indyjskich pamiątek.

Kiedy nadeszło Boże Narodzenie 1943 roku, Franciszek Kocurek przebywał wraz z indyjskim batalionem we francuskiej wsi Legé nad jeziorem Arcason. Napisał wtedy wiersz.

W noc wigilijną

*Gdy na błysk pierwszej gwiazdy na niebie
zasiąść będziecie mieli do stołu
by jak zwyczajem starym przy chlebie
spożyć wigilię na płaczu padolu*

*i gdy się poczniecie dzielić opłatkiem
symbolem rodzinnej naszej wzajemności
to wspomnijcie na tego, który niedostatkiem żołnierki
gnieciony śpiewa wam w skromności.*

*Dzieciąteczko Boże spójrz na ojców ziemię
która ciężko dyszy pod ciężarem wojny
i oświeć to znane wojownicze plemię
a nam przywróć wreszcie dawny czas spokojny*

Legé, Francja 24 grudnia 1943 rok

Leniwe wojsko

Co pół roku niemieckiemu żołnierzowi przysługiwały dwa tygodnie urlopu wypoczynkowego. Kocurek z niego nie korzystał. W zamian otrzymał talon na tytoń. Ponieważ nie palił, mógł go przehandlować. Hindusi natomiast dodatkowo dostawali paczki z Czerwonego Krzyża, który – co ciekawe – traktował ich jak jeńców wojennych. Pracownicy Czerwonego Krzyża prawdopodobnie nie orientowali się, że „wzięci do niewoli” służą w wojsku. Hindusi mieli czekoladę, a Kocurek deficytowy tytoń. Wymiana była więc możliwa. Niedługo potem Hindusów ulokowano jako jednostkę ochronną Wału Atlantyckiego nad Zatoką Biskajską.

— *Niemcy mieli zamiar przerzucić nas do Azji, by wesprzeć Japończyków walczących z Anglikami. Trzeba pamiętać, że w tym czasie III Rzesza kontrolowała Egipt, sięgała po Kaukaz. Dopiero później Niemcy zaczęli dostawać ciągi od Montgomery’ego, a Rosjanie zaczęli wypierać ich z Kaukazu* — opowiada Kocurek.

Był 1943 rok. Czwarty rok wojny i Niemcy zaczęli przegrywać. Dlatego Hindusi z Kocurkiem wylądowali nad Zatoką Biskajską, gdzie pełnili służbę wartowniczą.

— *Warsztat rusznikarski i kwaterę założyliśmy w byłej kawiarni pod lasem* — opowiada Kocurek. — *Przeżyliśmy tam Boże Narodzenie. Śnieg spadł, ale szybko stopniał. Byliśmy przecież na południu Francji.*

Poza służbą, Hindusów zatrudniano do zwykłych prac. — *Pewnego razu ładowali siano do wagonów kolejowych* — wspomina. — *Jeden z oficerów wystął mnie do nich.*

— *Idź — powiedział — i sprawdź, jak tym „Murzynom” idzie robota. Był upał. Hindusi leżeli rozwaleni w cieniu. — Wstawać, ładujcie te siano — krzychałem do nich. A oni tylko powtarzali po swojemu: „film warm, film warm” (z niemieckiego „viel warm”), niby że jest za gorąco.*

Mimo ponagleń Hindusi pracować nie chcieli. Dostali więc pół godziny przerwy. Hindusi chwalili się, że znam tylko jeden język, a oni trzy: angielski, niemiecki i swój ojczysty. Zaczęłem gadać do nich po polsku i... zdębieli. Jeden Hindus miał wojskową bluzę zdobioną guzikami z polskimi orłami.

— *Skąd to masz?* — zapytałem. Powiedział, że są „polish”.

— *Właśnie przemówiłem do ciebie po polsku — powiedziałem mu.*

Od tego właśnie Hindusa dowiedziałem się, że walczył pod Tobrukiem wspólnie z Polakami i dostał się do niewoli niemieckiej.

Hindusi walczyli wcześniej pod angielskim dowództwem. Anglicy wyposażyli ich m.in. w mundury sukienne i drelichowe. Po trzydziestu latach służby mogli przejść na wojskową emeryturę. Czego chcecie od Anglików? — zapytałem ich. — *Przecież zbudowali wam przemysł, traktują was jak normalnych obywateli. Do niepodległości z Niemcami jest wam bardzo daleko. Dlaczego innym narodom Niemcy wolności nie dali, a przeciwnie — każdy*

walczy o nią w partyzantce? Tak jest we Francji, w Czechach, Polsce. Gdyby Niemcy byli tacy dobrzy dla tych narodów, nie musiałyby one o nią walczyć. Jest was czterysta dwadzieścia milionów. Jeśli ze chcecie, tych paru Anglików kapeluszeniami nakryjecie i wygonicie z Indii. Nie liczcie jednak na jakąkolwiek pomoc ze strony Niemiec. Nie liczcie z ich strony na lepszą okupację.

Nie wiadomo, czy Kocurkowe gadanie coś dało. Hindusi i tak byli marnymi wojakami — przynajmniej niemieckimi. On zaś taką agitację mógł przypłacić życiem.

— *Kiedy zaczęła się amerykańska inwazja na Europę, jedną z kompanii indyjskich Niemcy wystali na próbę do Włoch. Też chciałem z nimi pojechać. Ale nasz pododdział został na miejscu. Po jakimś czasie napisał do nas z Włoch niemiecki kolega — rusznikarz, że ich indyjską kompanię wycofują do Francji. Hindusi — jak się okazało — zaczęli z powrotem przechodzić na stronę Anglików. Nie chcieli walczyć z drugim korpusem polskim. Twierdzili, że Polacy nie są ich wrogami. Może moja gadka pomogła im w rozeznaniu sytuacji politycznej...*

Inwazja

— *Jeśli do tygodnia Amerykanie nie zostaną wygonieni z powrotem do morza, to my stąd będziemy uciekać* — oznajmił Hindusom Kocurek. I rzeczywiście. Inwazja alian-tom się powiedła, Niemcy zaczęli się wycofywać z Francji.

— *Dostaliśmy konie i furmanki* — wspomina Kocurek. — *Uciekaliśmy przez środkową Francję w kierunku granicy niemieckiej. Nacinali się na nas francuscy partyzanci. „To nie mogą być Niemcy, skoro to są Hindusi!” — uważali. W niektórych wypadkach wychodzili nam na powitanie. I tak przez własną niewiedzę stawali się ofiarami Niemców.*

Przez Lotaryngię i Alzację hinduskie zgrupowania dotarły do Bawarii. Stacjonowały na

poligonie koło Monachium. I czekały. A tymczasem Niemcy przegrywali wojnę. Nikt nie był niczego pewny. — *Od Wehrmachtu miało nas przejąć SS, ale tego nikt nie chciał* — mówi Kocurek. — *Powiedziałem im, że niedaleko od moich rodzinnych stron widać kominy obozu koncentracyjnego i że ja wiem, co to jest SS.*

Pewnego ranka z zarekwirowanego przez Hindusów radia Kocurek usłyszał, że Armia Czerwona jest w odległości siedemdziesięciu kilometrów na północny-zachód od Krakowa. Poderwał się.

— *Muszę się dostać do domu, pomyślałem. Powiedziałem dowódcy, że chcę pożegnać się z rodziną, bo mogę ich więcej nie ujrzeć. Ale nie mogłem dostać frontowego urlopu, bo byliśmy jednostką zaplecza. Lecz tak się złożyło, że miałem niewykorzystany urlop zdrowotny.*

Kapitan i porucznik jakby przeczuwając, że ostatni raz widzą Kocurka wręczyli mu osobiste dokumenty i pożegnali. „*Życzę pomyślnego urlopu*” — usłyszał.

— *Poszedłem do rachuby po żołd. „Masz zapłacone do końca stycznia. Jak wrócisz w lutym to nadpłacę ci resztę” — powiedział mi podoficer.*

Do domu

Był to ostatni rok wojny. Kocurek przez Wiedeń, Pragę dotarł do Dziedzic. Stamtąd piechotą do Pszczyny i na rowerze przez Kobiór i Tychy do domu.

— *W pszczyńskim areszcie odwiedziłem szwagra, który siedział za kłótnię z niemieckim burmistrzem* — opowiada Kocurek. — *Od ciotki na pożyczonym rowerze i z paczką dla rodziny służącej, która mieszkała w Tychach wyruszyłem przed siebie. W Kobiórze zastałem posterunek wojskowy, który nie chciał mnie przepuścić przez las bez przepustki. Ale udało mi się ją załatwić. W sobotę wieczorem dotarłem do domu.*

Na drugi dzień chcieliśmy jechać z sąsiadem po szwagra, ale szwagier był szyb-

szy. Po moim odejściu więźniowie urządzili bunt i uciekli. Rano, kiedy szykowaliśmy się do wyjazdu, pojawił się w Bieruniu. Po tygodniu od mojego przybycia weszli Rosjanie. Miałem z nimi przeprawę. Ale to już inna historia — mówi Franciszek Kocurek nakręcając olbrzymi zegar.

Dalsze losy hiduskiego zgrupowania nie są Kocurkowi znane. Czy przeszli do aliantów? — *Chętnie poznałbym dalsze losy mojej byłej jednostki* — kończy swą opowieść bierunianin.

* * *

Jesienią 1939 roku siły indyjskie walczące po stronie aliantów liczyły 194 tysiące żołnierzy. Cztery lata później stan liczebny armii indyjskiej podniósł się do półtora miliona, z czego prawie trzysta tysięcy walczyło poza granicami kraju. Zgodnie z planem rozbudowy armii indyjskiej przyjętym w maju 1943 roku przez rząd brytyjski, miała się ona składać z piętnastu dywizji piechoty i dwóch dywizji pancernych. W sierpniu 1945 roku wojsko indyjskie liczyło już 2,2 miliona ludzi. Dwieście tysięcy z nich walczyło w Afryce Północnej, we Włoszech, w Birmie, na Malajach, w Chinach, przeciw Japonii, na archipelagach wysp południowo-wschodniej Azji i Pacyfiku. Przez całą wojnę zmobilizowano dwa i pół miliona ludzi.

Hindusi walczyli nie tylko po stronie aliantów. Japończycy utworzyli z nich hinduską armię narodową, która działała na froncie birmańskim. Niemcy usiłowali tworzyć indyjski legion – na wzór arabskiego – z jeńców wziętych do niewoli, zwłaszcza w toku walk w Afryce Północnej. Miał on walczyć we Włoszech i wspomóc Japończyków. Z tych zamysłów niewiele wyszło. Hindusi walczyli tylko we Włoszech i to tak skutecznie – przechodząc na stronę wroga – że Niemcy nie użyli pozostałych jednostek do działań bojowych. Po zakończeniu wojny zostały, na co wiele wskazuje, internowane przez aliantów.

Szukanie Miarki

W starym pielgrzymowickim kościele trwa właśnie realizowanie filmu „Na miarę Miarki”. Przy organach, na których grał kiedyś Karol Miarka, siedzi miejscowa organistka Bronisława Piechaczek. Otoczona jest wiankiem śpiewających córek – Celiny, Magdy, Mirosławy i syna Damiana. Kolejne ujęcie kręci tu reżyser Wiesław Głowacz. W Pielgrzymowicach jest po raz trzeci.

Karol Miarka urodził się 174 lata temu w Pielgrzymowicach, niewielkiej malowniczej wiosce położonej na skraju powiatu pszczyńskiego. Był nauczycielem i organistą.

„Kupiłem za dwa talary 25 książek ludowych – pisał Miarka w „Głosie wołającego na puszczy górnośląskiej”. – Czcigodny mój ksiądz pleban, umiając błogi skutek biblioteki ludowej ocenić, udzielił mi także kilku talarów, za które kilka roczników „Szkółki Niedzielnej” i „Kmiotka” kupiłem. Był to początek biblioteki ludowej.”

— *Brakuje nam centrum Miarkowskiego* — te słowa dolatują do mnie w przestronnej sali nowoczesnej szkoły, jaką Pielgrzymowicom mogą pozazdrościć inne pszczyńskie wsie. Głowacz, który był tu kilka lat temu widział jeszcze fundamenty, ale już wtedy pielgrzymowanie wiązało z nią duże nadzieje. Teraz przyjechał znowu zobaczyć, czy je spełniła — czy jest „na miarę Miarki”.

— *Brakuje nam Miarkowskiego centrum* — te słowa wypowiedziała do mnie moja dawna nauczycielka. Nie wiedziałam, że pochodzi z Pielgrzymowic. Jest teraz dyrektorką szkoły. — *Naliczyłam kiedyś ponad dwudziestu paru nauczycieli* — mówi Małgorzata Kiełkowska rodem z Pielgrzymowic. — *Wszyscy stąd wyszli i tu wrócili.*

„Najpilniejszym dziatkom pożyczałem w nagrodę książki zajmujące – pisał pielgrzymowicki nauczyciel i organista. – Po krótkim czasie dowiedziałem się, że wieczorami i przy paszeniu była małe towarzystwa się zgromadzają i ciekawi czytania słuchają.”

Siedzimy w szkolnej bibliotece. Wójt gminy trzyma w ręce starą kronikę pisaną przez

Miarkę. Kronikę wsi i szkoły. — *Niech pan nie robi zdjęć. Już raz chciano nam ją zabrać* — dodaje z goryczą długoletnia kierowniczka szkoły, obecnie sołtys Zyta Kapel. Wójt z Pawłowic, Damian Galusek, ogląda starą kronikę i opowiada mi o gminnej oświacie. — *Jako jedna z pierwszych gmin wiejskich przejęliśmy na utrzymanie wszystkie szkoły. Ta jest jedną z najnowocześniejszych.*

Miarkowska kronika pisana jest po niemiecku gotykiem, który trudno rozczytać. Miarka był bowiem Niemcem. W 1853 roku szkołę prowadzoną przez Miarkę wizytował inny Niemiec, ksiądz biskup Bernard Bogedain. „Spominam osobiłwie śp. Bogedaina – pisał pielgrzymowicki nauczyciel – którego pamiętka w sercach Górnoślązaków wiecznie żyć będzie, bo on życie swoje pełne niezmordowanych prac, już to jako radca regencyjny, już to jako sufragan wrocławski ofiarował dla Polaków śląskich i byłby stał się filarem błogosławieństwa, gdyby go Pan Bóg nie był tak prędko ze świata odwołał.” Biskup Bernard Bogedain zmarł niespodziewanie w czasie kolejnej wizytacji kanonicznej w Pszczynie 17 września 1860 roku. Kronika szkolna właściwie nie ma charakteru kronikarskiego. Nie ma w niej chronologicznego zapisu, są za to – pisane po dłuższej przerwie – wyrzuty następcy Miarki, który nie umiał mu wybaczyć polskiego „odchylenia”. Zapisy te nie są przyjazne i pochlebne a zawistne. Autorstwa Miarki jest chyba tylko pierwszych dwadzieścia parę stron. Reszta jest już pisana innym charakterem pisma.

„Dnia 29 listopada 1938 roku odwiedziłyśmy starą szkołę, w której nasz ojciec śp. Karol Miarka i dziadek Antoni Miarka uczyli. Miło było usiąść na katedrze, z której Tatuś uczył, widzieć ściany, o które obijał się Jego głos i odwiedzić kościół, w którym grywał i śpiewał na chwałę Bożą” – zapisały na pamiętkę w kronice wnuczki Miarki starszego: Erna z Miarków Stadnikowa i Leokadia Miarka Boromeuszka. Poniżej dopisał się

przedwojenny kierownik szkoły Paweł Paździor: „Naprawdę niezrozumiałym jest fakt, że gmina, w której tak dzielny i zasłużony człowiek uczył – nie może się zdobyć na ufundowanie mu pomnika w formie paradnego budynku szkolnego.”

— *Przyjeżdżają do nas ludzie i pytają o wieś Karola Miarki, a tej dawno już nie ma* — opowiadają mi pielgrzymowiccy gospodarze. — *Starą „Miarkówkę”, gdzie uczył i mieszkał Karol, stojącą przy kościele zburzono do fundamentów. Do wojewody śląsko-dąbrowskiego gen. Jerzego Ziętka pojechała delegacja powstańców. Prosimy, by jej nie ruszać. Ale Miarka nie był wygodną postacią dla ówczesnych władz – klerykał, katolik i organista. Powstańcy niczego nie wskórali. Na jej miejscu postawiono budynek przedszkola* — mówi pani Zyta.

Nie ma już „Miarkówki”. Nie ma też kościoła drewnianego w Golasowicach, w którym Miarka także grywał. W latach siedemdziesiątych spaliła go służba bezpieczeństwa.

— *Nie umieliśmy dotąd sprzedać Miarki. Przez ostatnie lata było to niemożliwe – słyszę. Ale czy nie jest na to za późno?*

Podobno nawet organy, na których grywał Miarka w drewnianym, pielgrzymowickim kościele, nie są oryginalne. Podobno. Co zatem zachowało się z Miarki? Czy istnieją jeszcze dawne ścieżki, po których chodził? „Pokazało się, że niektóre działki, osobiłwie już starsze z szkoły wypuszczone – dzielił się Miarka senior swoimi spostrzeżeniami – od zwolenników moich pożyczać chcą książeczki, aby je czytać. Jeden i drugi z dawnych szkolników moich przybliżali się do mnie (...) prosili z widoczną nieśmiałością: czy im też nie mogą pożyczyć jakiej książeczki. Pojmie każdy, jak serce moje się rozradowało. Nie pokazałem jednak radości mojej, lecz z powagą powiedziałem proszącym, że dla ich pilności i grzeczności niegdyś w szkole i jeszcze trwale doświadczanej chętnie im książki pożyczę. Niektóre działki, nie dowierzając sobie, czy im tako-

wych pożyczę, nalegały na rodziców, aby książki u mnie wyprosilili. Dzięki Bogu, mam teraz ciągle około 90 książeczek u chętnych czytelników. Niektórzy przynoszą mi za pożyczenie książek małe podarunki, i pieniądze nawet ofiarują, które mimo wzbraniań wszelkich przyjąć musiałem.” Tak działo się w Pielgrzymowicach ponad sto lat temu. Jest jeszcze jedno miejsce na ziemi pszczyńskiej, z którym nierozzerwalnie związany jest ród Miarków – Mikołów.

„Znany wódz ludu śląskiego Karol Miarka starszy, wydawca pisma politycznego „Katolik” w Królewskiej Hucie, przeniósł się w r. 1875 razem ze swymi wydawnictwami do Mikołowa” – pisał Konstanty Prus, którego monografią Mikołowa wydano przed wojną właśnie w miarkowskiej drukarni. Dalej czytamy, że w mikołowskie zacisze przeniósł się Miarka prześladowany karami i sądami ze strony pruskich władz. „I odtąd „Katolik” i inne pisma Miarki były drukowane w Mikołowie w małej drukarni gazetowej, którą Miarka posiadał”. Edward Długajczyk konkretyzuje bardziej kwieciste, ale puste wywody Prusa. Mówi, że „od 2 lipca 1874 roku „Katolik” drukował się więc w Mikołowie” w drukarni Nowackiego. Wydawano go tu już wcześniej przez pięć miesięcy 1869 roku. „Katolik” zyskał na przeprowadzce – korzystnie wpłynęło to na szatę zewnętrzną pisma. „Kolumnę dwuszpaltową zastąpiła trzyszpaltowa. Duże urozmaicenie cziłonek ożywiło dotychczasową monotonię.”

Redakcja i rodzina Miarki miała znaleźć się w Mikołowie już z początkiem września 1874 roku. Ekspansja Miarków trwała. „Do pomocy ojcu przyszli dorastający synowie; Paweł wyuczył się introligatorstwa, o rok młodszy Karol zecerstwa. 30 listopada 1876 roku „Katolik” ogłosił, że wychodzi w własnej drukarni i bieżący numer jest właśnie pierwszym dziełem nowo powstałej oficyny. Pod względem typograficznym przypominał poprzednie drukowane u Nowackiego. Odtąd Nowacki w cieniu bujnie roz-

rastającej się firmy Miarków jakby stanął w miejscu, wegetował (...) w Karolu Miarce synu [należy] upatrywać właściwego twórcę drukarni „Katolika” w chwili jej założenia, a właściwie reaktywowania w Mikołowie w listopadzie 1876 roku. Karol ukończył wtedy 20 lat. Wiek to zapewne młodzieńczy, ale wystarczający do samodzielnego prowadzenia zakładu. Zawodu wyuczył się wędrując, podobnie jak inni drukarczycy, po kilku krajach. Otarł się nawet o znaną drukarnię braci Benzigerów w Szwajcarii. Po cóż ojciec miałby oddawać kierownictwo nowej drukarni w obce ręce, skoro syna kształcił na drukarza. Wydaje się, że ojciec wyłożył pieniądze, a syn jako fachowiec zajął się techniczną stroną przedsięwzięcia, zapewne również przy współudziale brata Pawła.” Ty-le Długajczyk.

Potem nastąpił schyłek. Miarka starszy zmarł w 1881 roku w Cieszynie. Trzydzieści lat później jego syn odsprzedał drukarnię Antoniemu Napieralskiemu i zmarł w zapomnieniu parę lat później w Raciborzu. 29 stycznia 1933 roku zakłady miarkowskie nabyła rodzina Hermanów. Józef Herman zakupił nowe maszyny, w tym pierwsze kolorowe offsetowe. Kontynuowano bogate tradycje wydawnicze. Książki miały duży, pokazny „miarkowski” format.

Drukarnię wzniesioną jeszcze przez Miarkę juniora zburzono w 26 stycznia 1945 roku. — *Zniszczyli ją w całości Rosjanie* — opowiada mi pochylona wiekiem 93-letnia Stefania Leja i pokazuje zdjęcia. — *Mój ojciec odbudował ją od nowa po wojnie. W 1949 roku drukarnię upaństwowiono.*

Staruszka z okien pokoju widzi okazały dom, w którym mieszkała przed wojną jej rodzina. Został sprzedany parę lat temu jak cały zakład. Mieści się tu dalej Drukarnia im. Karola Miarki.

— *Jest tu trochę starych książek* — Maciej Jańczyk, syn właściciela drukarni Adolfa, pokazuje gablotę z pozycjami wydanymi jeszcze przez Miarkę syna. — *Ale to wszystko co mamy.*

Mikołów jest dziwnie smutny o tej porze. Przy ul. Żwirki i Wigury, na której wznosi się drukarnia, natrafiam na tablicę poświęconą Miarce – kolejną.

— *Jest dużo szkół noszących imię Miarki* – w uszach dzwonią mi myśli i słowa pielgrzymowian. Ile? Co najmniej kilkanaście...

— *Nie wiemy, co się stało z potomkami Miarki. Wiemy, że żyją jacyś potomkowie, ale nie wiemy gdzie. Nie mamy z nimi żadnych kontaktów* – słyszę.

— *Stawiamy na turystykę. Pielgrzymowice to naprawdę malownicza wieś położona na wzgórzach, w podmokłych okolicach, na pograniczu ziemi pszczyńskiej i cieszyńskiej. Miarka mógłby nam pomóc.*

Co zostało z Miarki, z pamięci o nim? Czy tylko puste, ciężkie metalowe tablice?

Sfilmować Miarke, jak robi to w okolicach Pszczyzny filmowiec amator Józef Kłyk, jako postać pełną życia? Czy też pozwolić szukać mozolnie, uparcie, niewidocznych pozornie

śladów – jak robi to (mam nadzieję, że znów powróci) Wiesław Głowacz.

— *Miarka był doświadczonym nauczycielem. Rozumiał, że to nie młodzież powinna kreować nauczyciela, ale nauczyciel młodzież. A jak jest dzisiaj?* – pyta Małgorzata Kielkowska z Pielgrzymowic. Każdy z tutejszych nauczycieli ma w swoim życiorysie miarkowski epizod. Kielkowska, rodowita pielgrzymowianka, po siedemnastu latach wróciła w rodzinne strony. Wyszła za mąż za Henryka z rodu Kielkowskich, których tu pełno. — *Trudno nie wracać w rodzinne strony. Cały czas marzyłam o tym, by wybudować tu dom.*

W Pielgrzymowicach rozległ się kolejny filmowy klaps. — *Czemu mylę panią Bronisławę ze świętą Cecylią?* – zastanawia się reżyser. I dopowiada, że przecież Cecylia jest patronką śpiewu. — *Wspaniale* – krzyczy Głowacz zachwycony barwą pielgrzymowickich organów. Na nich 150 lat temu grał Karol Miarka starszy.



Ślązak z wyboru

Napisałem do miesięcznika „Śląsk” parę słów o tym jak Wiesław Głowacz, reżyser Telewizji Katowice, szukał rok temu w Pielgrzymowicach śladów Karola Miarki. Powstał z tego dwudziestominutowy film. Przypomniała go niedawno telewizja regionalna. Kilka dni później zadzwonił telefon. — *Zapraszam pana na spotkanie przy kawie* — usłyszałem. Był to Wiesław Głowacz.

Wiesław Głowacz – reżyser Telewizji Katowice. Rocznik 1933. Studiował polonistykę w Krakowie. Pracę dziennikarską rozpoczął jako radiowiec. Potem trafił do ośrodka telewizyjnego w Szczecinie. Od 1985 roku związany jest z Katowicami i tutejszym ośrodkiem telewizyjnym. Jak sam mówi jest Ślązakiem z wyboru. Trafił na Góry Śląsk dzięki żonie. Tu też rozpoczął aktywną pracę twórczą. Jej efektem jest kilkadziesiąt filmów dokumentalnych, wśród nich spore miejsce zajmują te nakręcone na ziemi pszczyńskiej. Ostatnim takim filmem był „Na miarę Miarki”, poświęcony Karolowi Miarcie i dzisiejszym Pielgrzymowicom. Poza tym zrealizował: „Portret – Aleksander Spyra”, „Mikołaje z Łąki”, z cyklu „Duże sprawy małych muzeów – Muzeum Prasy Śląskiej w Pszczynie”, „Suita na przydrożne krzyże”, „Pierwszy Polski” – reportaż historyczny o Tygodniku Polskim w Pszczynie, z cyklu „Śląskie skanseny – Pszczyna”, „Niedziela Palmowa – Jarmark pszczyński”, z cyklu „Portrety z pamięci przywołane: Musioł – historyk”, „Józef Kłyk”, „Park w Pszczynie”.

Wiesław Głowacz: *Nie ukrywam, że szczególnie miejsce w mojej twórczości odgrywa ziemia pszczyńska. Zawsze interesowałem się folklorem, ale naturalnym. Śląsk pociągał mnie i ziemią pszczyńską, cieszyńską i Beskidami. W Pszczynie, jeśli tylko mogę, spędzam każdą wolną chwilę. Mam tu sporo przyjaciół. Jest nim m.in. Aleksander Spyra, którego ja nazywam człowiekiem renesansu. Zna się na wszystkim. Założył skansen, Muzeum Prasy Śląskiej, drukuje. W Pszczynie polubiłem zamek, starówkę i niezwykły klimat.*

Do Pielgrzymowic wróciłem po raz trzeci. Zawsze fascynowała mnie ta miejscowość. W Polsce stawia się pomniki z kamienia. W tej małej pszczyńskiej wiosce ludzie postawili żywy pomnik żyjącemu dwieście lat temu Karolowi Miarce. Zbudowali najpiękniejszą szkołę. Stamtąd pochodzi najwięcej na ziemi pszczyńskiej nauczycieli. Zresztą mił wiedzy jest tam obecny do teraz.

Trudno powiedzieć mi, który z nakręconych o Pszczynie reportaży, jest mi szczególnie bliski. Kiedy oglądam np. „Jarmark Pszczyński” nie mogę powstrzymać się od myśli, że utrwaliłem historię lat stanu wojennego. Ta pustka i szarzyzna widoczna jest doskonale na ekranie. Fascynowała mnie zawsze kultura ludowa. Byłem oczarowany obyczajem Mikołajów spod pszczyńskiej Łąki.

Połowę z tych reportaży zrealizowałem z Janem Zubem, najlepszym do tej pory moim operatorem. Świetnie mi się z nim pracuje. On czuje klimat i wie, o co w tym wszystkim chodzi.

Atelier Wiesława Głowacza mieści się w niewielkim pokoju w katowickiej telewizji. W panujących ciemnościach oglądamy ostatni, nakręcony równo rok temu, reportaż o Pielgrzymowicach. Przewija się na ekranie dyrektorka szkoły, później sołtys... potem gra na organach pani Bronisława. Reżyser jest zachwycony tą miejscowością. — *Tu rośnie ogromny kilkusetletni dąb* — pokazuje. — *A ten chłopak to znakomity temat na reportaż.*

Po dwudziestu minutach na ekranie monitora zalega ciemność. Opuszczamy zaciszne studio. Wędrujemy jasnymi telewizyjnymi korytarzami. Trwa właśnie realizacja programu Kamila Durczoka. — *To nasz najzdolniejszy dziennikarz* — mówi Głowacz.

Durczok wyłania się zza płataniny kabli. Siedzi wygodnie na niebieskim tle. Jest odprężony i gotowy do nagrania rozmowy. Mówi coś o Jacku Sosce z PSL-u, którego udało mu się „zagiąć na pytaniu”. Nie przeszkadzając opuszczamy studio realizacyjne.

Potem jeszcze rzut oka na pracę redakcyjną zespołu „Aktualności”. — *Prezes o nas dba* — stwierdza Głowacz, pokazując niebieską kanapę, na której wykładają się zmęczeni dziennikarze. — *Jest dobrym menedżerem.* Rozmawiamy przy stoliku o nowych planach reżysera. — *Wolałbym nic jeszcze nie odkrywać* — mówi z wahaniem.

Jednak po kilku taktycznych pytaniach przyznaje, że chodzi o pszczyńskie Madonny. Chce nakręcić film o wizerunkach Madonny w pszczyńskich świątyniach, oczywiście z pomocą swojego przyjaciela Aleksandra Spyry, który ma zamiar wydać o nich książkę.

Rzecz o waltorni

Prawie 90-kilkuletni Jerzy Świerczek z Goczałkowic należy do najstarszych śląskich kapelmistrzów. Zaczynał grać na trąbce jako 18-letni chłopak. — *Chodziłem na naukę do kapelmistrza Feidta w Zabrzegu wspólnie z Józefem Ryszką* — wspomina Świerczek. Przed wojną grał jeszcze w powstańczej orkiestrze jednego z bielskich zakładów, a także na kopalni „Boże Dary” w Kostuchnie.

Najważniejszą część swojego życia sędziwy kapelmistrz związał jednak z orkiestrą kolejową w Czechowicach. Spędził w niej całe 25 lat. Do dziś chętnie wspomina przeżyte razem chwile. Koledzy zapraszają go nieraz na wspólne spotkania, urodziny. — *Przyjedź — mówią — bez ciebie jest inaczej*. Świerczek przyjeżdża. Lepsze to niż siedzenie w domu.

Do goczałkowickiej orkiestry trafił przez przypadek i dopiero po wojnie. — *Bez front nie było tu żadnej orkiestry. Kiedy powróciłem z niemieckiej niewoli zacząłem organizować wszystko od podstaw. Pozbierałem moich dawnych kolegów* — mówi Świerczek.

Jak wspomina kapelmistrz połowa z jego orkiestrantów już dawno nie żyje. Józef Ryszka grał na flighorni. Paweł Zimnol, Emil Pastuszka – to byli tenorzy. Jerzy Świerczek, Henryk Błaszczok – klarnety. Na basie grali Antoni Król, Jan Suchy i Ludwik Lazarek. Hornie –

Franciszek Pisarek. Klarinet – żyjący jeszcze Kazimierz Lazarek. Świerczek nie pamięta kto był kapelmistrzem przed wojną. Ale ci muzycy na pewno wtedy w orkiestrze grali. Najstarszymi muzykantami w orkiestrze Świerczka byli bracia Zbolały – Franciszek i Szczepan. Oni tworzyli „szarą elitę”. Grali na flihorniach.

— *Strasznie dużo muzyków było w Goczałkowicach – zwierza się Świerczek. – Zbiegało się dwudziestu młodych i zaczynało grać... Tworzyliśmy silną orkiestrę. Potem się to wszystko potraciło. Chłopcy się pożenili i odeszli do innych wiosek. Rudolf Kuska, który przejął po mnie orkiestrę, zaczął wtedy przychodzić na próby.*

Dęta miała wtedy charakter bardziej „smyczkowy” – miała w swoim składzie: harmonię, dwa saksofony, puzon, trąbkę, perkusję. Nie było wsi na ziemi pszczyńskiej, gdzie nie można było usłyszeć goczałkowickich orkiestrantów. Bywali na odpustach w Wiśle, Grzawie, Miedźnej, Ćwiklicach, Piasku, Woli, Radostowicach i Brzeźcach. — *Mieliśmy dużo wesel. Czasem jak zaczęliśmy grać w jedną sobotę, trudno było się do następnej wyrobić – wspomina Jerzy Świerczek. – Wykonywaliśmy przeważnie swojskie utwory ludowe. Nuty sprowadzałem z Czech. Były tanie i łatwo dostępne. Graliśmy więc czeskie marsze i polki. Na mszach odpustowych, Bożym Ciele w na-*

szym parafialnym kościele brzmiały wspólnie arie operowe.

Dzięki tradycji rozpoczętej przez kapelmistrza Świerczka, goczałkowicka orkiestra gra np. na brzeskich odpustach od kilkudziesięciu lat. — *Zaprosił nas do Brzeźca ks. Ernest Bijok, proboszcz tamtejszej parafii – tłumaczy. – Przysłał po nas wóz. Po uroczystej sumie zaproszono nas na obiad do karczmy. Popołudnie spędziliśmy u Harazina, tamtejszego gospodarza. Ponieważ parafianom spodobało się nasze granie, zaproszono nas też po raz drugi.*

Od tej pory goczałkowickich muzyków można było spotkać w Brzeźcach co roku. — *W czasie pierwszej peregrynacji Obrazu Jasnogórskiego grałem z kościelnej wieży na trąbce hymn maryjny. Byłem tam z Józefem Ryszką, z którym uczyłem się grania – mówi Świerczek. – Ryszka był lepszym trąbistą niż ja, ale podziwiał mnie za jedno. "Jurek, jak ty poradzisz to wszystko rozpiścić na nuty". Po prostu umiałem. Każdą partyturę trzeba było rozpiścić – osobno dla waltorni, puzonu, trąbki itp.*

Muzycy przychodzili na próby w czwartek. — *Gromadziliśmy się u mnie, kolegi lub w salce parafialnej – dodaje. – Moja orkiestra była zgranym zespołem.*

Kapelmistrz Świerczek już nie gra ani nie pisze nut. Swoją trąbkę oddał orkiestrze. — *Mnie muzyka zawsze cieszyła...*

Sroka w Białej Wizytówce

Nie każdy wie, że sroka to nie tylko ptak. Tak nazywa się forsowny taniec ludowy, który w Goczałkowicach zna już tylko 81-letnia Łucja Głąb. Tańczyła go z nieżyjącym mężem Ryszardem w filmie Filipa Bajona „Biała Wizytówka”.

— *Księżę się żenił* — opowiada pani Łucja kręconą kilkanaście lat temu scenę. — *Na rynku przy zgromadzonym tłumie tańczyłam srokę. Przygrywali nam muzycy z naszej orkiestry dętej. Reszta naszego zespołu tańczyła koło mnie. Księżę wsiadł do powozu i odjechał. Tak jest w filmie.*

Srokę trzeba umieć tańczyć. Wymaga ona niezwyklej werwy. Tańczący podskakują w rytm melodii naśladując srokę. — *Najlepiej wychodzi to młodym dziewczynom* — uśmiecha się pani Łucja demonstrując kroki. — *Nauczył go mnie mój mąż Ryszard. Jego z kolei uczył dziadek Jan Jonkisz, którego zapraszano do gospody u Kołoczka, by zańczył srokę. To bardzo stary ludowy taniec. I nie jest znany nigdzie poza Goczałkowicami.*

Dlatego kilka lat temu wzbudził taką furorę na festiwalu folklorystycznym w Rzeszowie. Pani Łucja przywiozła z niego porcelanowe misie, które teraz stoją na kuchennej komodzie. — *Zajęliśmy wtedy pierwsze miejsce* — wspomina.

Zespół regionalny, w którym występuje Łucja Głąb, obchodził niedawno półwiecze istnienia. — *Śpiewa w nim teraz trzynaście kobiet i siedmiu mężczyzn. Opiekuje się nami Rudolf Kuska, kapelmistrz orkiestry dętej. Dawniej prowadził nas Jan Szema, miejscowy organista* — wspomina.

Sroka, obok karnawałowego obrzędu pożegnania basa, należy do zwyczajów znanych i pielęgnowanych tylko w Goczałkowicach. Podobnie było z mietlorzem, tańcem z miotłą, który od goczałkowskiego zespołu przejęły inne. Pani Łucja marzy, że zdąży je przekazać następcom.

Wolny człowiek

Nigdy nie chciał wyjechać do Ameryki, bo ona nie jest już taka, jak kiedyś. Jaka być powinna. A ma być taka, jak w jego filmowych opowieściach – czarno-biała. To, co dobre – białe, pokonuje w końcu – nawet po długich perypetiach – złe, czyli czarne.

Powiadają o nim śląski kowboj z Bojszów. I on w pewnym momencie złapał się na tym, że filmowy Wawrzyn Złotko wyszedł z ekranu i mówi własnym głosem. On, Józef Kłyk, zrół się ze swoim bohaterem. Zaczął nawet myśleć westernowymi krajobrazami, a to w szarej komunistycznej Polsce stanu wojennego nie było zbyt bezpieczne. – *Chciałem rozpieprzyć te kolejki* – wspomina Kłyk. – *I krzyczeć: ludzie za czym stoicie, szkoda czasu! Chciałem, tak jak rasowy szeryf, wziąć sprawy swoje ręce i zrobić z tym porządek. Ale górę wzięła śląska wstrzemięźliwość. Trzeźwa ocena sytuacji. Klepnąłem się w łeb. Chłopie, czyś ty z konia spadł. W jakim świecie żyjesz?! Kręciłem wtedy „Człowieka znikąd” i wiedziałem, że ten rzeczywisty świat nie może dłużej pociągnąć. Został mi tylko nerwowy, westernowy chód szeryfa, który rwie się do walki o prawdę.*

Dziś głowa Józefa Kłyka wciąż pełna jest pomysłów. Brakuje tylko jednego – wolności. Kłyk jest bowiem, jak każdy artysta nieprofesjonalny, człowiekiem niezależnym od wielkich wytwórni. Właściwie należałoby powiedzieć – to on jest wielką wytwórnią, bo – w co nie wszyscy do dziś wierzą – od scenopisu przez rekwizyty, kamerę, reżyserię, montaż – wszystko jest jego dziełem. To on dobiera aktorów, mieszkańców Bojszów. Tworzy, zmienia i przedstawia. Boli go jednak, że nie jest w pełni niezależnym. Bo w obecnych czasach wolność kojarzona jest z pieniądzem. A twórcy autorscy są pełnym przeciwieństwem współczesnej wizji świata filmu, gdzie każdy produkt odpowiada na określone zapotrzebowanie wyrażone w dolarach (z reguły). W Kłykowych produkcjach owszem, ten dylemat istnieje, ale tylko i wyłącznie w westernowym wydaniu. Dobro jest niematerialne i ono w końcu zwycięża. Szmal się nie liczy. Dosłownie. 36 lat kręcenia filmu oznacza pokonywanie trudności wyższych niż Himalaje. To zasługa niezwykłego hartu ducha. Poza tym Kłyk cały ten śląski Dzik Zachód traktuje zawsze tak samo – z przymrużeniem oka. Jak dobrą zabawę. Nie przez przypadek pierwsze jego produkcje były komediami.

Spowiedź kowboja

— Najbardziej na moją dziecięcą wyobraźnię działało kino. Niestety, nie wpuszczano nas do wnętrza tawerny, bo byliśmy za mali. A kiedy już znalazłem się na sali, bardziej niż treścią interesowałem się tym, jak powstaje obraz. Dlaczego coś terkocze i miga? Po skończonym seansie oglądało się szmatę – ekran z obu stron. Nie wierzyliśmy, że to jest możliwe. Dwunastoletniemu smarkaczowi, jakim byłem, utkwiał mocno w pamięci pełnokolorowy western „Rio Bravo”. Ponieważ byłem zbyt mały, znowu musiałem „przemycić” się do sali. Lubiłem się w niej bawić, więc znałem różne kryjówki. Na rozpoczęcie seansu czekałem ponad dwie godziny ukryty za teatralną kotarą, wśród różnych staroci i rekwizytów. Począłem aż sala się wypełni i – zanurkowałem w tłum. Kto by tam zauważył takiego małego synka... Pamiętam do teraz ballady z tego filmu śpiewane przez Ricki Nelsona i Dina Martina. Tkwią we mnie. Powielane były nawet w moich późniejszych filmach. To było moje pierwsze zauroczenie westernem, choć droga do niego była jeszcze dosyć długa.

Pierwszą klasę rozpocząłem od notorycznego wagarowania. W pierwszym miesiącu szkoły, nie było mnie przez dwa tygodnie na lekcjach. Bawiłem się kamieniami w ruinach byłej karczmy zwanej przez miejscowych „Kazamaty”, bo leżała blisko mojego rodzinnego domu. W szkole mi się nie podobało. Podczas występów działwy szkolnej w bojszowskiej karczmie zachowałem się przekornie i wymachiwałem nogami w odwrotną stronę niż reszta. Ojciec, który był przy szranku, skomentował tę sytuację słowami: „Wszyscy zawalili, ino mój dobrze wypad”.

Później zacząłem żałować, że tyle tych „teatrów” przeszło mi koło nosa – a ja ciągle się wyłamywałem. Przecież mogłem się czegoś ciekawego nauczyć. Ale niestety. Zawsze ciągnęło mnie w inne strony –

w las, do starszych ludzi, ku koniom. Nie cierpiałem dyktatu. A nauczycielki lubiły nami rządzić i pouczać.

Moją przyszłość ujrzałem na strychu bojszowskiej karczmy. Były tam stare patefony, instrumenty muzyczne, meloniki, czasopisma z fotosami. Zauważyłem tam mnóstwo starych rupieci, które mogłyby z powodzeniem zostać wykorzystane w hollywoodzkim filmie. To działało na wyobraźnię. Podziwiałem fotografie z plonów najlepszych amerykańskich filmów, jak choćby słynna „Gorączka Złota”. Wtedy zainteresowałem się postacią Chaplina. Pamiętam, że na jednym ze zdjęć było widać dekorację miasteczka podpartą deskami. Zrozumiałem wtedy, że film jest jedną wielką iluzją.

Przebrałem się za Chaplina. Wziąłem stary melonik, laskę, która poniewierała się na strychu, no i stare buciory. Wlazałem na scenę, gdzie bawiły się dzieci z naszej ulicy. Kiedy mnie zobaczyły, przerwały zabawę. Potem wziąłem drabinę, po której zacząłem wchodzić i spadać. Śmiechom nie było końca. Wtedy w mojej głowie nieśmiało zaświtała myśl – a może by to tak wszystko sfilmować? Nie wiedziałem jeszcze, co w życiu będę robił. Jednego byłem tylko pewien, że kiedyś kupię sobie kamerę. Najpierw zacząłem kompletować stroje do – jak to sobie obmyśliłem – „Trzech muszkieterów”. „Najwyżej będzie z tego teatr” – pomyślałem – „a jak się uda to nakręcimy film”. Zacząłem szyc stroje. Wszelkie oszczędności przeznaczając na kupno materiału, płótna na czerwone flagi. Na bojszowskim odpuszcie kupiłem duże słomiane kapelusze, które własnoręcznie przerobiłem. Zaopatrzyłem je w efektowne pióropusze. Wykonałem szable z drewnianych listew i pomalowałem na srebrno. Wyglądały jak prawdziwe. Tak doszedłem do etapu, w którym brakowało mi tylko kamery.

Miałem wtedy 15, a może 16 lat. Kamera, o której marzyłem, kosztowała w jednym

z tyskich sklepów około siedmiuset złotych. Zebrałem wszystkie oszczędności i stałem się jej szczęśliwym posiadaczem. Była to prosta ruska kamera. Miała tylko jeden obiektyw i przysłonę. Bez światłomierza. Zasilana była baterijką, co miało również swoje ujemne strony. Kiedy bowiem bateria się wyładowywała, kamera pracowała coraz wolniej, a utrwalony obraz dostawał niesamowitego przyspieszenia. Było to zauważalne dopiero podczas projekcji filmu. Mimowolnie wychodziła nam komedia.

My, młodzi chłopcy i dziewczęta, baliśmy się ludzkiej reakcji na nasze niepowodzenie. Dlatego nasz pierwszy film powstawał na strychu. Pojęcia zielonego nie mieliśmy o filmowaniu. Połowa z zamierzonych rzeczy nam się nie udała, bo oczywiście nie dysponowałem obecną wiedzą. Nie wiedziałem, że taśma filmowa, której używam jest zbyt mało czuła. Nie miałem pojęcia, jak używa się przysłony. Dlatego większość scen rozgrywała się w kompletnych ciemnościach. Chaplin wyszedł nam tylko dlatego, że sceny realizowaliśmy naprzeciw okna. Nic innego z naszego filmowania nie pozostało. Przez przypadek film trafił do jednej z katowickich pracowni fotograficznych. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem prawdziwe laboratorium. Po projekcji filmu otrzymałem od pani Gabrieli Boronowskiej kilka przydatnych wskazówek. Jej mąż pracował w Telewizji Katowice. Kilkanaście lat później otrzymałem nagrodę imienia Norberta Boronowskiego za western pt. „Człowieka znikąd” nakręcony wspólnie z mieszkańcami Bojszów. Ten człowiek pomógł mi stawiać pierwsze kroki w filmowej karierze.

Od komedii do westernu

— Zacząłem od inscenizacji nowojorskiej ulicy koło rodzinnego domu. Wysypaliśmy piach. Wstawiliśmy w ceglaną ścianę ślepe wystawowe okno. Pomysł był taki –

Chaplin miał zbierać papierki, które ciągle mu jakoś uciekały i wreszcie dopada je na rogu domu. Tuż za rynną stoi policjant, bacznie przyglądający się temu, co robi Charlie. A Chaplin przez roztargnienie zamiast nabić na kij śmieci, nabija buty policjanta. I zaczyna się szaleńczy pościg. Ponieważ był to 1967 rok, a my powypisywaliśmy amerykańskie napisy, na moim podwórku rychło zjawiała się milicja. Bojszowski stróż prawa zaczął się awanturować o to, że robimy imperialistyczną propagandę tą scenografią.

Na planie bywały sytuacje humorystyczne. Scena, gdy przez okno wchodzi złodziej wymagała silnego światła. Aktor, który grał opryszka, miał maskę á la Zorro, pistolet. Ale kiedy wchodził przez okno, a my go filmowaliśmy, ktoś na całe Bojszowy rozdarł się, że do Kłyków włamuje się bandzior. Matka wyleciała z widłami w środku nocy o mało nie zabijając mi aktora. Larma było na pół wsi.

Pierwszy publiczny filmowy pokaz we wsi przełamał lody. Miejscowi zaczęli doceniać mój talent. Prezes GS-u zaproponował mi kręcenie reportaży o wsi. Ale nie było to takie łatwe. Ludzie mnie przeganiali. Kombatanci bali się, że jestem nasłany przez szefa do pilnowania czy przypadkiem nie piją przy robocie. Kobiety najpierw odruchowo poprawiały fryzury. Ludzie reagowali jak na widok fotografa. „Chcesz mnie filmować w takich łachach? Przydź, jak byda pijknie ubrany” — mówili. Nikt nie dał się filmować na żywo. A przecież o to chodziło.

Przez trzy lata bawiłem się z przyjaciółmi kręceniem niemych, dynamicznych komedijek. Wreszcie po nieustannym przerabianiu Chaplina i Lloyda, wpadłem na pomysł sparodiowania westernu. Film nosił tytuł „Napad na dylizans”. Od sąsiada wypożyczyłem landauer, który został przerebiony na karetę. Nakręciliśmy napad w konwencji komediowej. Była bójka. Tropienie bandytów. Pojedynek w kanionie.

Dla naszej publiczności był to rasowy western. Ciekawi byli jak np. nakręciliśmy rykoszety strzałów. Polegało to po prostu na rzucaniu grudek piasku i odpowiednich zbliżeniach kamery. „Chłopcy, tu sie ni ma z czego śmiec — usłyszeli aktorzy. — Idealnie grocie, bijecie się i strzylocie. Róbcie te westerny.”

Mój Dziaki Zachód

Z nakręconej trylogii „Szlakiem bezprawa” - składają się na nią pełnometrażowe filmy: „Człowiek znikąd”, „Full śmierci”, „Wolny Człowiek” - pozostały taśmy, nagrody i rekwizyty. I prawdziwy saloon kowbojski, w którym gościły stacje telewizyjne z całego świata.

Jesteśmy w tym legendarnym saloonie. Kłyk bierze kapelusz do ręki i snuje swą opowieść o Pannie Marii, miejscowości, w której nigdy nie był, ale którą zna lepiej od niejednego Amerykanina. — Jak przyjechali do mnie filmowcy ze Stanów, powiedzieli mi, że drugiego takiego wariata nie ma na świecie. Nie mogli uwierzyć, że scenariusz można sobie napisać na kartce, do tego stworzyć samemu cały zestaw strojów, przebrać ludzi, zrobić z nich amerykańskich bandziorów, posadzić na konie, które nigdy pod siodłem nie jeździły, tylko pola orały. Nie wierzyli, że bez udziału ekipy można coś takiego stworzyć. Byli mocno zdziwieni moim sposobem filmowania. Hollywoodzcy producenci znacznie później wpadli na pomysł reporterskiego zapisu, co podnosiło autentyzm filmu. „Jak pan na to wpadł?” — pytali zdumieni. Odpowiadałem, że po prostu wymyśliłem pewną historię: mój dziadek wyjechał z kamerą do Ameryki i próbuje mi w ten sposób coś przekazać...

Trudno znaleźć westernowe krajobrazy w środku zielonej gminy Bojszowy. — Tak wspaniałej pogody już nie będzie w tym roku. Muszę prędko nakręcić spalony meksykański pejzaż — pomyślał pewnego razu Kłyk. Wziął więc stroje i ruszył samochodem

do Bojszów. Niedaleko nasypu kolejowego, który miał stać się filmowym planem, gospodarz kończył właśnie orkę pola. Rolnik śpieszył się do domu, ale wypożyczył „wierzchowca”. — Gospodarz nie chciał zostać i wziąć kamery, bo miał zgrzybiałe od roboty ręce — wspomina Kłyk. — Patrzę, a na rowerze lekko zawiany wraca jakiś facet. Wyskakuję przed nim w stroju kowbojskim, trzymając konia. Pijak zahamował. „Czy jo już jest taki naprany?”, zapytał. „Nie, nic się panu nie zdaje, zaprzeczyłem, i jeszcze będzie pan dzisiaj filmował! Gość dał się przekonać do filmowej przygody „za pół litra”. — To taka westernowa waluta — tłumaczy Kłyk. — Ustawiłem wszystko, wykadrowałem, posadziłem drzewka, żeby wiedzieć jak daleko jechać. „Filmowiec z przypadku” miał tylko naciśnąć wążek fotograficzny i krzyknąć, kiedy napęd sprężynowy w kamerze przestanie działać. Podczas projekcji „Człowieka znikąd” w Bojszowach na widowni siedział ten właśnie pijaczyna. „To ja kręciłem”, zakrzyknął z dumą, gdy zobaczył mnie na koniu w jednej ze scen. Ale zaraz dostał po łbie od innych za to, że nie mówi do rzeczy. Po filmie, gdy tylko Kłyk wyszedł na scenę, nie wytrzymał. — „Panie, czy to ja filmowałem tę scenę?”, zapytał. Potwierdziłem, co podniosło go mocno na duchu.

Kosmiczna objazdówka

W latach 60., czasach dzieciństwa Józefa Kłyka, modne stały się kina objazdowe. Pszczyńska objazdówka nosiła oficjalną nazwę: „Kino ruchome numer jeden przy kinie Wenus”. — Aparatura nie była najlepszej jakości, ale „chodziła” — wspomina bojszowski filmowiec. — Kierownikiem kina był Benedykt Watóła z Bojszów, który w latach pięćdziesiątych razem z Pawłem Knopkiem założył kino „Tęcza” w Bojszowach. Przyjąłem się do pracy w objazdówce 1968 roku jako młody operator. Jeździłiśmy regularnie po kilkunastu wsiach powiatu pszczyńskiego. Na nasze seanse przychodzili nawet Czesi, którzy dziwili

się, że mamy kinowe nowości wcześniej niż oni. Publikacja nie lubiła ambitnych produkcji. Chodziło jej – zresztą tak jak i teraz – o typowe kino akcji. Tyle, że w latach 60. było o to bardzo trudno. Kina objazdowe nie dość, że dostawały najgorsze kopie, to najczęściej filmy z krajów socjalistycznych. Amerykańskie produkcje były praktycznie nieosiągalne. Sytuacja ta poprawiła się trochę „za Gierka”, kiedy Polska trochę bardziej otworzyła się na świat. Popularne stały się filmy płaszcza i szpady jak np. „Trzej muszkietierowie” czy wojenne – „Działa Nawarony”. Wśród wyświetlanych filmów dominowały westerny europejskie, jak NRD-owski „Winnetou”. Ludzie zawsze żądali strzelaniny i mordobicia. Bawiono się na francuskich komediach z Louisem de Funesem. Tylko wiejska inteligencja atakowała nas, że puszczamy szmirę. Przywieźliśmy parę razy ekranizacje „Faraona” czy „Lalkę”. Ale normalni widzowie wychodzili z sali. Na „Popiołach” się męczycy. To był trudny w odbiorze film. Niektórzy odgrązali się, że jeśli przywieziemy „takie pieroństwo” to popamiętamy.

Różaniec z kolczastego drutu

— Już taka we mnie niepokorna, westernowa natura — mówi bojszowski filmowiec. — Musiałem pokotłować ten film, inaczej w ogóle bym go nie zrealizował. Ucieczka aktora Augustyna Kowalczyka z obozu w Oświęcimiu nie była w rzeczywistości tak dramatyczna, jak w filmie. Przynajmniej, obawiałem się, jak film odbierze Kowalczyk. Pamiętam, że przyjechał do Bojszów z wycieczką niemieckich nauczycieli. Opowiedziałem mu, jak widzę wersję wydarzeń, które przytrafiły się uciekającemu z obozu człowiekowi. Uczestnikom spotkania spodobało się i zaczęli klaskać. Kowalczyk się tylko uśmiechnął. Jakiś czas później dowiedział się z telewizji, że realizuję film i zadzwonił do mnie. Powiedziałem wtedy, że nie sztuka krzyczeć, że się film robi, jeśli nic z niego nie wyjdzie.

Kłyk zabrał się do roboty tradycyjnie, jak amator i wielki miłośnik tej sztuki, bez pieniędzy i z grupą oddanych mu ludzi. — Nie było mnie stać na pokazanie przetrzutu Kowalczyka pociągiem — wspomina Kłyk. — Nie zelektryfikowanych linii kolejowych, nie spotyka się już nawet w Bieszczadach. Przerzut nakręciłem na moście w Międzyrzeczu. Dom z obejściem, gdzie ukrywał się Kowalczyk, zachował się, ale tydzień przed realizacją weszli tam fachowcy z byłej kopalni „Czczcott” i całą chałupę zankrowali... Starych mebli też niewiele się zachowało. U Wróbla znaleźliśmy całą starą kuchnię. Konie pod siodło wzięliśmy od Wiesława Czarnynogi z Bojszów, właściciela rzeźni. Krowy dał nam Mateja z Jajost. Berger użyczył starej stodoły. Podziwiamy filmowe atelier mistrza, który własnoręcznie wyprodukował sterty rekwizytów. — Esesmańskie hełmy są z masy papierowej. Jeden z nich nadgryzły myszy...

Teksaska wigilia

— Ponieważ w Teksasie nie ma śniegu, a na planie filmowym było go pełno, zatkaliliśmy okna żółtymi szmatami imitującymi poślask słonecznej prerii. Zdjęcia realizowane były w zabudowaniach rodziny Wróblów. Stare śląskie meble, garnki i inne kuchenne sprzęty wypożyczył nam ks. Dariusz Walencik rodem z Imielina, który zbiera takie rzeczy. Ma w swojej kolekcji kilkanaście kompletów mebli i sporo śląskich strojów — relacjonuje Kłyk.

Pojedynek w kanionie. Piękne plenery. Tak — to właśnie kolejny śląski western. Byłem wtedy reporterem jednej z regionalnych gazet. Pamiętam do dziś, że napisałem: „Znany śląski reżyser Józef Kłyk wspólnie z Wojciechem Wikarkiem kręcili wigilijne sceny westernu „Dwaj z Teksasu”. Mimo zimy za oknem atmosfera na planie jest ciepła, by nie rzec — jak w Teksasie — gorąca. Przypomnijmy, że rolę Meksykanki lekkich obyczajów gra uroczą Aleksandra K. z Bojszów, w której żyłach płynie domieszka ognistej, włoskiej krwi - po

babce. Dla akcji filmu ta postać jest najważniejsza. O nią będą się pojedynkować główni bohaterowie: John Wesling Hardin i śląski zabijaka Marcin Mróz.” Po tym tekście filmowi gwiazdorzy chcieli mnie znaleźć i stoczyć ze mną prawdziwy pojedynek. Za to, że napisałem „lekkich obyczajów”. Ale ja też uległem urokowi Oli.

Czterech synów ojciec miał

— Stare śląskie domy znikają zbyt szybko. Trudno odnaleźć nawet oryginalny kredens w kuchni czy pokój gościnny. Mój przyjaciel Alojzy Lysko podsunął mi tę gajówkę w Międzyrzeczu — mówi Kłyk. W takich właśnie plenerach poruszają się bohaterowie jego opowieści z czasów ostatniej wojny. Reżyser otwiera ogromny notatnik ze scenopisem. Wypakowuje z pożyczonego cinquecento (bo własne się zepsuło) stertę strojów. — Hanslika gra Grzegorz Zlezczyk, Łojzika Adam Czarnynoga, Ericha Artur Czarnynoga — wymienia posiłkując się wypowiedziami aktorów. — Rudi to Jarosław Jodłowski. W żonę Hanslika wcieli się Agata, ta śliczna blondynka.

Agata Malarek pochodzi ze Świerczyńca. Jest skupiona na każdej filmowej kwestii. Niecierpliwi się tylko jej chłopak w roboczym ubraniu, który najchętniej natychmiast zabrałby ją z planu i miał tylko dla siebie. — *To nasz osiemnasty dzień zdjęciowy — informuje Kłyk. — Jeden z ostatnich. Przećiętny western trwało koło trzydziestu. Wszystko wyjdzie po przejrzeniu materiału zdjęciowego. Mogą zdarzyć się dokrętki.* Zbyszek Cichy, jeden z wiernych aktorów Kłyka, „dusza towarzystwa” dopowiada, jak równo rok temu wiosną koło tej samej gajówki kręcili ujęcia wjazdu niemieckich motocykli, strzelaniny. — *Ludzisków się zeszło, że ho ho. Akcja była na całego.*

Teraz reżyser zamierza nakręcić sceny we wnętrzu gajówki. Znalazł tu przepiękną izbę. Pełno w niej myśliwskich akcesoriów: zdjęcia myśliwych z księciem pszczyńskim, rogi, ryj upolowanego dzika, o który

nieopatrznie zahaczam głową. Przepiękne lustro i nabożne obrazy tworzą niezwykle klimat. Franciszek Pośpiech, na fotografii, na której pokotem leżą upolowane żubry, wskazuje swego ojca Jakuba. Reżyser wprowadza do izby aktorów. Tłumaczy jedną ze scen. Dwaj bracia partyzanci siedzą na tapczanie. Nagle wpadają dwaj żołnierze Wehrmachtu z dumnym oficerem (w tej roli Damian Wróbel), którzy odkrywają broń i wyprowadzają braci. Scena grana jest w prawie całkowitym milczeniu. Oficer Damian daje tylko wymowny znak gestem ręki do wyprowadzenia partyzantów. Potem następuje gra spojrzeń między nim a Hanką, żoną Hanslika. „A mogłaś mnie mieć!” — myśli Damian spoglądając w wiekowe zdrzadło. Bywał częstym gościem w domu braci. Ale w chwili próby okazał się niemieckim konfidentem.

Janusz Wyderka, nieco chory, kręci się po izbie z kamerą. Zbliżenie twarzy Damiana, potem Agaty. — *Zajmij się czymś — prosi Kłyk, więc dziewczyna przekłada paciorki koralu na stole. Scena z wtargnięciem niemieckich żołdaków jest kilkakrotnie powtarzana. Raz zacięła się klamka. Potem, któryś z żołnierzy miał problem z pozbieraniem partyzanckich karabinów, które jak na złość zaczęły się o tapczan. — Z takimi żołdakami Hitler wojny by nie wygrał — żartujemy.*

— *Jesteście zajęci rozmową — tłumaczy braciom kolejny epizod Kłyk. — Palicie. Można, panie Franciszku? Kto ma zapalki? Nie macie. A zapalniczkę? Tak może być. Już wtedy były, tyle że metalowe a nie plastikowe. Dlatego nie pokazujcie ich za bardzo w dłoniach.*

W ścianie widać całkiem współczesne gniazdko. Jedno zakrywa koszyk z jaskłami, inne aktor. Na stole pojawia się faszka wina (produkcji Kłyk, skonsumowana później przez aktorów) i kilka innych drobiazgów. Agata wnosi chleb z tacą. Kolejny klaps. Agata zaczęła się śmiać. Następne ujęcie wychodzi zupełnie naturalnie.

— *Filmujcie mnie* — wrywa się aktorowi, któremu niemiecki hełm zakrywa niemal całą twarz. Przed chwilą grał jednego z braci. To właśnie jest nowe w tej produkcji *made by Józef Kłyk*. Jeden aktor odtwarza kilka ról. Dlaczego? — *Wiesz, Józkowi już się tak ludzie nie garną do grania, jak dawniej* — wzdycha Zbyszek Cichy. — *Nie mają czasu. Jest robota, pieniądze. Nie są też słowni. Jednego to musieliśmy z łóżka ściągać, bo imprezował całą noc. Zostali najwerniejsi.*

Post scriptum

— *Nie pojadę do Ameryki nawet gdybym mógł. Boję się rozczarowań. Moja Ameryka jest inna. Westernowa* — te słowa dolatują do mnie w saloonie, który odwiedzam któryś z kolei raz na przestrzeni lat. Stroje kowbo-

jów, Indian są lekko sfatygowane, bo wypożyczono je na imprezę w stylu country. Jakiś farsz zachwycony meblami saloonu, chciał je wszystkie władować na wóz i wywieźć na jakiś czas. Józef Kłyk to człowiek instytucja, nikomu nie odmówi pomocy. Czarny melonik, który grał w pierwszych filmach à la Chaplin jest rozdarty. Chyba tak jak serce filmowca — myślę. — *Nic nie szkodzi, naprawię wszystko* — uspokaja mnie bojszowska złota rączka, filmowiec amator, który wyrabia cuda. Poklei nawet rodzinny film, który nieopatrznie podarł się komuś podczas projekcji. Melonik się poszyje i będzie jak nowy. Prawie. Szkoda go, bo chyba jeszcze sprzed pierwszej wojny. Wczoraj znowu dzwoniła gazeta. — *Nie nudzi pana opowiadanie tak bez końca o tej Ameryce?* — pytam. Kłyk uśmiecha się. Zna tę opowieść na pamięć.



Zaklinacze pogody

Kiedy na niebie gromadziły się gradowe chmury - a nadchodził czas żniw - ludzie odwoływali się do pomocy chmurników, ludowych magów, nazywanych także zaklinaczami pogody. Ratowano w ten sposób zbiory przed zniszczeniem, a rodziny przed widmem głodu.

— *Moja mama pracowała przez sześć lat w majątku dworskim w Rudółtowicach* — opowiada 84-letni Józef Grolik, mieszkaniec Jankowic koło Pszczyny. — *Pewnego razu praca w polu przedłużała się. Niebo zachmurzyło się i zbliżała się ogromna ulewa. Do domu w Rudawkach było dość daleko. Droga wiodła przez pola. Grzmiało. Dziewczyny biegły, by jak najprędzej schronić się do pierwszego napotkanego po drodze domu. Naraz wszystko ucichło, a gromada przerażonych dziewcząt napotkała postać człowieka ubranego w suknię, niczym ksiądz, który - jak zauważyły - nie miał głowy. „Śpieszcie się do domu” - ponaglił je nieznajomy. Dziewczynom nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wszystkie przestraszone wpadły naraz do izby.*

Miejscowi rozpoznali w postaci bez głowy mitycznego chmurnika. — *W Jankowicach „chmury zażegnował” dawniej niejaki Du-*

niok — opowiada Józef Grolik. — *Pamiętała go jeszcze moja matka. Wspominała, że gdy ludzie suszyli siano, podchodził i ostrzegał, że wkrótce nadejdzie wielka chmura. „Odsuńcie się i grabcie dalej siano w kopki — ostrzegał. — Jo na chwila odynda i byda się wadził z Chmurnikiem”.* Dulnikowe „wadzenie się” z Chmurnikiem, który odpowiedzialny był za pogodę trwało nieraz kilka godzin. Wbijał pośrodku pola swoją nieodłączną „kryczkę”, zawieszał na niej kapelusz i odchodził na kilkanaście metrów, by na uboczu rozpocząć magiczną kłótnię o pogodę z Chmurnikiem. Nikt nie wiedział, z kim wytkóca się Dulniok, ale też mało kogo to interesowało. Ważny był efekt końcowy. Cała reszta skazana była na ludzkie domysły, wiarę albo sceptycyzm. Ludowych zaklinaczy pogody otaczał należyty mir. A ich nadprzyrodzone umiejętności wcale nie należały do rzadkości.

Bywało jednak, że kapryśne, niebiańskie siły niewiele robiły sobie z ludzkich starań. - Dwa wielkie gospodarstwa rozdzielała miedza. Dojrzewało zboże. Chmurnik powiedział, że pojedzie miedzą z gradem i zniszczy uprawy. — „Miedzą se możesz jechać, ale nie śmiesz

nic przybrać” — ostrzegał wszechpotężnego Chmurnika ludowy mag, który „zażegnował” chmury. Jednak Chmurnik mało się tym przejął. Grad zniszczył dziesięciometrowy pas zboża ciągnący się po obu stronach miedzy. Reszta pozostała nietknięta - opowiada Józef Grolik.

Poprawianiem pogody trudnili się również duchowni. W Ćwiklicach proboszcz Vogt znany był z tego, że przed burzą modlił się z brewiarza. Podobnie jak jankowicki Dulniok zawieszał na lasce czapkę i - jak opowiadają świadkowie - w farskim ogrodzie „wadził się” z Chmurnikiem. Nieraz przez kilka godzin. Magiczną siłę zażegnywania gradowych chmur posiadał także proboszcz Franciszek Ruhnau z Brzeźc koło Pszczyny, który duszpasterzował tu przez ponad trzydzieści lat. Miejscowi znali go z tego, że w najbardziej pochmurne dni brał brewiarz i wędrując polami „rzykoł”. Ciężkie, gradowe chmury omijały parafię szerokim łukiem nie czyniąc szkody w zasiewach. A księdza Ruhnaua otacza do dziś we wspomnieniach parafian nimb świętobliwego człowieka. W przeciwieństwie do ludowych chmurników skazanych tylko na legendę.

Noc nad Świerczyńcem

Ludzie mówią, że na ciemnickich polach kłusownicy chodzą z noktowizorami i polują na zwierzynę z samochodów. Nigdy jednak nikogo nie udało się złapać.

Siedzimy na leśnej ambonie na Markowcu już drugą godzinę. Zwierzęta nie wychodzą z lasu. — *Tylko jedno na trzydzieści wejść kończy się upolowaną zwierzyną* — mówi Jerzy Kasprzyk, świerczyński leśniczy.

Leśna polana, przy której stoi ambona jest cała biała. Zalegającą nad nią ciszę przerywają tylko odgłosy spadającego z koron drzew śniegu. — *O, idzie* — wyrwa się Kasprzykowi. Nasłuchujemy. Rozlega się tylko świst wiatru, choć wydaje nam się co chwilę, że dochodzą do nas odgłosy łamanych przez zwierzynę gałęzi. To tylko śnieg spadający z koron drzew.

Nie ma pełni, ale wszystko widać. Spoglądam na polanę przez lunetę kniejówki, broni podanej mi przez leśniczego. Wszystko jest osiem razy bliżej nas, bo tyle powiększa niemiecka luneta czeskiej broni.

— *Dobry myśliwy dwa razy się zastanowi zanim strzeli do zwierzyny* — mówi świerczyński leśniczy, biorąc mi ciężką broń.

Ambona to dla niego ważne miejsce. Przychodzi tu, jeśli tylko może, nawet kiedy większość lasu skrywają śnieżyce i skrzący mróz.

— *Czasami zwierzyna przychodzi w najmniej oczekiwanym momencie* — opowiada. — *Pamiętam, że kiedyś już byłem na drabinie, a z lasu wyszły na polanę dwa dziki. Zdążyłem jednak wrócić, położyć wszystkie rzeczy i ustrzelić dzika. Poczekamy jeszcze chwilę.*

Nad polaną widać łunę świateł. — *To Woła odległa stąd o dziesięć kilometrów* — mówi leśniczy. — *Z tamtej strony widać Tychy. To dziwne miejsce. Niby środek puszczy. A jednak docierają tu odgłosy jadących pociągów, ERG-owskich syren czy szum jadących samochodów. Cywilizacja jeszcze tu nie dotarła, choć rozciąga wokół swoje kleszcze.*

Wyruszyliśmy z leśniczówki citroenem berlingo po południu, tuż przed zmierzchem. Nie spotkaliśmy w lesie nikogo, poza miejscowym myśliwym, który na łowy wyruszył mercedesem. — *To emerytowany górnik* —

mruknął leśniczy. — *Zgubił wczoraj listwy w tym śniegu.*

Po drodze minęliśmy jeden z czterech pachnących sianem paśników dla zwierzy-
ny. — *To nie jest ich ulubiony przysmak —*
mówi Kasprzyk. — *Ale pozwala im prze-*
trwać trudną zimę. Taką jak ta.

Koło paśnika leży sterta zawalonych śnie-
giem bali i desek. — *Starego paśnika nie*
można od razu sprzątnąć, bo zwierzy-
na już tu nie przyjdzie — tłumaczy. — Wokół
tego miejsca nie powinno się wiele zmie-
niać. Tu nie wolno strzelać do zwierzyny
i dobrego myśliwy nigdy tego nie robi. To
oaza spokoju dla zwierząt.

Wróciliśmy po dwóch godzinach. W starej
leśniczówce powitała nas Bąja, szorstko-
włosy jamnik. Zdobywa nagrody na wszel-
kich wystawach krajowych. Jest świetnym
tropicielem. Pan Jerzy zabiera ją czasem
na polowania, gdyż jak się okazuje, przy-
datna jest w tropieniu zranionej zwierzyny.
Sara, ogromny wilczur wygrzewa się
w przedpokoju na leżance. Jest pupilem
lży, żony Jerzego i co chwilę zagląda do
kuchni.

— *W leśniczówce mamy sześć psów. Tra-*
fity do nas w różny sposób, najczęściej
ich właściciele porzucili je w lesie. Jedne-
go ktoś przywiązał nam do drzwi, innego
do płotu. Była zima i mały piesek ugrzązł
w śniegu. Znalazłem go przypadkiem na
spacerze — mówi Jerzy.

Na stole czeka na nas spóźniony, ale pach-
nący obiad. A potem - leśne opowieści.

Kłusownicy

— *Ludzie mówią, że na cielmickich po-*
lach kłusownicy chodzą z noktowizora-
mi i polują na zwierzynę z samochodów.
Nigdy jednak nikogo nie udało się złapać.
Słyszałem jedynie strzały docho-
dzące z tamtej strony i tylko to mogę po-
twierdzić. Zresztą nawet gdyby była to
prawda, nie wyjdę sam z bronią naprze-
ciw kilku kłusownikom. Zresztą nie cho-
dzę uzbrojony po lesie.

Leśniczówka

Jerzy: *Nie wiem, kto tu przed nami miesz-*
kał. Leśniczówka jest stara, ma sto kilkana-
ście lat. Przedtem była tu gajówka, a wcze-
śniej mieszkali robotnicy leśni. Na środku
tego pokoju rozpalali wielkie ognisko.

Iza: *Kiedy przyszłam tu pierwszy raz zała-*
małam się. To była rudera...

Jerzy: *Wszystko wyremontowaliśmy sami.*
Mieszkamy w końcu na swoim, choć na-
dał w mieszkaniu służbowym. Mamy
dwoch synów: Marcin uczy się w gimna-
zjum, a starszy Rafał w liceum.

Iza: *Przyjechała kiedyś starsza pani, która*
mieszkała tu dawniej, przed wojną. Mówi-
ła, że wokół rosły potężne dęby. Leśni-
czówka pięknie wśród nich wyglądała.

Jerzy: *Dziś dębów już nie ma. Ścięto je,*
kiedy budowano rurociąg.

Miejsca mitologiczne

— *Miejszem mitologicznym jest dla mnie*
ambona. Lubię przesiadywać na niej każ-
dą wolną chwilę. Roztacza się z niej pięk-
ny widok na całą polanę. Niewiele w oko-
licy pozostało takich miejsc. Spotyka się
coraz więcej ludzi, zwłaszcza latem. Przy-
jeżdżają na rowerach, samochodami,
a potem spacerują po lesie. Czasem na-
wet nie można spokojnie przejść. Ludzie
przychodzą i zaglądają zza płotu jak
mieszkamy. To krępujące. Rozumiem, że
dom w środku lasu może wzbudzać entu-
zjizm u ludzi z miasta, ale przecież to nie
takie znowu odludzie. Tychy są przecież
niedaleko.

Lubię spokój i samotność. Leśniczy ma
wiele obowiązków i jest wiecznie czymś
zajęty. Dlatego wstaję wcześniej rano i wy-
chodzę do lasu. Nie ma nic wspanialsze-
go niż widok rykowiska jeleni.

Tragedie

— *Największą tragedią jest pożar lasu. Te-*
go nie można opisać. Pomagałem w akcji
gaszenia, kiedy palił się las w Rudach raci-
borskich. Nigdy tego nie zapomnę.

W Świerczyńcu również zdarzały się podpalenia. Dwa lata temu spłonął młodnik. Ktoś celowo go podpalił i niewiele brakowało, a spaliłby się też mój dom. Pomagało nam wówczas wiele osób. Przez dwa tygodnie bez przerwy pilnowaliśmy tysiąca dwustu hektarów.

Cztery pory roku

— Każda z nich ma w lesie swój urok. Wiosną sadi się drzewa, natomiast latem niewiele da się w nim zrobić. Panuje zaduch, powietrze jest tak przesiąknięte oparami rozgrzanej żywicy, że trudno w nim wytrzymać. Pracujemy więc wcześniej rano lub wieczorem. Jesienią prowadzimy wyręby pielęgnacyjne.

Dzień leśnika

— Wstaję wcześniej rano, gdy trzeba - nawet o czwartej. Idę na obchód - sprawdzić, co robią moi pracownicy - pilarze. Obserwuję też co się w lesie zmieniło, czy nie ubyło drzewa, które magazynowane jest przy punktach wycinki na otwartym powietrzu. Dwa dni muszę poświęcić na pracę w kancelarii. Papierkowej roboty nigdy nie brakowało. Ostatnio pojawiły się w pracy komputery. To nowość, ale nie mogę powiedzieć, że ułatwiają mi życie.

Muszę także składać wizyty w pszczyńskim nadleśnictwie i objechać cały podległy mi teren. To ponad trzydzieści kilometrów.

Przesady

— Przesady istnieją nadal, choć młodzi nie przywiązują do nich wagi. Na przykład nie chodzi się do lasu bez czapki czy innego nakrycia głowy, bo to przynosi nieszczęście. Może to forma oddawania szacunku, czci?

Jest też inny przesąd. Wychodząc z domu na polowanie chwytą się ukochaną kobietę, niekoniecznie żonę, za kolano. Mówi się, że po to, by wrócić i zapewnić sobie pomyślność.

Zwyczaj

— Wystrajanie posuszu to miejscowy zwyczaj, którego nie spotkałem w innych nadleśnictwach. Mieszkańcy przechodzą się pytać, jakie drewno mogą zabrać z lasu na opał. Wskazuję im miejsca skąd mogą je wziąć. Korzyść jest obopólna. Mieszkańcy mają opał, las jest czystszy.

Piętno księcia

— Aleję z dębów błotnych na Rosochaczu, z polaną pośrodku, nadleśnictwo zgłosiło jako pomnik przyrody. Jest niezwykle malownicza, widać ją wyraźniej od czasu, kiedy wycięto za nią część lasu. Księżę pszczyński kazał sadzić dęby przy wszystkich drogach i drózkach. Dawniej, gdy wycinało las, karczowano również dębowe aleje księcia. Od kiedy zmieniło się prawo leśne, zabytkowe aleje można zachowywać. Na miejscu wyciętego lasu pojawia się młodnik.

Dlaczego księżę sadził dęby? Podejrzewam, że miało to praktyczne znaczenie. Opadające z dębów żołędzie przyciągają jesienią zwierzynę i łatwiej jest polować. Nie spotkałem jednak na swoim terenie żadnych myśliwskich pamiątek po polowaniach księcia i jego gości. Nie znaczy to, że ich nie było.

Miłosierdzie

— Ludzie przyprowadzają do nas różne zwierzęta. Najczęściej są to małe sarenki. Wydaje się, że są całkiem opuszczone. Leżą w rowie i przeraźliwie beczą czekając na mamę. Nic bardziej mylnego. Mama opuściła je, bo nadszedł człowiek. Jeśli ten dotknie małej - wystarczy muśnięcie dłoni - sarnia mama nie przyjmie małości. Od rzuci je. Trudno wychować małego w niewoli. Ludzie przyprowadzają mi tu wiosną sporo młodych saren powodowani fałszywym miłosierdziem. Nie da się wychować w niewoli małej sarny. Ona wcześniej czy później umiera, a ja z rodziną muszę parzeć na tę śmierć.

Dwadzieścia cztery lata

— Zawsze chciałem pracować w lesie. Moi rodzice marzyli wprowadzić bym skończył szkołę górniczą lub został kolejarzem, ale ja zakochałem się w lesie. Moje wyobrażenie o tej pracy znacznie różniło się od rzeczywistości, jednak postanowiłem skończyć Technikum Leśne w Brynku. Związałem się z kobiórkim nadleśnictwem, a od dwóch lat pracuję jako leśniczy w Leśnictwie Świerczyniec. Lasom służę już dwudziesty czwarty rok.

Plagi lasu

— Po świerczyńskim lesie krążą watahy bezpańskich psów, które czynią w lasach ogromne szkody. Zagryzają nie tylko nieliczne zające, ale nawet sarny. Męczą je w okrutny sposób. Psy nie są jednak szkodnikami, nawet kiedy atakują leśną zwierzynę i dlatego prawo nie pozwala ich zabijać. Kilka tygodni temu natknąłem się na poroże jelenia, którego zjadły psy.

Drugą plagą lasów są śmieci. Ludzie wywożą je gdzie się da i czym się da. Wrzucają je do rowów. Muszę je sprzątać, bo potem dzwonią do nadleśnictwa, mówiąc, że mamy nieporządek. Wyrzuca się dosłownie wszystko. Ostatnio znalazłem pociętą karoserię samochodu.

Zwierzęta

— Nie ma już prawie jeleni sika. Podejrzewam, że wytępilli je kłusownicy. Były to łagodne zwierzęta. Nie bały się ludzi i łatwo można było do nich podejść. Rozmnożyły się za to lisy i to kosztem innych gatunków. Zagrożone są nawet małe bezbronne sarny. Nie ma wilków, można za to spotkać prawie wszystkie inne gatunki. Nie ukrywam, że zwierząt na terenie naszego leśnictwa jest aż za dużo. Las czasem ma trudność w ich wyżywieniu.

Drzewa

— Najstarszym drzewem jest kilkusetletnia lipa, licząca trzy metry obwodu. Można ją dostrzec jadąc przez Świerczyniec. Przeważają jednak sosny. Po osiągnięciu odpowiedniego wieku przeznaczają się do wycinki. Wycinamy lasy, które przed stu dwudziestu laty sadził książę. Były to lite sosny. Dzisiaj na ich miejscu powstają uprawy leśne, w których sosny stanowią połowę sadzonych drzew. Reszta to buki, dęby, modrzewie, świerki. Dzięki temu pszczyński las podobny jest do tego, który był tu kiedyś.



Dęta z Goczałkowic

Gra na odpustach, festynach, dożynkach, weselach, pogrzebach. Polki, marsze, pieśni religijne. Goczałkowska orkiestra dęta pozwoli dobiega sędziwego wieku.

— *Nie czuję się kapelmistrzem* — odpowiada Rudolf Kuska, który w orkiestrze gra od 18. roku życia. Kapelmistrzostwo przejął dziesięć lat temu po Jerzym Świerczku.

— *Przygotowuję nuty, kseruję je, oprawiam. Kiedy trzeba się zebrać na próbę, dzwonię albo jadę z informacją do domów moich muzyków. Nie każdy nadaje się do tej pracy. Trzeba mieć święte nerwy, takie jak Świerczek.*

Jerzy Świerczek, długoletni kapelmistrz, grał na trąbce. 78-letni Józef Rzymła gra na f-basie i tenorze, 70-letni Franciszek Chlebek na klarecie, 68-letni Antoni Caputa na tenorze, 67-letni Kazimierz Lazarek na trąbce (jego ojciec Ludwik grał na tenorze), 62-letni Stanisław Bratek na trąbce podobnie jak Florian Celer i Andrzej Góra. Na tenorach grają też Kazimierz Gryz i 21-letni Grzegorz Paszek, na f-basie Piotr Mamok, na puzonie Tadeusz Pitłok. Wiktor Pustelnik bębni tak jak dawniej jego ojciec Paweł. Jedynie brakuje dobrych basistów.



— Szymczok, Waliczek, Suchy, Król nie żyją — martwi się Kuska. — *Teraz trudno zebrać nawet dwóch basistów. Przydałaby się waltornia, dzięki której muzyka byłaby pełniejsza.*

Muzyków „pożyczają” goczałkowiccy orkiestranci z zaprzyjaźnionego zespołu z Frydku, a jeśli trzeba to z czechowickiej walcowni — także dla pełniejszego brzmienia.

Rudolf Kuska zaczął grać w zespole dzięki kuznowi, który przyprowadził go parę razy na próbę. Przed wojskiem nauczył się szybko grać na puzonie, bo chciał dostać się do garnizonowej orkiestry. Nie udało się. — *Ale nauczyłem się za to grać* — dodaje, choć już w wieku siedmiu lat dobierał się do stojącego w domu pianina.

Wieczorami z domu Rudolfa Kuski dobiegają wesole tony marszów. Próby są towarzyskimi spotkaniami. Trwają do późna w nocy. Podczas nich wspomina się niecodzienne zdarzenia.

— *W czasie jednego z wesel zaczęliśmy muzykować przed domem panny młodej* — opowiada Kuska. — *Naraz z góry po drewnianych schodach zleciał z wielkim pi-*

skiem kot. Przerażony przeleciał między orkiestrantami. Przerwaliśmy grę. Nie mogliśmy jej wznowić nawet, kiedy przyjechał pan młody i pytał co się dzieje. Dusiliśmy się ze śmiechu.

— *Na festynach wykonujemy tylko dobrze przeciwiczone utwory, których jesteśmy pewni* — mówi Kuska.

Najżywiej na grę goczałkowickiej orkiestry reaguje starsze pokolenie. Kiedy muzycy koncertują na okolicznych odpustach, po mszy podchodzą do nich ludzie i chwają. Orkiestra przekonuje się wtedy, że jest potrzebna.

W jednej z pszczyńskich wsi pewna wdowa wydawała za mąż córkę. — *Widać było, że nas ogromnie cenili i dbali o nas. Wszystkiego mieliśmy pod dostatkiem: jedzenia i picia. Nie chcieli, byśmy zbytnio się przemęczali. Zachęcali do odpoczynku. Postanowiliśmy, że weźmiemy za grę mniejsze wynagrodzenie. Wdowa aż się popłakała* — wspomina Kuska. — *Każdy zasługuje na dobrą muzykę.*

Trzeba zostawić po sobie dobre wspomnienie — to kolejna dewiza kapelmistrza Rudolfa Kuski i jego orkiestry.



Szykowny kierownik

„Drodzy Międzyrzeczanie! Pracowałem w Waszej wiosce 39 lat. Dobrze nam razem było. Zdawało mi się, że tworzyliśmy jedną wspólną Rodzinę (...) Omyliłem się jednak. Nie wszyscy byli moimi przyjaciółmi.”

To fragment pamiętnika Józefa Kassolika, dawnego kierownika szkoły w Międzyrzeczu. Niewielki, skromny kilkunastokartkowy zeszyt zawiera notatki dotyczące dwóch najważniejszych dla dziejów wsi wydarzeń: budowy kościoła i szkoły. Zawiera też - co jest najciekawsze - osobistą historię autora tych zapisków.

Józef Kassolik trafił do Międzyrzecza w 1923 roku. Został kierownikiem szkoły. „Praca w szkole i z wioską układała się po myślnie. Jedyne braki były w Międzyrzeczu kościoła”. Budowa kościoła była przedmiotem zabiegów kierownika przez kilkanaście lat.

Kassolik został sekretarzem gminy i spisywał testamenty. „W czasie pisania pierwszego testamentu wpadło mi na myśl do głowy, aby wykorzystać tę chwilę i zwrócić uwagę choremu, aby też zapisał pewną kwotę na budowę kościoła w Międzyrzeczu” - pisze, ale zaraz dodaje, że naczelnik wsi i międzyrzeczanie „popatrzyli na mnie jak na wariata (...)”.

Kassolik chodził i cały czas gadał o kościele. „Ludność powoli oswajała się z myślą o budowie kościoła w Międzyrzeczu.” Wcześniej jednak o mało nie przyłączono wsi do parafii w Bojszowach. „Jednego roku w czasie powodzi postarał się restaurator Jan Kołoczek o zdjęcia fotograficzne ludzi brodzących po wodzie i wozów przepływających przez rozlane wody Pszczynki do Miedźnej do kościoła. Zdjęcia te ukazały się potem w gazetach.”

Międzyrzecze miało zostać przyłączone do parafii w Bojszowach za cenę sześciu tysięcy złotych na wybudowanie nowej organistówki. Było to sporo, jak na tak małą społeczność. Międzyrzeczanie dalej brodzili w wodzie i bagnie chodząc po sześć kilometrów do miedzińskiej parafii.

„W końcu nadszedł jednak rok i dzień, a było to w roku 1939, że zostałem wezwany do pisanie testamentu do chorego Walentego Gondzika na Przygonie w Międzyrzeczu. Gondzik zapisał swój majątek dla Bojdysa Franciszka i jego rodziny. Z majątku tego spadkobierca Bojdys Franciszek miał wypłacić małe kwoty na różne cele wymienione w testamencie, a większą sumę w kwocie 700 zł na budowę kościoła w Międzyrzeczu (...) kościół według życzenia i zapisu w testamencie miał być wybudowany w przeciągu dziesięciu lat od chwili śmierci Gondzika (...) zwróciłem uwagę choremu, że termin dziesięciu lat jest trochę za krótki (...) Chory jednak odrzucił moją prośbę i powiedział: „Nie, kościół musi być do dziesięciu lat wybudowany, a jeżeli nie będzie to te pieniądze przeznaczam kościołowi w Miedźnej.”

Wybuchła wojna i pokrzyżowała całkiem realne plany budowy kościoła. Kassolik dostał się do obozu koncentracyjnego. „Liczyłem jednak na to, że chociaż w obozie zginę, to pozostaje przecież Kamel Jan, który zajmie się sprawą spadku pieniędzy na kościół.”

Pieniądze przepadły. Kassolik wrócił z Niemiec i zaczął organizować przedstawienia teatralne w Międzyrzeczu i okolicznych wioskach. Dochód z tych imprez przeznaczano w całości na budowę kościoła.

Międzyrzeczka świątynia została wzniesiona dwa lata po wojnie. Nie upłynęło nawet dzie-

sięć lat od pierwszego zapisu testamentowego na jego budowę.

Kassolik na tym nie poprzestał. „Zawsze myślałem o tym, że jeżeli dzieci z innych miejscowości mogą mieć nowe szkoły - pałace, to dla czegożby dzieci z Międzyrzecza nie mogły też mieć pałacu” - pisał. Stara szkoła dobiegała półwiecza. Nauka w niej odbywała się na trzy zmiany. Były tylko dwie sale lekcyjne, a uczyć trzeba było siedem klas. „Władze powiatowe i przedstawiciele różnych związków po prostu śmiali się ze mnie albo kpili: To kościół potrafiliście wybudować, a szkoły nie możecie...”.

Kassolik był uparty. „Ktoś mi powiedział, że najpierw tam budują szkoły, gdzie kierownik szkoły należy do partii. Zapisalem się więc do PPS-u (...) Ale i to nie pomogło. Mówiono teraz „najpierw będziemy budować szkoły w tych miejscowościach, gdzie istnieją spółdzielnie produkcyjne. Tu już było gorzej, bo wiedziałem, że ludność Międzyrzecza przeciwna jest spółdzielni.” W końcu na prezydium Powiatowej Rady Narodowej obiecano delegacji mieszkańców nową szkołę. Radość trwała jednak krótko. „Na jednej z konferencji kierowników szkół zawiadomiono mnie, że w Międzyrzeczu nie będzie nowa szkoła budowana, bo mamy mały przyrost dzieci.” Tu już kierownik nic nie zdziałał. Postanowiono odgórnie, że stara szkoła zostanie rozbudowana. Oddano ją do użytku w 1962 roku, uroczystie, przy „licznym udziale mieszkańców wiośki, władz partyjnych i powiatowych”. Józef Kassolik nie był już wtedy kierownikiem szkoły. Nie mieszkał też w Międzyrzeczu. Przeprowadził się do Pszczyny.

„Nie zawsze zbiera plony, ten kto sieje” - napisał na końcu zeszytu.

Wulkan księżnej Daisy

— *Pamiętniki księżnej Daisy są bardzo szczere i osobiste. Pisane są nie przez księżniczkę, ale wrażliwą kobietę* — mówi Franciszek Bekiersz, tłumacz pierwszej części pamiętników Daisy. Niemiecki przekład angielskiej wersji nosi tytuł „Der Tanz am der Vulkan” – „Taniec na wulkanie” i został wydany w Lipsku w 1936 roku. Pierwsze fragmenty tłumaczenia publikowane były parę lat temu w „Głosie Pszczyńskim” i „Orędowniku Kulturalnym”, a następnie w tygodniku „Echo”.

— Jak doszło do ich przetłumaczenia?

— *Przez pewien czas tłumaczyłem na wyraźne życzenie redakcji „Głosu Pszczyńskiego” z odcinka na odcinek. Gonili mnie ta praca. Chcieli mieć wszystko na już. Czekali po prostu na mój przekład, by natychmiast wydrukować go w gazecie. Siedziałem nieraz do późnej nocy. Żona narzekała, że się przemęczę. Tak przez rok. Po pewnym czasie zaprzestano publikacji pamiętników Daisy. Dalej tłumaczyłem już dla siebie na spokojnie. Tekst był trudny. Daisy miała swój styl. Pisała po angielsku z wtrąceniami francuskimi - to było wówczas modne. Do mnie dotarł niemiecki przekład z 1936 roku z Lipska. Okazuje się, że jest to pierwszy przekład polski pamiętników, a właściwie ich pierwszej części. Drugiej w Pszczynie nie znaleziono. Jeśli się znajdzie chętnie bym się z nim zmierzył. Sił mam dosyć.*

O Daisy

— *Była kobietą naprawdę prostą, choć nie w znaczeniu intelektualnym. Była prosta w stosunku do swoich najbliższych. Prosta w wyrażaniu uczuć. Nie było w niej sztuczności, dystansu. Traktowała wszystkich mieszkańców Pszczyny, swoich podwładnych tonem serdecznym. W pamiętnikach mówi o nich w dobrych słowach. Uderzyło mnie to, że jej styl pisanie nie jest nadęty. Brak w nim podkreślania swojej ważności. Była przecież księżną. Daisy mówi po prostu o sobie.*

Daisy a Diana

— *Diany nie porównywałbym z Daisy. Diana była trzeźwo myślącą, wyrafinowaną kobietą, która może padła ofiarą swoich czasów. Surowiej bym osądził Dianę. Nie wyszło to wszystko po księżecemu. Powinna była dbać o pewną normę postępowania jako księżna. Daisy jest bardziej ludzka, postępowała tak jak powinna postępować - według norm dawniej obowiązujących. I widziała w człowieku człowieka. W stosunku do ludzi była przychylna i bezpośrednia.*

Pszczyna

— *Nie dziwię się, że ona tak bardzo przylgnęła do zamku. Zwykle rodzina księżęca mieszkała przecież w Książu. Polubiła tę okolicę i ludność tak, że nie chciała stąd wyjeżdżać. Daisy nie zapraszała cesarza do Książa, lecz do Pszczyny. Zamek pszczyński uważała za swój dom, siedzibę rodziny. A to jest bardzo ważne.*

Miłość

— *Można wyczuć sympatię Daisy do cesarza. Wyraża się o nim w bardzo przyjaznym tonie. Ale czy go kochała? Nie możemy patrzeć na nią od strony naszych czasów. Ona była „owocem” ówczesnych zwyczajów. Jej się to mogło nie podobać, ale była tym związana. Była ofiarą swej epoki. Miała inne podejście do życia - ludzkie, a nie dworskie. Za moich czasów nie zwracało się takiej uwagi na związki między chłopakiem a dziewczyną. Dziś on mówi o niej - „moja dziewczyna” i traktują siebie, a także to co jest między nimi bardzo poważnie. Dawniej dziewczynę uważało się tylko za znajomą, a pocałunek był szczytem wszystkiego. W czasach Daisy to nawet 6 lat wcześniej wyznaczali małżonków. Oni myśleli rodowo. Ród taki zasługuje, żeby moja córka wyszła za mąż za syna innego rodu, gdyż oba są równe sobie.*

Pamiętniki

— *Emanują właściwą jej postawą - matki i żony. Była w pełnym znaczeniu gospody-*

nią. Starła się o bieżące sprawy rodzinne. Bardzo mi się to dobrze tłumaczyło, bo są to jej żywe i osobiste pamiętniki. Spisywała je kobieta, a nie księżniczka. O swym mężu Janie Henryku XV wyraża się z jak najlepszej strony.

O sobie

— *Urodziłem się 2 kwietnia 1916 roku w Groszkowicach w dzielnicy Opola. Maturę zdałem w Mickiewiczu w Katowicach w 1936 roku. Wojna przerwała mi studia polonistyczne w Krakowie. Zamiatłem ulice. Później utworzyli w Szopienicach zakłady produkujące bomby lotnicze i tam skierowano mnie na przymusową robotę. Pracowałem tam jako robotnik placowy. Przez 1,5 roku pracowałem w hucie ołowiu. Potem skierowali mnie do zakładu zajmującego się elektrolizą cynku, mieszczącego się naprzeciwko. Były tam kotły, gdzie rozpuszczano rudę cynku prądem (elektroliza) i w konsekwencji wychodził cynk. Musieliśmy wyciągać z wanien płyty cynku do dalszej obróbki. Maski - to były gąbki pod nosem. Nie można było w nich pracować, bo zakrywały usta, a nie nos. Zacząłem chodzić do lekarza i przenieśli mnie do huty cynkowej „Uthemann”. Tam normalną rudę wkładano do pieca, wytapiano do takich norm i zaraz ładowano na wózek. Na „Uthemannie” pracowałem jako pomocnik murarza. Jako Polak zarabiałem 70 - 80 marek. Niemcy dostawali po 200 marek. Pamiętam, że pracowaliśmy koło fabryki siarki położonej przy drodze Szopienice - Mysłowice. Nie rosła tam nawet trawa. Wyziewy niszczyły wszystko. Jak przechodziło się obok to aż zatykało. W 1944 roku kopałem rowy strzeleckie koło Kielc. W hucie „Uthemann”, która wchodziła w skład koncernu Gieshego pracowałem aż do wyzwolenia.*

Uniknąłem Oświęcimia

— *Dostałem w 1944 roku wezwanie do Katowic do komendy wojskowej. Było tam sześciu takich jak ja Górnolazaków. Nie*

umieli słowa po niemiecku. Ja umiałem. Na komisji powiedziałem, że jestem Polakiem i nie mogę służyć w wojsku niemieckim. Oni na mnie z krzykiem. Straszili mnie więzieniem. Wyszedłem z komendy. Za tydzień wezwano mnie do Starostwa w Katowicach. Siedzi gestapowiec i urzędnik.

— Słyszałem, że nie chce pan służyć w wojsku — zapytał urzędnik.

— Jako Polak nie mogę — odpowiedziałem.

Wtedy gestapowiec zaczął krzyczeć. Podniósł słuchawkę telefonu i do mnie. — No co, mam dzwonić? — Myślałem, że blefuję. — Idzie pan, czy nie? — zapytał. Odmówiłem ponownie.

— Idzie pan ze mną, tu mam rewolwer — zagroził i poszedłem z nim na gestapo. Tu znowu to samo. Wzięli mnie na Mikołowską prosto do więzienia. Jak rano wyszedłem z domu, w południe już byłem w celi.

W każdy wtorek i piątek słyszałem krzyki tych, których ścinano na gilotynie. Było ze mną siedmiu współwięźniów. Jednego z nich ścięli.

Leżeliśmy na sprasowanej słomie. Na obiad zawsze dostawaliśmy tam zupę, a właściwie wodę, rano i wieczorem po kromce chleba. Byłem chudy. Braliśmy tę słomę i wrzucali do zupy, którą nam dawali żeby coś w niej było.

Przez trzy miesiące przychodził do mnie gestapowiec. Pytał, czy już się zdecydowałem pójść do wojska. Za którymś razem powiedział, że nie będę tu siedział, tylko pójdę do Oświęcimia.

Pomyślałem wtedy, że jak się nie zgodzę, to odeślą mnie do Oświęcimia, a stamtąd można się było wydostać tylko przez krematorium. Wiedziałem z opowiadań, co znaczy Oświęcim.

Powiedziałem, że pójdę do wojska. Na gestapo podpisałem jakiś papier. Dostałem zawiadomienie, żeby zgłosić się na komendę wojskową. Był tam lekarz-Ślą-

zak. Pytał się mnie o zdrowie i wtedy zacząłem pokaszliwać, że niby mam gruźlicę. Byłem wychudzony paromiesięcznym przebywaniem w więzieniu. Lekarz mnie popukał, popukał i odstawił na dwa lata. A w międzyczasie wojna się skończyła.

Później

— Po wyzwoleniu byłem kierownikiem biura zatrudnienia i spraw socjalnych. W 1949 roku ożeniłem się i przeniósłem na kopalnię „Ziemowit”. W 1955 roku rozpocząłem zaoczne studia na Akademii Ekonomicznej w Katowicach. Zdobyłem wykształcenie wyższe ekonomiczne ze specjalnością przedsiębiorstwa produkcyjne. Temat mojej pracy magisterskiej obronionej w 1960 roku brzmiał: „Analiza wpływu warunków mieszkaniowych na zatrudnienie w przedsiębiorstwie przemysłowym”.

Miałem zostać dyrektorem kopalni „Ziemowit”, ale nie byłem członkiem partii. Pierwszy sekretarz powiedział: „My widzimy, że pan jest taki na poziomie, chętnie pana przyjmujemy”. Odmówiłem. Powiedziałem, że bardziej odpowiada mi praca w związkach zawodowych. I nie zapisałem się. Zostałem w komisji rewizyjnej.

Pracowałem w Ministerstwie Górnictwa, Nafty i Gazu w Departamencie Zatrudnienia i Spraw Socjalnych. Byłem tam starszym radcą. Tylko dlatego, że nie byłem w partii, nie zostałem jego naczelnikiem. Sporo rzeczy tam napisałem na zlecenie. Jeździłem po całej Polsce.

Janek z Sosnowca

— W młodości mówili mi Janek z Sosnowca. Kiedyś, jak byłem jeszcze gimnazjalistą, matka dała mi kołnierz z futrem - taki jaki nosił Jan Kiepura. Wzbudziło to sensację, zwłaszcza wśród moich kolegów z podwórka. Kiepura, przedwojenny śpiewak operowy, pochodził z Sosnowca. Ochrzcił mnie Janek z Sosnowca.

Amerykane szukają korzeni

— *Moja matka zawsze opowiadała mi o księżnej Daisy i mieście Pless. Jej matka Bibiana pracowała w zamkowej kuchni. Zabierała ją często ze sobą na zamek. Mówiła jej, żeby nie wychodziła wyżej, bo tam mieszkają państwo. Ale moja matka zawsze znajdowała okazję, by się wymknąć z mrocznych kuchennych pomieszczeń i szerokimi schodami piąć się do góry. Zdumiona spotkała kiedyś piękną damę w białej sukni. Zatrzymała się na moment. Piękna dama pochyliła się nad nią i o coś spytała. Była to księżna Daisy. Moja matka Rosa Franciszka Gacek była nią oczarowana do końca życia. Zmarła w lutym tego roku. Postanowiłam odszukać miasto Pless i jej rodzinną wioskę Ćwiklice — opowiada Lisa Heilman z Kalifornii. Nie tak prosto trafić do Pszczyny. Z rodzinnych opowieści Lisa wiedziała tylko, że Pless leży gdzieś koło Oświęcimia. — Kiedy trzy lata temu byłam w Polsce, pytałam o miejscowość Pless, ale żaden z napotkanych ludzi nie umiał mi powiedzieć gdzie to jest. Doszło do tego, że nawet litowano się nade mną, mówiąc „to straszne, że twoi przodkowie zginęli w Auschwitz”. Pless koło Auschwitz to nie wywoływało pozytywnych skojarzeń. Ktokolwiek usłyszał o takiej miejscowości mimowolnie łączył ją z obozem koncentracyjnym.*

Gdy zmarła matka Lisy, opowieści o Pless powróciły ze zdwojoną siłą. — *Napisałam list do swoich krewnych w Niemczech z listą pytań do starszego, żyjącego jeszcze brata Paula w Berlinie. Krewni odpisali mi jednak, że 87-letni starzec niechętnie pisze listy. Wybrałam więc się do niego osobiście. Nie umiał mi jednak dokładnie odpowiedzieć, gdzie leży miasto Pless. Nie znał też odpowiedzi na inne moje pytania.*

Lisa wspólnie z mężem Chuckiem, odnalazła kilka starych niemieckich map, na których odnaleźli miasto Pless. Postanowili wybrać się do Polski.

Wynajętym samochodem przyjechali w końcu do upragnionej Pszczyny. Był to ich dziesiąty dzień pobytu w Polsce. — *Nie zapomnę, jak na katowickim dworcu kolejowym kupowali-*

śmy bilety do miasta Pless. Nikt nie wiedział, że chodzi o Pszczynę – śmieje się Lisa.

Amerykanka nie rozumiała początkowo, jak jedna miejscowość może nosić dwie różne nazwy. — *Dlaczego nie Ćwiklitz, a Ćwiklice?* — pytała. — *Nie Pless, a Pszczyna?*

Tłumaczyłem, że jest to pozostałość po książęcej administracji, która przecież wpleciona była w niemiecką machinę państwową. Dla mieszkańców tych ziem Ćwiklice były zawsze Ćwiklicami, a Pless Pszczyną. Jeśli szło się na dwór księcia, wypadało znać niemiecki. Urzędnicy posługiwali się wyłącznie tym językiem, a zatem przeciętny Ślązak był dwujęzyczny, i nie sprawiało mu różnicy to czy Pless było Pszczyną. Ważne, że i książę Niemiec i śląski mieszkaniec czuli się tu dobrze. Nie wiem, na ile trafiły do Lisy moje wywody. Drugiego dnia pobytu w Pszczynie męczyła mnie innymi pytaniami. — *Pokaż mi książkę telefoniczną. Chcę odszukać wszystkich Gacków, jacy mieszkają w okolicy* — prosiła. Niestety w pszczyńskiej pocztce nie znaleźliśmy książki z adresami Gacków. — *Dysponujemy tylko książką z wykazem firm* — objaśniła panienka z pocztowego okienka. — *Dane personalne naszych abonentów objęte są ustawą o ochronie danych osobowych, a więc nie można ich udostępniać.*

Sporo czasu zajęło mi wyjaśnienie amerykańskiemu przyjaciółowi istoty ustawy o ochronie danych osobowych. W końcu zrozumieli, że nie otrzymają do ręki żadnego oficjalnego wykazu numerów z adresami ich właścicieli. — *W Ameryce nie ma z tym żadnych problemów. Bierzesz książkę i po prostu szukasz* — mówił Chuck.

Lisa jednak była upartą osobą. Pochwaliła się, że w końcu nabyła jakąś książkę z numerami. Ku jej rozczerwaniu okazało się, że była to książka z kodami pocztowymi.

— *Czy proboszcz z Hielmowitz może kłamać?* — zapytała. Lisa wspólnie z Chuckiem pojechali szukać korzeni w rodzinnej parafii ich babki Rosalin Golla. Trafiła na młodego człowieka, który dobrze posługiwał się angielskim. Z nim odwiedziła okolicznych Gol-

łów. Wybrała się także do miejscowego proboszcza, który przez chwilę dał jej skorzystać z ksiąg metrykalnych. Znalazła tam swoją babkę. Chciała też poszukać innych krewnych. Ale proboszcz kazał jej zadzwonić następnego dnia. — *Powiedział, że nie ma żadnej Rosalin Golla z Hielmowitz. A ja ją przecież widziałam. Dlaczego proboszcz kłamie? Kazał mi szukać potomków w Salt Lake City u mormonów, którzy posiadają podobno mikrofilmy ksiąg metrykalnych z całej Europy. Ale ja nie lubię mormonów. Jadę jutro do proboszcza porozmawiać z nim* — mówiła rozgoryczona Lisa.

— *Jak dogadasz się z prostymi ludźmi, którzy ani w ząb nie posługują się angielskim?* — pytałem. — *Łamaną niemczyzną* — odpowiadała. — *Poza tym mam list, gdzie jest wszystko wyjaśnione.*

List ułożył Chuck, potomek szkockich osadników i dumnych Indian, na własnym komputerowym translatorze. „Mój miano jest Lisa Heilman. Jestem tutaj z mój małżonek Chuck Davidson. My Americans i my nie mówca Polski. My spojrzanie do mój matką, familia przeszły i obecny... Józef Gatzek mieszkać w Ćwiklic. Jego zajęcie zwierzyn kierownik przy stróżówka do Książę od Pless, przy zamek Pless” - czytali Gackowie w Studzienicach, Międzyrzeczu, Goczałkowicach i Pszczynie. I otwierali usta ze zdziwienia. Nawet najstarszy z nich nie przypominał sobie przodka z Ameryki.

Ale Lisa nie żałowała swego przyjazdu do Polski. — *Byłam dzisiaj w drewnianym kościele w Ćwiklicach, gdzie chodził mój dziadek Franz i pradiadek Józef. Był otwarty. Na tablicy znalazłam nazwiska poległych w pierwszej wojnie mieszkańców. Był wśród nich też J. Gacek. Wiesz byłam też w skansenie, w którym są drewniane chatupy. Poczułam się przez chwilę, jakbym odwiedziła moich dziadków. Podniosłam głowę do góry i wyobraziłam sobie, że za chwilę moja babka otworzy drzwi do drewnianej kuchni, wejdzie i zaprosi mnie do stołu* — opowiadała zachwycona pszczyńskimi zabytkami Lisa.

Lisę spotkałem w archiwum zamkowym, w którym bezskutecznie próbowała odnaleźć swych przodków. Tłumaczyłem jej wtedy, że szukanie Józefa Gacka, książęcego urzędnika wśród tysięcy akt, przypomina trochę odnajdywanie igły w stogu siana. Lisa była jednak uparta i sprzyjało jej szczęście. Od pani Marty, pracowniczki archiwum, dowiedzieliśmy się, że w Międzyrzeczu mieszka krewna Gacków z Ćwiklic. Pojechaliśmy zatem do Międzyrzecza.

— *Nie znam ani Józefa ani Franza* — opuściła bezradnie ręce sędziwa Maria Hadasiowa. — *Więcej powiedzą wam w Ćwiklicach. Tam była ojcowizna Gacków. Mieszka tam teraz Maria Anderko. Jej musicie zapytać.* Dom Marii Anderko z Ćwiklic zbudowany jest z cegły. — *Przed wojną mieszkali tutaj Andrzej i Maria Gackowie, którzy zbudowali ten murowany dom na miejscu starego, drewnianego. Potem mieszkała tu ich córka Rozalia, która zmarła bezpotomnie w latach sześćdziesiątych, ale wcześniej „przybrała za swe” moich rodziców* — opowiada Anderkowa.

Gacków w Ćwiklicach nie ma już od kilkunastu lat. Na miejscowym cmentarzu trudno już znaleźć mogiłę z tym nazwiskiem. — *Matka opowiadała mi, że groby w kraju Pless istnieją tak długo, jak długo trwa pamięć o zmarłych* — wspominała Lisa. — *Jeśli nie ma na nim świeczki, zarasta trawą i nie ma opiekunów spośród rodziny lub znajomych, wtedy taki grób się przekopuje. Czy to prawda?*

W Studzienicach odnajdujemy najstarszą żyjącą członkinię rodu Gacków, Rozalię urodzoną w 1913 roku, a więc w tym samym czasie, co Paul Gatzek z Berlina, wujek Lisy. Pani Rozalia opowiada nam, że ich dom rodzinny w Ćwiklicach wystawił jej dziadek Andrzej Gacek. — *Nasz ojciec Franciszek zmarł, gdy miałam dwa i pół roku* — mówi Łucja Tomaszczyk, młodsza siostra Rozalii, urodzona w 1921 roku. — *Ojciec był dwukrotnie żonaty. Z pierwszego małżeństwa miał troje dzieci, z kolejnego sześcioro. Część z nas uro-*

dziła się jeszcze w Ćwiklicach. Potem zamieszkaliśmy w Studzienicach.

Ale nawet one nie przypominają sobie Franciszka Gatzka z Ćwiklic, żonatego w 1908 roku z Rosalin Golla. Nie pamiętają też książęcego urzędnika Józefa Gacka, który był nieco starszy od ich dziadka Andrzeja. Słyszemy za to barwną opowieść o pogrzebie dobrego starego księcia, który był mężem Daisy, której miasta tak długo szukała Lisa. Pozostaje jednak nadal aktualne pytanie czy amerykańska odrośl rodu Gacków krzyżuje się z Gackami ze Studzienic?

— *Może pomoże wam proboszcz?* — sugerują gospodarze.

Proboszcz niestety nie pomoże. Łamaną angielszczyzną powiedział Lisie, że metryk Gacków ma szukać w archiwum archidiecezjalnym w Katowicach. Wybierzemy się tam jutro.

— *Księgi metrykalne są mocno sfatygowane* — wyjaśnia rzeczowo pracownica katowickiego archiwum. Trwa ich konserwacja, i przegrywanie na CD-romy. Może to zająć nawet dwa lata. W drodze wyjątku można je udostępnić dla celów naukowych. Ale decyduje o tym dyrektorka. Potrzebna jest jeszcze zgoda naukowego promotora.

— *Proszę przyjść za tydzień* — słyszymy. — *Wtedy udostępniemy księgi parafii w Ćwiklicach.*

Lisa wyjechała do Berlina porozmawiać z wujkiem Paulem. — *Będę siedziała u niego całe pięć dni i słuchała uważnie wszystkich jego opowieści o Pszczynie i Ćwiklicach* — zapewnia.

— *Ciekawe kiedy wybierzemy się do Szkołci?* — rzuca Chuck. — *Sporo słyszałem o klanie Davidsonów. Wiem nawet, gdzie położony jest ich rodowy zamek.*

Lisa uśmiecha się. — *Podobno jestem też krewną z braćmi Grimm, niemieckimi bajkopisarzami* — mówi ku naszemu zaskoczeniu. — *Tym zajmuje się mój krewny z Berlina.*

Lisa obiecuje, że powróci jeszcze do Pless i do... Wadowic. — *Moja matka twierdziła, że przez Gollów jest dalszą krewną papieża Jana Pawła. Moja babka Rosalin miała*

być kuzynką matki papieża Emilii z Kaczorowskich, która chrzczona była w Białej. Ale tylko połowa mojej rodziny zgadza się z tą opinią. Watykan, do którego napisał list jeden z moich kuzynów, nie udziela żadnych informacji – mówi.

Księżna babki Bibiany

Lisa Heilman, mieszkanka Florydy, miała nie przyjechać w tym roku do Pszczyny, skąd pochodziła jej prababka Bibiana. Ale życie bywa przekorne. Opowieści o mieście Pless koło Auschwitz, księżnej Daisy, u której służyła prababka, jak i rodzinnej tragedii w Ćwiklicach nie dawały Lisie spokoju. — *Nie było dnia, w którym nie myślała o przyjeździe tu* — zapewniał Charles Davidson, potomek szkockich imigrantów i wojowników indiańskiego plemienia, który wiernie towarzyszył Lisie w jej wyprawach.

Dlatego Lisa przebywając w Paryżu wyrwała się do Polski dosłownie na kilka dni. Najpierw odwiedziła krewnych na Opolszczyźnie, którzy przy suto zastawionym stole wypytawali ją o wszystko, co tylko dotyczyło Florydy. Tłumaczyli zawilości życia w Polsce żałując trochę, że nie przywozła zdjęć swojego nowego amerykańskiego domu (jeszcze rok temu Lisa mieszkała w Kalifornii oddalonej o kilka tysięcy kilometrów od Florydy). Kiedy doszło do wymiany rodzinnych pamiątek i wspomnień, najstarszy z potomków rodziny Gollów rozpoznał na jednym ze zdjęć przywiezionych przez Lisę rodzinę Gacków z Pszczyny. To utwierdziło Lisę w przekonaniu, że powinna raz jeszcze tam powrócić. Przynajmniej na dwa i pół dnia.

— *Nie miałam pojęcia, że to miasto zawiera tak wiele tajemnic związanych z moją rodziną* — zwierzyła się nam jednego wieczoru. — *W tym zamku pracowała moja prababka Bibiana. Widywała na co dzień księżną Daisy. Być może była nawet świadkiem cesarskich wizyt. Ile jeszcze takich opowieści jest w tym magicznym mieście? Tak bardzo chciałabym się w nie zanurzyć i je poznać.* Postanowiliśmy Lisie ułatwić poszukiwania.

Pierwszego dnia udaliśmy się na ćwiklicką plebanie, która akurat przechodziła częściowy remont. W księgach metrykalnych szukaliśmy śladu tragedii, która miała tutaj miejsce kilkadziesiąt lat temu i przetrwała w rodzinnych opowieściach. Według tego, co Lisie przekazała nieżyjąca już matka, w Ćwiklicach zamordowano część jej rodziny. Ci, którzy przetrwali, czym prędzej wyjechali. Początkowo myśleliśmy, na co wiele wskazywało, że rodzinna tragedia Lisy miała związek z powstaniami śląskimi. Ale w księgach parafialnych nie odnaleźliśmy żadnych śladów tego, by w latach dwudziestych grzebano na parafialnym cmentarzu tragicznie zmarłych członków rodziny Gacek. Owszem, zmarł w Pszczynie w szpitalu wojskowym w 1917 roku niejaki Bartek Gacek, ale nie na skutek zabójstwa, ale odniesionych na froncie pierwszej wojny światowej ran. Rezultat naszych poszukiwań nie był zbyt imponujący. Uzupełniliśmy tylko kilka dat z rodzinnej genealogii Lisy. A na żadne z frapujących nas pytań nie znaleźliśmy odpowiedzi.

Więcej szczęścia mieliśmy w Jawiszowicach, skąd wywodziła się prababka Lisy. Dzięki przychylności proboszcza udało nam się nawet wejść na wieżę drewnianego kościoła św. Marcina. Nauczycielka historii, Urszula Sztołter, która dzielnie towarzyszyła Lisie, już kilkakrotnie w życiu obiecywała sobie, iż nie będzie zaliczała żadnych wież kościelnych. Ale życie bywa przekorne, a widoki z takich wież – przepiękne.

W zaciśniętej plebanii proboszcz wydobył z zakamarków stare, zakurzone księgi metrykalne. Z nich właśnie dziewczyny dowiedziały się, że rodzina prababki Bibiany pochodzi z niedalekich Pisarzowic. Ona sama została ochrzczone podczas wizytacji kanonicznej jawiszowickiej parafii dokonanej przez dziekana Mathiasa Mika w 1862 roku. Co ciekawe, w tym samym czasie urodziły się w Jawiszowicach jeszcze dwie inne dziewczynki noszące niezwyczajne imię Bibiana. Tak jak prababka Lisy nie miały ojców. Matką chręstną wszystkich była Agnes Faruga, osoba pełniąca jakieś funkcje kościelne. — *Dzieci z nieprawego łoża nie*

mogły wtedy nosić imion świętych – tłumaczył jawiszowski proboszcz. — *Dla nich zarezerwowane były w każdej parafii inne imiona. Zdarzało się jednak, że miejscowe kobiety wyklócały u księdza w przededniu chrztu o „bardziej święte” imię.*

Nie wszyscy jednak mieli odwagę pyskować proboszczowi, który – co tu wiele mówić – cieszył się wśród wiejskich społeczności niesamowitym autorytetem. A naznaczone niezwykle imionami dzieci były później wytykane przez ogół. Trudno żyć normalnie z takim, niezawinionym przecież, piętnem. Czy należy się dziwić Bibianie z domu Tara, że gdy dorosła wyprowadziła się do Ćwiklic, gdzie poznała męża Józefa Gacka, gajowego księcia pana? Bibiana jak na prostą dziewczynę zaszła daleko – zatrudnienie znalazła w księżęcej kuchni. Przebywała w otoczeniu rodziny księżęcej, która cieszyła się w Pszczynie zasłużonym mirem. To właśnie życie nauczyło Bibianę przekory i samozaparcia.

Lisa porwana tajemniczą opowieścią prababki Bibiany o mieście Pless i przepięknej księżnej Daisy, uchyliła przypadkiem jej najbardziej skrywaną tajemnicę. To właśnie uświadomiliśmy sobie spacerując wieczorem po pszczyńskim parku.

Korzenie schodzą się w Pszczynie

Trzydziestokilkuletnia pielęgniarka ze Stanów, Lisa Heilman, zawsze nas zaskakiwała. Najpierw przez kilka lat szukała miejscowości Pless koło Auschwitz (na dworcu kolejowym w Katowicach nikt nie wiedział, że chodzi o Pszczynę). Potem uparcie przez kilka lat przyjeżdżała do Polski, by szukać potomków Gacków z Ćwiklic. Wierzyć się nie chce, że jedynym motorem działania Lisy była opowieść o jej nieżyjącej babce Bibianie, która pracowała w zamkowej kuchni u pięknej, Białej Pani, księżnej Daisy.

Z biegiem miesięcy Lisa gromadziła coraz więcej informacji. Ale też przybywało jej pytań i wątpliwości. Dotarła do metryk dziadków w Ćwiklicach, ale zaintrygowały ją tajemnicze wydarzenia w 1923 roku (pożar, na-

pad?). Rodzinne podania mówiły coś o jakiejś wielkiej tragedii. Ale nie znajdowało to potwierdzenia ani w księgach kościelnych, ani w kronice szkolnej.

Lisa wespół z mężem Chuckiem Davidsonem, potomkiem walecznych Indian i Szkotów, odwiedziła wszystkich żyjących Gacków w okolicy. Towarzyszyliśmy jej w tych podróży. Okazało się, że nikt z rodu Gacków, bardzo rozrosłego w dziewiętnastym stuleciu, w Ćwiklicach już nie żyje. Została tylko ojcowizna. Ale Lisie wystarczyły nawet drobne fragmenty, namiastki przeszłości. Wystarczyło, że przeszła się do kościółka drewnianego, do którego – jak sobie wyobrażała – uczęszczali jej ojcowie. Odnalazła tam zresztą tablicę z nazwiskami poległych w czasie pierwszej wojny mieszkańców – wśród nich Jana Gacka, najmłodszego syna Bibiany i Józefa, który jak się potem okazało zmarł w wyniku odniesionych ran w pszczyńskim szpitalu. Cieszyła się z wizyty w skansenie, bo w podobnych kilkusetletnich budowlach mieszkali Gackowie. Zamek z rynkiem był dla naszych amerykańskich przyjaciół miejscem mitycznym. Tu musiała spacerować babka Bibiana, a także księżna Daisy z orszakiem.

Za fascynacją Pszczyną, przyszła fascynacja Śląskiem. Amerykanów poruszyła wizyta w saloonie kowbojskim filmowca amatora z Bojszów, Józefa Kłyka, który stworzył sobie małą Amerykę, choć nigdy w niej nie był. Na widok amerykańskich flag i portretów prezydentów Chuck tylko rozdziawił gębę. Wkrótce potem doszła do nas malownicza pocztówka z San Antonio, gdzie mieszkali potomkowie Ślązaków, którzy dwieście lat temu wyemigrowali do Stanów z Opolszczyzny. Lisa postanowiła dotrzeć do dalekich krewnych, odtąd twierdziła w listach, że czuje się Ślązaczką. Zaczęła się nawet uczyć śląskiej gwary. Chyba dobrym przyczynkiem do tego była próba przetłumaczenia śląskiego powiedzenia: „ze żuru chłop jak z muru” na angielski. Porównanie było piorunujące. Zestawienie zupy ze ścianą imponowało Amerykanom.

Przez kilka tygodni z naszą pomocą Lisa tworzyła drzewko genealogiczne rodu Gacków. Pojechała także do seniora rodu, 90-letniego wujka Paula Gatzka z Berlina, by ostatecznie rozwiązać swoje wątpliwości. Ale z seniorami bywa tak jak z wyrocznią delficką – nie mówią całkiem jasno. Wujek Paul zanegował większość opowieści, które Lisa знаła z dzieciństwa od matki. Była zupełnie sama na tym świecie i dlatego zapragnęła, by jej arkadią stała się Pszczyna. Wujek Paul natomiast nie wspominał z nieznanych Lisie powodów tego miasta zbyt miło. I wkrótce po wizycie Lisy zmarł.

Amerykanka nie wspominała zbyt mile niemieckiego epizodu. Niemieccy krewniacy nie mieli kalifornijskiej werwy i słowiańskiego otwarcia. „Grzegorz – napisała w kolejnym liście – chcę wiedzieć, co zdarzyło się 5 lutego 1923 roku w Ćwiklicach Marie Kapek, córce Paula Kapek i Joanny Gacek. Czy nie ma jakichś starych gazet z tego okresu? Czy rodzina Marii Kapek, która w 1945 roku poślubiła Ernesta Flacka, nadal żyje w okolicy Pszczyny? Proszę pomóc mi odpowiedzieć na te pytania”.

Zrezygnowani poprosiliśmy wtedy o pomoc czytelników „Dziennika Zachodniego”. I stał się cud.

Na tropach cieni

Co łączy Lisę Heilman z USA i Marię Flak, mieszkankę Pszczyny? Okazuje się, że dosyć bliskie więzy pokrewieństwa. Bibiana Tara, prababka Lisy i zarazem babka Marii pracowała w zamkowej kuchni. Poślubiła też w młodym wieku Józefa Gacka z Ćwiklic, książęcego leśniczego.

Lisa wybiera się do Pszczyny na początku września, by spotkać się z ciotką Marią, po wielu, wielu latach. — *Mama mało opowiadała nam o własnej rodzinie* — wspomina Ewa Kołodziejczyk, jedna z sześciu córek 82-letniej Marii Flak. — *O wiele częściej słyszeliśmy o rodzinie ojca, Ernesta Flaka, którą stawiła za przykład.*

Ale w rozmowie telefonicznej przyznała, że doskonale pamięta babkę Bibianę z Ćwiklic,

u której spędziła kilka lat swojego życia. Czy to nie dziwne, że podobna opowieść o prababce Bibianie z miasta Pless pracującej u księżnej Daisy zmusiła Lisę do szukania swoich korzeni? I to przez kilka ładnych lat. — *Podziwiamy niezwykle upór Lisy*, — mówią Flakowie z Pszczyny — *że chciało jej się poświęcić aż tyle czasu.*

— *W tej Amerykance drzemie niespokojna, słowiańska dusza* — dodaje Teodor Kołodziejczyk, mąż Ewy.

— *Koniecznik musimy się spotkać i porozmawiać* — podkreśla Urszula Kudzia, jedna z córek pani Marii.

— *No i wypić z tej okazji dobre wino* — uzupełnia pan Teodor.

Lisa odnalazła w Pszczynie naprawdę wielką rodzinę. Maria Flak, jest córką Joanny Gacek i Pawła Kapka. Z nieżyjącym już mężem Ernestem doczekali się sześciu córek i jednego syna. Część rodziny mieszka w Dortmundzie w Niemczech. Jedna z córek w Kędzierzynie Koźlu. Ale rodzina jest do siebie bardzo przywiązana. Flakowie nie zmarniają żadnej okazji by się spotkać. Ostatni taki zjazd miał miejsce równo dwa lata temu z okazji 80. urodzin pani Marii. Wnuki przygotowały wtedy album ze zdjęciami z lat młodości solenizantki. Agnieszka Flak, która w Stanach studiując dziennikarstwo, okrasiała całość wierszem. Pomysł był trafiony.

— *Następną okazją do spotkania się całej rodziny było wesele wnuka Marii, Cypriana Kubicy, który podobnie jak dziadek jest mechanikiem samochodowym* — opowiadają państwo Kołodziejcykowie.

Postać dziadka Ernesta kilkakrotnie przewija się w rodzinnych opowieściach. Kochał samochody, muzykę i dzieciaki. Najwięcej cech po nim odziedziczył właśnie Cyprian, który 24 sierpnia ożenił się z Agnieszką. Czas na następne pokolenie.

* * *

— *Jaka jest babcia Maria?* — zapytaliśmy jedną z najmłodszych wnuczek, 7-letnią Anię Kołodziejczyk. — *Bardzo dobra* — odpowie-

działa rezolutnie. — *Poświęca mi sporo czasu. Dużo opowiada. Pomagałam jej w porządkowaniu rodzinnych albumów.*

* * *

Poza pokrewieństwem Lisę z Marią Flak łączy jedno – praca w służbie zdrowia. Lisa jest amerykańską dyplomowaną pielęgniarką. I bez trudu podróżuje po świecie. Zatrwożyła się, kiedy skrupulatnie przeliczyliśmy, ile zarobiłaby w Polsce. Pani Maria przez wiele lat pracowała w pszczyńskim ZOZ-ie.

* * *

Śląskie korzenie

Lisa Heilman z Florydy po kilkunastu latach poszukiwań i dzięki szczęśliwemu trafowi przyjechała do Pszczyny, by spotkać się ze swoją ciotką 82-letnią Marią Flak. Stało się to w jeden z jesiennych weekendów.

— *Jak tutaj weszła od razu poznałam, że jest córką mojej kuzynki Rosy. Hilda była pucata, a Rosa wysoka i szczupła. Tak jak Lisa – ucieszyła się pani Maria.*

Lisa na spotkanie ze śląską rodziną przyniosła kwiaty i kalifornijskie wino, a także stare fotografie. Miała mnóstwo pytań. Czy prababka Bibiana, która poślubiła Józefa Gacka z Ćwiklic, rzeczywiście pracowała na zamku pszczyńskim? Amerykanie byli nim oczarowani. Mike Heilman, brat Lisy, który przyjechał do Polski po raz pierwszy nigdy nie przypuszczał, że opowieści jego matki Rosy, o zamku, Bibianie i dalekiej rodzinie w Pszczynie okażą się prawdziwe. Nie krył zdziwienia, oczarowania małym miastem nad Pszczynką. Po zjedzeniu śląskiego obiadu we „Frykówce”, dawnej winiarni, stwierdził, że czuje się Ślązakiem. I jeszcze nie raz tu wróci. Na pewno z 17-letnią córką Katarzyną, która namiętnie gra w drużynie piłkarskiej.

Amerykanie wspólnie z rodziną pani Marii i nią samą postanowili odwiedzić drogie im miejsca. Spacer po Ćwiklicach rozpoczęli od odwiedzin cmentarza, na którym pochowani są rodzice Marii Flak, Paweł Kapek i Joanna z domu Gacek (pobrali się 5 lutego 1923 ro-

ku i – jak zapewniała nas rodzina pani Marii – nic tragicznego w tym roku się nie wydarzyło). Krewni wskazali także Lisie, Mikowi i ich niemieckiemu kuzynowi Svenowi Kreuterowi miejsce pochówku (bo grób się nie zachował) Bibiany i Józefa Gacków, od których wszystko się zaczęło. Oni właśnie przetrwali w pamięci rozrzuconych po świecie potomków Gacków. Lisa poprosiła, by poczekać na zakończenie mszy. Koniecznie chciała zobaczyć zabytkowy, drewniany kościółek, w którym modlili się jej przodkowie. Ksiądz Sylwester Suchoń rozpoznał od razu Amerykanów. — *Pani Lisa była u mnie wczoraj, bo tak jak w zeszłym roku szukała informacji o rodzinie w kościelnych księgach* – rzucił na powitanie. I pokazał największy skarb kościoła – zabytkowy gotycki tryptyk, jeden z niewielu zachowanych w okolicy.

Później Lisa zobaczyła jeszcze pałacyk w Rudolowicach. — *Przed wojną był tu ośrodek harcerski* – wspominała pani Maria. — *Pamiętam, że chodziłam z metrem po miejscowym parku. Rosły tu potężne drzewa. A mnie drobnej dziewczynie kazali mierzyć obwód ich pni.*

Ojcowizna Gacków mieściła się na „Mycie” rozciągającym się na pograniczu Ćwiklic i Pszczyny. — *Stary dom, który spłonął w 1938 roku stał nieco dalej w ogrodzie* – tłumaczył Teodor Kołodziejczyk. — *Gackowie rozpoczęli budowę nowego, ale wybuchła wojna i wstrzymano prace. Rosjanie, jak wspomina teściowa, zdjęli gotową już więzbę, bo potrzebowali drewna.*

Ale w trakcie dłuższej dyskusji okazało się, że dom Bibiany i Józefa mógł stać jeszcze gdzie indziej. Po licznych bowiem procesach z przyrodnym rodzeństwem kilkudziesięciohektarową ojcowiznę podzielono. Józefowi dostał się jedynie kawałek z domem. Reszta poszła na koszty sądowe. Na dawnym Gackowym polu mieszkają teraz Hadasiowie, Kasperczyki i wiele innych rodzin. — *Mówią, że ojcowizna szła dwa kilometry wzdłuż drogi* – podkreślał krewni Lisy z Pszczyny. I konia z rzędem temu, kto wie jak było naprawdę. Przeszość tworzy

historie, na rozwiązanie, których trzeba lat. Przekonała się o tym Lisa. Ale jest szczęśliwa, bo spotkała w Pszczynie ciotkę Marię, spadkobierczynię Gackowej sagi.

Opowieści ciotki Marii

Wujek Paul był synem Franza Gacka. Franz miał trzech synów (Paula, Maxa, który poległ w ostatniej wojnie we Francji i Alfreda, który walczył w Norwegii) i trzy córki (Różę, Hildę i Annę, która jako jedyna mówiła po polsku). Franz był komunistą. Wierzył w ideały głoszone przez zaangażowanych myślicieli. Nie był za to lubiany przez rodzinę. Wyjechał do Niemiec, a kiedy powrócił tu po powstaniach zakablował go własny brat Józef. Franz musiał uciekać. Na szczęście rodzinę w porę ostrzeżono i Franza wywieziono na furze poza Pszczynę w okolice Piasku. Jako wierzący komunistą i Niemiec nie był zbyt mile widziany na polskim, katolickim Górnym Śląsku. Dlatego szybko pragnął zapomnieć o przeszłości. Jego dzieci – poza Anną – nie mówiły już po polsku. Stosunki z rodziną w Polsce również uległy ochłodzeniu. Ożywiły się dopiero w czasie ostatniej wojny, kiedy córka Joanny Gacek i Pawła Kapka, Maria została jako młoda dziewczyna zesłana na roboty przymusowe do Niemiec (miasto Senftenberg). Na jej szczęście rodzice zaopatrzili ją w list polecający i wysłali do rodziny w Niemczech. Wuj Franz przyjął ją z otwartymi ramionami. Marii udało się znaleźć pracę w restauracji. I tak była „niby robotnikiem przymusowym”. Sven wspominał, że niemieccy krewni z przestrawieniem przyjęli dziewczynę mówiącą po polsku w środku kolejnej wojny światowej. Generacja Gacków wyrosła w Niemczech nie mogła zrozumieć, jak Maria może tak się zachowywać i często wyrządzała jej z tego powodu drobne przykrości. Sven wspominał o kilku z nich, ale Maria dyplomatycznie zasłaniała się wiekiem i niepamięcią. W każdym razie nauczyła się niemieckiego, którym jeszcze po kilkudziesięciu latach oczarowała Svena, niemieckiego studenta. Dyskusja przy rodzinnym stole przypominała biblijną wieżę Babel. Niemiecki, angielski, rosyjski, polski – wszystko naraz.

Lisa z bratem Mikiem dopytywała się o babkę Bibianę, która wedle rodzinnej sagi pracowała na zamku w Pszczynie. — *To bzdura* — oświadczyła ku zdumieniu wszystkich 82-letnia Maria. — *Nieprawda. Bibiana ożeniła się młodo, ale nigdy w zamku nie pracowała. Nie widziała księżnej Daisy. Była zwykłą wiejską gospodynią. Wspólnie z mężem harowali na utrzymanie rodziny na polu. Mieli gospodarstwo. Józef, mąż Bibiany, miał ciężki charakter, ale na starość żyli dosyć zgodnie. Doczekali się synów: najstarszego Józefa, który doniósł swego czasu na młodszego Franza komunistę. Najmłodszy z synów Jan zginął w wyniku ran odniesionych w wojnie światowej. Jego inicjały umieszczone są na tablicy przy wejściu do ćwiklickiego kościoła. Mieli także trzy córki: Jadwigę, Joannę, moją matkę i Józefę.* Maria poznała w Niemczech przyszłego męża Ernesta Flaka. Tam też przyszła na świat ich najstarsza córka Rosamari. — *W tym czasie była w Niemczech modna pewna piosenka, w refrenie której przewijała się pewna „Rosamari, Rosamari”* — opowiada Maria Flak. — *Uznaliśmy, że to znakomite imię dla naszej pierwszej córki. Na drugie imię dałam jej Charlotta, bo tak nazywała się moja najlepsza przyjaciółka. Ale komuniści wszystko musieli zmienić i po wojnie z jednego imienia zrobili dwa: „Róża Maria”. I tak moja córka została urzędowo zapisana.* Pani Maria do tej pory pamięta, kiedy została zesłana na „landówę”. Było to 8 listopada 1939 roku. — *12 grudnia 1941 roku wróciłam do Polski* — mówi.

I właściwie od tej pory rodzinne kontakty ulegają znowu ochłodzeniu. Maria wspomina, że raz jeszcze w czasie okupacji odwiedziła ich w Ćwiklicach matka Lisy, Rosa (Róża). Była wtedy młodą, odważną dziewczyną i uwielbiała podróżować i jak się zdaje ryzykować. Po wojnie nadszedł ostatni list od wujka Franza mówiący o tym, że Hilda wyjechała z amerykańskim żołnierzem za wielką wodę, a Rosa okropnie jej zazdrości. Franz żalił się, że córka uczyniła to wbrew woli rodziców. Maria nie

wiedziała, że zadziorna Rosa postąpi podobnie. Na początku lat 50. była już szczęśliwą amerykańską mężatką. Czasem tylko, jak wspomina Mike, z przerażającą dokładnością opowiadała im o zamku w magicznym mieście Pless, z białą nieszczęśliwą księżną, gdzie przyjeżdżał Kaiser i gdzie mieściła się kwatera niemieckiego dowództwa w czasie pierwszej wojny. — *Nie wiedziałem, że opowieści mojej matki są prawdziwe. Nie przykładaliśmy do nich większej uwagi. Po prostu gadanie starszej kobiety. Nie poruszały nas. Wstrząsnęły nami dopiero teraz, gdy zobaczyłem to miasto. Kiedy Lisie po dwunastu latach poszukiwań udało się tu trafić. Pomimo deszczu jest tu pięknie. Zamek jest olbrzymi. I pomyśleć, że matka opowiadała nam o nim tak często. Teraz ją rozumiem. Dopiero teraz wiem, co czuła.*

Nie potrafiliśmy wytłumaczyć Lisie, jak jej matka mogła znać tak wiele szczegółów związanych z historią zamku i jego wyglądem. Przecież według zapewnień Marii była tu tylko raz, może dwa. Może są to opowieści przekazane przez którąś z bliskich osób. Wiadomo, że tradycję i rodzinne sagi hołubią zwłaszcza kobiety. Czy nie była nią przypadkiem ciotka Joanna, matka Marii, która znała obie dziewczyny, równe sobie wiekiem i upodobaniami kuzynki? — *Tak, moja mama Joanna z domu Gacek pracowała jako służąca u księżęcego urzędnika w Palei – urzędniczym gmachu. Była blisko otoczenia księcia i rzeczywiście od niej mogły pochodzić te wszystkie opowieści — przyznała rację.*

Ale ostatecznie niczego to nie wyjaśniało. Bo skąd Rosa tak żywo w pamięci miała wyrytą księżęcą Pszczynę. Mike opowiadał, że wspominała, iż kiedyś zakradła się do zamkowej kuchni i zwałowała z niej porcelanową figurkę. Być może Rosa wybrała się do zamku wspólnie z ciotką Joanną. Przecież obie, Rosa i Maria, wychowywały się u babki Bibiany jako małe sierotki. I spotykały się z Joanną, córką Bibiany. A babka w czasie wolnym, pilnując wnuczęta mogła opowiadać o pracy swej ukochanej córy. I trochę nazmyślać.

Dziecięca wyobraźnia jest doskonałą pożywką dla wszelkich niewiarygodnych historii.

Jak umarł dziadek Józef

Było to już po procesach i podziale ojcowizny. Zbliżał się front i rodzina Marii postanowiła uciekać na wschód w okolice Lanckorony. Na miejscu został dziadek Józef Gacek, którym zgodzili się zaopiekować krewni z sąsiedztwa. Niestety, trochę o dziadku zapomnieli. Ale za to, kiedy familia wróciła z tułaczki, dziadek bardzo się ucieszył. I o coś zarazem pogniewał. — *A kiedy się gniewał odwracał się do ściany i udawał, że śpi — wspomina pani Maria. — A moja matka mu nie przeszkadzała. I tak upłynęły dwa dni. Przychodzili sąsiedzi obaczyć, jak się prowadzi uciekinierom. Cieszyli się, że wrócili. I nikt nie zwracał uwagi na naburmuszonego starca skrytego w kącie. Wreszcie ktoś z sąsiadek ozwała się zaniepokojona, że trzeba sprawdzić, czy przypadkiem dziadek nie pożegnał się ze światem. Wykrakała. Dziadek Józef tak wzruszył się z powrotu najukochańszego wnuka, że pękło mu serce. Bo myślał, że umarł.*

Poranek ze smażoną

Sobotni ranek przywitał Lisę smaczną śląską smażonką. Ponieważ w ich domu na Florydzie gotuje Chuck, zakradł się ostrożnie do kuchni, by zobaczyć jak mama Uli, mojej żony, przyrządza boczek specjalnie na potrzeby smażonki. Potem już tylko skwierczący tłuszcz na patelni, odrobina ziela i kurze jajca. Mnnniaam. — *To proste, ale niezwykle pożywne danie — orzekł Chuck. — Masz szczęście, że twoja teściowa tak wspaniale gotuje.*

Już pół roku wcześniej nasi amerykańscy przyjaciele prosili nas specjalnie, by ugościć ich smażonką. Śląskie jajca podobno nie mają sobie równych na świecie.

„Kończąc muszę wspomnieć o naszym małym niekoniecznie naukowym eksperymencie – pisała do nas Lisa. – Podczas naszej podróży po Europie wszędzie, gdzie byliśmy: w Austrii, Anglii, Niemczech i w Czechach próbowali-

śmy jajka. Nasze kulinarne doświadczenia przeprowadziliśmy w ośmiu miastach tych czterech krajów. I nigdzie nie znaleźliśmy lepszych od śląskich jaj. Śląska smażonka przyrządzona w Międzyrzeczu jest wspaniała. Nie ma sobie równej. Drugim miejscem, gdzie smakowały nam jajka była Pszczyna, a kolejnym Kraków. Tak więc polskie kurze jajka są najlepsze. Czeskie całkiem dobre, Londyn ma najgorsze dania z jajek, wyprzedza go trochę Wiedeń.”

I tak śląska smażonka przyczyniła się do odrodzenia śląskiej tożsamości naszych amerykańskich przyjaciół.

Floryda – dom naszych przyjaciół

Lisa w krainie kwiatów

Po kilkunastu przeprowadzkach z jednego krańca Stanów na drugi, Lisa Heilman, czterdziestokilkuletnia pielęgniarka, wreszcie wie, że znalazła raj na Florydzie, którą Hiszpanie nazwali „królestwem kwiatów”. — *Tu chcę dożyć swoich dni* — mówi wskazując na malowniczą plażę w Daytonie pełną turystów i... samochodów. To drugie wywołuje nasze zdziwienie, ale mechaniczne pojazdy suną po plaży osobnym pasem z zawrotną szybkością dziesięciu mil na godzinę.

Niewielki dom położony jest wśród egzotycznej roślinności. Na kwietniku wylegają się lewnice lizardy, miejscowe jaszczurki, których naliczyć można tu tysiące. Chuck Davidson, mąż Lisy, właśnie skończył koszenie trawnika i szykuje barbecue, czyli grilla. Pytam, co dzisiaj za specjał nam szykuje. Chuck odpowiada rezolutnie, że jeszcze nie ma zielonego pojęcia, ale ponieważ Lisa kazała rozpaść barbecue, on posłusznie to czyni.

Taki właśnie był Chuck. Mąż idealny, zawsze posłuszny. Te właśnie cechy uporczywie podkreślała moja Ula, szanowna żona. Sam Chuck wychwalany pod niebiosa prostował, że nie jest idealny tylko dobry, „cool”. Niech tak będzie.

Nasi amerykańscy gospodarze oddali nam na własność wielką, antyczną sypialnię i łazienkę, zadowolając się drugą, niewykończoną.

Na ścianach domu dostrzeżliśmy malownicze obrazki kociaków, pelikanów (to ulubione ptaki Lisy), niemieckiej Moguncji („kupiłem go na wyprzedazy starych gratów” – zdradził Chuck) i bliskiego nam zamku pszczyńskiego.

Lisa czuła się Ślązaczka. Była nią z korzeni i ze świadomego wyboru. Jej prababka Bibiana, jak głosiła rodzinna legenda, pracowała na zamku jako kucharka. Kilkuletnie śledztwo, jakie przeprowadziliśmy, pozwoliło odnaleźć ojcowiznę i potomków wygasłego już rodu Gacków z Ćwiklic. Lisa czuła prawdziwą estymę do Pszczyny, jej ciszy i historii. Ucieszyła się bardzo, kiedy w marcu otrzymała książkę o Ćwiklicach z rąk autorki, Renaty Nowak, nauczycielki historii, która zgromadziła kilkadziesiąt fotografii z dziejów tej miejscowości. Niestety, list jak i kartka świąteczna napisane były po polsku. Lisa mimo prób postanowiła cierpliwie zaczekać na mój przyjazd. Tak więc pierwszych kilka wieczorów poświęciliśmy Ćwiklicom. Lisa cierpliwie słuchała i zadawała pytania, a szczególnie zainteresowały ją powstania śląskie. — *Jak w zeszłym roku byłam wśród potomków śląskich emigrantów, wiele dyskutowałam z tamtejszym księdzem* — mówiła podkreślając, że sama czuje się protestantką. — *Otóż tenże duchowny twierdził, że Ślązacy bardzo słuchali się księży. To im zawdzięczają polskość, umiejętność czytania i pisania, obycia w świecie. Autorytet Kościoła był i jest nadal wielki, a Ślązacy głosząc za Polską w czasie plebiscytu, kierowali się opinią miejscowych proboszczów. Czy to prawda?*

Podziwiałem u Lisy tę dążność do zrozumienia obcych współczesnemu Amerykaninowi postaw. Tłumaczyłem cierpliwie, że prawda była bardzo skomplikowana i do dziś wywołuje kontrowersje. To prawda, że Kościół miał i ma swoje miejsce na Śląsku. Ale przesadą jest ukazywanie miejscowych jako Bogu ducha winnych prostaczków. Ci ludzie zawsze mieli własne zdanie, ugruntowane przez doświadczenie pokoleń, kolejnych generacji. Umieeli podchodzić z dystansem do

obietnic bez pokrycia i kolejnych dziejowych narwańców, którzy chcieli zbawiać świat. Księża też mieli swoje wady i miejscowi umieli to doskonale wychwycić, śmiejąc się do rozpuku z wiców o farorzach. Byli duchowni niemieccy i polscy. Każdy z nich starał się wpłynąć mniej czy bardziej gorliwie na orientację polityczną swoich „owieczek”. Niektórzy farorze czynią to po dziś dzień, jakby nie zauważyli zmiany epok. Ale najczęściej mamy szczęście mieć księży, którzy rozumieją Ślązaków, bo po prostu sami wywodzą się z Górnego Śląska. I tak pośród piasków Florydy dyskutowaliśmy o ważnych momentach dziejowych.

Kiedyś nabyłem książkę za osiem dolarów – niezmiernie tanio zdaniem Lisy – o Florydzie. Ale nie była to zwykła „kniga”. Był to zbiór reportaży, jakie powstały o tym rajskim skrawku Stanów niemal sto lat temu. Lisa była zauroczona tym dziełem, tym bardziej, że dwa spośród artykułów poświęcone były pelikanom, które z taką gracją szybowały nad plażą w Daytonie. Jak już powiedzieliśmy, to ukochane ptaki Lisy. Nic też dziwnego, że Lisa „połknęła” książkę w kilka dni. Kiedy my podziwialiśmy chmury z pokładu samolotu, Lisa jeszcze nie mogła oderwać oczu od zadrukowanych stron. — *Kupiłeś wspaniałą książkę. Naprawdę wspaniałą* — stwierdziła. Ponieważ nie mogliśmy znaleźć nigdzie takiej samej książki o Florydzie, postanowiłem sprezentować tę jedną jedyną Lisie. Ale ona na to nie pozwoliła. — *Zabierz ją do Polski. Poznałeś Florydę, rozumiesz ją. Teraz poznasz ją jeszcze lepiej* — powiedziała. — *I zrozumiesz.*

Nie lubiłem się opalać. To może efekt przykrego doświadczenia, jakie spotkało mnie we Włoszech. W każdym razie – zamiast smażyć się na plaży – wolałem rowerowe wycieczki po okolicy. A to sprzyja poznawaniu ludzi i nowych miejsc. Moja rowerowa trasa miała kilka mil. Wiodła wzdłuż rzeki Halifax, która oddzielała Daytonę od Ormond. Betonowym mostem, który Chuck i Lisa nazywali swoim ukochanym, przejechałem na drugą

stronę rzeki. W nabrzeżnej przystani, w której urządziłem pierwszy postój, przerwałem do południową siestę jakimś bezdomnemu. Lecz on zamiast się złościć, pozdrowił mnie i zagadnął o skwarnej pogodzie. Kilka minut drogi dalej wznosiła się biblioteka publiczna. Takiej okazji nie mogłem zmarnować. W jej wnętrzu wzdłuż i wszerz metalowych regałów spacerowali czytelnicy przebijając do woli w księgozbiórze. Pośrodku znajdowały się biurka, przy których zasiadali bibliotekarze. Poprosiłem jednego z nich o wskazanie księgozbioru poświęconego historii Daytony. Znalazła się cała półka książek, albumów ze starymi pocztówkami, zdjęciami, w której mogłem do woli przebierać. Potem jeszcze przejrzenie stanowiska komputerowego i pożegnałem bibliotekę. Opuszczałem gmach bocznym wejściem obok sali, w której leciały filmy wideo dla maluchów i mam. Minąłem pokój z zabawkami. To ci biblioteka.

— *Musi pan jechać parę mil w prawo do ośrodka informacji turystycznej* — poinformowała mnie uroczą madame z magistratu przylegającego do biblioteki. — *Tam udzielą panu wszelkich niezbędnych informacji o naszym mieście.*

Zdziwiłem się, że pracownica urzędu miejskiego nie potrafi wymienić nazwiska burmistrza, czy też dokładnie określić liczby mieszkańców miasta, w którym pracuje. Za to w niewielkim budynku „informacji dla gości”, czekała na mnie niespodzianka. Zagadnąwszy uprzejmą panią z tegoż biura, prosiłem o jakiegokolwiek informację o Ormond, sąsiadującego z Daytoną. — *Chwileczkę, proszę zaczekać, bo pan jest z Polski, a ja tu mam koleżankę, która ma polskie korzenie* — wyjaśniła.

I tak trafiłem na przeuroczą blondynkę, Lucy. — *Przepraszam, ale nie pamiętam zbyt wiele polskich słów poza „dzień dobry”, „jak się masz”, „miło cię widzieć”* — wyjaśniła. — *Moja rodzina pochodziła, gdzieś z południowej Polski. Więcej szczegółów niestety nie pamiętam. Aha, znam jeszcze jedno polskie słowo „kluski”.*

— *Kluski?* — upewniłem się nie dowierając. — *Toć to nieodłączny element tradycyjnego śląskiego lunchu, czyli obiadu. Dajmy na to, że w niedzielę gromadzi się rodzina i na stole poza kluskami są przepyszne rolady i „modro” kapusta. Taki właśnie familijny poczęstunek czeka na mnie w mojej rodzinnej parafii w Brzeźcach na najbliższym odpuszcie tuż po powrocie* — dodałem młaskając w myślach. — *A skoro wymienia pani kluski, to prawdopodobnie pani rodzina wywodzi się ze Śląska. Tylko tam znają tę wymyśloną potrawę.*

Zadzwoń telefon. — *Lucy to twój ojciec* — zwróciła się do nas koleżanka mojej rozmówczyni. — *O tato, jak dobrze, że dzwonisz, mamy tu gościa z Polski. Dać ci go?* — i już po chwili rozmawiałem ze starszym panem. — *Jo niewiele umiem po polsku. Moi ojcowie pobrali się w Chicago w latach 30. i tam się urodziłem. Nie mam pojęcia z jakiego rejonu Polski pochodzili* — tłumaczył starszy pan. — *Ale znam kilka polskich powiedzeń: „Dej dziubka, dej dziubka”, „ładnie pani w tej sukience”.*

— *Jak nazywa się pani ojciec?* — zapytał Lucy. — *Albin Pientka* — usłuszałem zdumiony. Teraz nie miałem wątpliwości, że rozmawiam z potomkiem śląskich emigrantów. — *Niech Bóg pana błogosławi* — rzucił na pożegnanie 80-latek.

— *Szukasz polskich śladów?* — spytał mnie po powrocie Chuck. — *Tu niedaleko prowadzi klub bokserski Jeb Polski.*

Ale nie o to mi chodziło. Ciekawiło mnie w jaki sposób w ludziach na obczyźnie zachowało się wspomnienie rodzinnych stron. Polski i Śląska. I proszę mi wierzyć niczego specjalnie nie szukałem. Nie poszedłem specjalnie do klubu polskiego w Ormond, by spotkać starą Polonię, co z pewnością ucieszyłoby mocno starych Polonusów. Ludzi spotykałem zupełnie przypadkiem. Po drodze.

Śląsko-polskie przypadki

Wychodzimy właśnie z zimowego domu Rockefellera, najbogatszego człowieka świata,

który przed wojną zakupił tu niewielki dom nad brzegiem Halifaxu. Teraz jest tu muzeum i zarazem coś w rodzaju szkółki dla dzieci. Obok oryginalnych prawie stuletnich gabinetów znajdują się pracownie informatyczne. W jednym pomieszczeniu stoi biurko dobroczyńcy Ormond City, o którym mieszkańcy zachowali wdzięczną pamięć, choć on sam zmarł dawno temu – w latach 30. W innym pokoju hałasują dzieciaki albo trwają zajęcia kółka malarskiego. Nasza sędziwa przewodniczka łaskawie pozwala zdjąć na kliszę biurko Rockefellera, ale bez fleszu, bo to szkodzi. Z dumą podkreśla, że utrzymanie tego stuletniego przybytku sporo kosztuje. Ale kuchnia, mimo przyrządzanych tu przyjęć, wygląda oryginalnie tak, jak w czasach wielmożnego J. Rockefellera.

Dowiadujemy się, że spotykają się tu potomkowie węgierskich imigrantów. Polski klub jest także niedaleko stąd. — *Na pewno się ucieszą jak was zobaczą* — domyśla się nasza sędziwa przewodniczka.

I kiedy wychodzimy z willi Rockefellera wylatuje z inną rzeźką staruszką i woła coś w naszym kierunku. — *Zaczekajcie* — słyszymy. Przedstawia nas pani Grace Rosiak. Grace, 70-kilkuletnia staruszka rzewliwie całuje moją żonę i mówi, że znakomicie porozumiewa się po angielsku. Później zwraca się do mnie, że mam szczęście mając taką wspańiałą żonę. A potem, częściowo na naszą prośbę, płacząc słowa polskie z angielskimi, opowiada o sobie. — *Przepraszam, za mój polski. Ach więc tak. Moi rodzice musieli być bardzo bogaci, bo zatrudniali innych ludzi. Mieli służbę. Matka miała majątek przed wojną w Rózanowie w Warszawie. Zawsze opowiadała, że to piękne miasto. A ojciec pochodził z Krakowa. Wiem, że rodzice bardzo się kochali i uwielbiali podróżować. Byli kształceni na włoskich uniwersytetach. Znali po kilka języków. I w latach 20. przyjechali to, do Ormond* — wspominała Grace.

I jeszcze długo stoimy nad brzegiem Halifaxu wspominając daleki kraj. — *Musi pani ko-*

niecznie odwiedzić Polskę. Kraków i Warszawę. Dużo się tam zmieniło na lepsze – dodajemy na pożegnanie.

Prawdziwych Polaków spotykamy w Daytonie pod koniec naszego pobytu. W sklepie z pamiątkami matka wydziera się na jedną z córek: — *Nie dotykaj tych rzeczy i tak nie masz pieniędzy, by je kupić.* Tym razem nie ujawniamy się i pokornie opuszczamy sklep zostawiając polską rodzinę w szale zakupów. Dotąd byliśmy tu jedynymi Polakami... Wracamy do Daytony po przejechaniu ponad pół tysiąca kilometrów. Awaria samochodu. Ściemnia się. W oddali widzimy fajerwerki z okazji święta niepodległości przypadającego 4 lipca. Próby uruchomienia samochodu nie zdają egzaminu. Chuck dzwoni po pomoc. Świąteczny weekend nie sprzyja jednak pechowcom. Nikt nie pracuje. Będziemy musieli przenocować w hotelu, a jutro rano - jeżeli naprawa auta w autoryzowanym punkcie nic nie da – trzeba będzie wynająć pojazd. Na szczęście nadjeżdża serwis i udziela nam pomocy. — *Bierzcie walizki podwożę trójkę z was do hotelu* – informuje. — *Za chwilę podjedzie tu kolega z holownikiem i zabierze samochód.*

Odjeżdżamy w stronę hotelu. Dochodził północ. I mamy szczęście, bo spotkaliśmy niezwykłego człowieka. Okazuje się, że jego ojciec był Czechem, a matka Rosjanką. Nazywa się Don Gulla. — *Golla?* – zdziwiła się Lisa. — *To prawie tak jak część mojej rodziny w Polsce. Co za zbieg okoliczności.*

Don nie umiał ani słowa po czesku, ale jak zapewniał „osłuchał się” w czasach młodości z tym językiem. Zresztą to Don nas pierwszy zagadnął: — *Czy wy przypadkiem nie jesteście ze wschodniej Europy?*

Niewiele mówił o sobie. Matka z ojcem poznali się w St. Petersburgu i być może, by ułatwić życiowy start ukochanemu dziecku rozmawiali z nim po angielsku. Don pracował w pomocy drogowej. Każdego dnia i nocy patrolował kilkudziesięciomilowy pas autostrady, by dostrzec postrzębujących pomocy. — *To niezbyt dobrze płatna praca, ale*

daje satysfakcję, bo pomagam ludziom w potrzebie – stwierdził podwożąc nas do hotelu. — *Zdarza się tu ogromnie dużo wypadków. Gina dzieci, straszne. Ludzie gonią jak szaleni. Prędkość i brak rozważli na drogach to grzechy Amerykanów.*

Oboje, Lisa i Don, zgodzili się z moją uwagą, że potrzeba pomagania innym, serdeczność, to część ich śląskiej, słowiańskiej natury. — *Musi pan koniecznie odwiedzić Pragę. Jest tam przepięknie, tanio i leją bardzo dobre piwo* – przekonywaliśmy Dona na zakończenie podróży. Nigdy jeszcze nie był w Europie, a przecież w jakiś sposób czuł swoją „inność”, odmienność od przeciętnego Amerykanina z fast-foodu.

Nowy Jork. Przed siedzibą Telewizji NBC zgromadził się tłum. Tak jak każdego ranka. Każdy ma nadzieję, że w telewizji zobaczą go krewni i znajomi. Nieliczni mają transparenty. Lisa wpadła na pomysł, by na tekturze (początkowo miała być hotelowa pościel) napisać „Poland loves (olbrzymie serce) NY” czyli „Polska kocha Nowy York”. — *Nie możecie pokazać się w telewizji bez transparentu* – Lisa jak zwykle podeszła do tematu marketingowo, po amerykańsku. Chuck kupił najlepszy marker. No i rano moja żona napisała na kawałku tektury to, co uzgodniliśmy. Ale na miejscu był spory tłum. I rozkrzyczana młodzież. Uległem chwilowej desperacji. Ponieważ przerwy, w których pojawiała się publika zgromadzona na placu przed stacją telewizyjną były krótkie, straciłem zupełnie nadzieję, że Lisa z Chukiem, którzy w tej chwili wstali z łóżek, zobaczą nas w telewizji. Ale zaraz. Może nie moją żonę, bo jest niska. Może nawet nie mnie, bo jest zbyt ciasno. Ale moją wyciągniętą rękę z transparentem owszem. I począłem się niezbyt kulturalnie pchać w stronę najbliższej kamery. Witały mnie gniewne pomruki rozpychanych osób. I wreszcie sukces. Mój transparent jest widoczny na ekranie tuż za głową spikera. Bosko! Lisa naliczyła kilkanaście takich wstawek z naszym udziałem. A z tłumem rozległy się odgłosy uznania: „You come from Poland? That's good”. Ktoś poklepał mnie po ramieniu i dał

do zrozumienia, że w pełni podziela moją desperację. Wróciłem do żony. Udało się nam jeszcze kilkakrotnie być na wizji, bo akurat prezenterzy wyszli ze studia na plener. Tylko mój teść nie mógł się połapać, o jaki właściwie kanał telewizji chodzi.

Kiedy zbieraliśmy się do wyjścia, jeszcze ktoś mnie zagadnął. Była to sympatyczna amerykańska nauczycielka z rodziną. Szybko znalazła wspólny język z moją Ulą, która także uczy dzieciaki historii i dobrych manier. Przedstawiając jednego ze swoich synów mrugnęła porozumiewawczo dając znać, że kilkunastoletnie pociechy sprawiają największej problemów. — *Spójrz, ta pani z Polski też uczy takich chłopców jak ty* — zagadnęła.

Jej przodkowie pochodzili z Cieszyna. Nazywali się Pazdan. — *Rodzina w Polsce, szczególnie kuzyni, prawie o nas zapomnieli. Patrzyli na nasze pojawienie się ze zdziwieniem. Początkowo zaprzeczali: „Nie mamy żadnych krewnych w Ameryce”. Chyba też byłabym zdziwiona, gdyby nagle ktoś pojawił się u mnie w domu, jakby spadł z księżycą i wmawiał mi powinowactwo. Ale ci ludzie byli bardzo gościnni. Zapraszali nas za każdym razem do domów. Przy kawie, herbacie i istic królewskim poczętunku mogliśmy opowiedzieć, co nas męczy. I oni nas za każdym razem wysłuchiwali! W końcu uwierzyli. I tak odnalazłam w Polsce rodzinę.*

Korzenie Lisy

Ze zdziwieniem dowiedziałem się, że przodkowie Lisy ze strony ojca pochodzą z nowojorskiego Manhattanu. Dawno, dawno temu jeden z Heilmanów, przybył z Niemiec do Ameryki. Ale dlaczego to uczynił pozostaje niewiadomą. Było to w latach 70. dziewiętnastego stulecia. I tak po Peterze Jakubie Heilmanie nastał August Jakub, a po nim ojciec Lisy Heilman. Któryś z nich wyprowadził się z Manhattanu. Lisa wraz z bratem Mikem uparcie szukają wszelkich wzmianek o swoich przodkach. Przetrząsała archiwa, biblioteki. Wertowała stare gazety. A informacji o przodkach było jak na lekarstwo. W dodatku

w którymś momencie Heilmanowie zmienili przynależność wyznaniową. Raz figurują w kartotekach kościoła katolickiego, innym razem protestanckiego. Mike próbował szukać przodków w spisach pasażerów okrętów, jakie przybywały do Ameryki z Europy. Ale powszechnie wiadomo, że nie były one kompletne. Ludzka natura jest ułomna. Żeglarze – za drobną opłatą – przemycali na pokład nielegalnych pasażerów. — *Odkąd pamiętam w moim domu nigdy nie używało się języka niemieckiego* — wspomina Lisa. — *Ojciec nie chciał byśmy mieli z tego powodu jakiegokolwiek problemy. Niemcy w Ameryce po drugiej wojnie nie byli mile widzianymi gośćmi. Tysiące jeńców wojennych z tego kraju pracowało tu przy budowie dróg. Amerykanom, prostolinijnym z natury, trudno było zrozumieć, że ktoś mieszka tu od pokoleń i jest Niemcem. Tak próbują to sobie tłumaczyć. Niemiecki znam wtórnie dzięki kontaktom z naszymi niemieckimi krewnymi. Mam kuzynów w Berlinie, Monachium i wielu innych miejscach Niemiec. Jeżeliby się mnie ktoś zapytał, kim się czuję, to odpowiadam, że Ślązaczka. Próbuję zrozumieć tych ludzi i ten region. Tak jestem amerykańską Ślązaczka. Bardzo zaangażowałam się w poszukiwania moich śląskich przodków, których znam z opowieści matki. Mój brat Mike z kolei poświęcił swój czas na odnalezienie rodziny ojca. Ale okazało się to bardzo trudne.*

Kiedy opuszczaliśmy Nowy Jork podjechaliśmy na cmentarz wojskowy na Long Island. Tu były korzenie Lisy. Tysiące białych płyt ustawionych w równych szeregach. Wykoszona równo trawa. Malownicze alejki. Tu spoczywał ojciec Lisy. — *Został odznaczony brązowym krzyżem, o czym dowiedzieliśmy się dopiero po jego śmierci* — dopowiedział Chuck. Heilman brał udział we wszystkich ważniejszych wojnach jako mechanik pokładowy. Był na ostatniej wojnie światowej, wojnie koreańskiej i wojnie w Wietnamie. Zmarł młodo w latach 60. Z tyłu pomnika wygrawerowano imię i nazwisko jego żony, któ-

rej skremowane prochy również tu spoczęły. — *Przez długi czas zastanawialiśmy się, gdzie złożyć prochy mojego brata bliźniaka. Opiekowaliśmy się nim przez dziesięć lat po tragicznym wypadku, po którym został sparaliżowany. Opuściła go żona z 17-letnim synem. Nie byli nawet na pogrzebie. Postanowiłam z Mikiem i Chukiem, że najlepszym dla niego miejscem będzie to obok rodziców. Dlatego wyspałam jego prochy do urny z prochami mojej mamy. Był tylko problem z napisem na pomniku. Obsługa cmentarza powiedziała, że wszelkie napisy są nielegalne, ale oni nie zdejmują niczego z pomników. Dlatego wykonaliśmy to zdjęcie z pamiątkowym napisem i umieściliśmy na pomniku. Jeżeli ktoś będzie go w przyszłości szukał, na pewno znajdzie jakąś informację* — zapewniła Lisa. Dodajmy, że w Ameryce pomniki są wieczne. — *Te cmentarze będą tu na zawsze. Tu nikt nie przekopuje grobów* — zauważył Chuck.

Dom Joan

W słonecznym i zielonym stanie Connecticut, w odległości dwóch godzin jazdy od Nowego Jorku, trafiamy na domki z epoki wiktoriańskiej. Wydaje się, że czas jakby stanął w miejscu. Krajobrazy typowo europejskie, jakże inne od egzotycznej Florydy. Trafiamy do miejscowości Beacon, gdzie mieszka kuzynka Lisy, Joan. — *Wygląda zupełnie jak rodzinna miejscowość Ani z Zielonego Wzgórza* — dziwi się Ula, moja żona.

Nie wiem, czy to prawda. Joan mieszka w olbrzymiej jak na warunki amerykańskie rezydencji. Od kilkunastu lat jest wdową. Kosztowny dom chce zamienić na mniejszy. Ale nie ma co ukrywać, boi się przeprowadzek. Lisa gorąco namawia ją – czyni to już od kilku lat – do zamieszkania na Florydzie. Przywiozła nawet z sobą fotografie jednego z domków i cennik dla porównania. Ale domy na Florydzie są zupełnie inne – niewielkie, parterowe. Inne jest też wyczucie przestrzeni. Na Florydzie teren jest nizinny, płaski. Domki przylegają do siebie. W Connecticut

są niewielkie wzniesienia pokryte lasami. Przypominają nam Beskidy. Domy, przeważnie piętrowe, drewniane wille stawiane na modłę angielską, stoją między drzewami. Przestrzeń między nimi jest o wiele, wiele większa. Joan poza ogromnym piętrowym domem z poddaszem i piwnicami (czego na Florydzie się nie spotyka) ma jeszcze gospodarczy budynek z garażem, którego górną część wynajmuje na mieszkanie. Z tyłu posiadłości stoi, ukryty w zieleni i trochę zaniedbany, basen. Od przeprowadzki na Florydę gorąco odwodzi mieszkającą niedaleko córka. Zapewnia, że odkupi od matki rodzinny dom. Pojmowanie domu różni Europejczyka od Amerykanina. Dla nas dom jest ostoją, świętością, instytucją, czymś niezmiennym, co trwa. Najbardziej widoczne jest to zwłaszcza na wsiach i w małych miastach, gdzie rodziny mieszkają od pokoleń, stuleci przekazując sobie wzajemnie historię i obowiązek dbania o rodzinny dom, ojcowiznę. Dla Europejczyka szokujące jest to, że dom dla Amerykanina to przede wszystkim towar, który ma określoną wartość, i o który trzeba systematycznie dbać. Jeżeli dom jest za duży, jak na możliwości finansowe właścicieli, postanawiają go sprzedać i kupić mniejszy nawet w odległym o kilkaset mil miejscu. Podejście takie wynika z praktycyzmu Amerykanów. Są społeczeństwem na wskroś komercyjnym, w którym trudno zachować więzi rodzinne. — *Wychowujemy jeszcze jednego spośród naszych czterech synów* — powiedzieli nam Debbie i Wayne Marshall, sąsiedzi Joan. — *Po ich usamodzielnieniu staniemy przed koniecznością sprzedaży domu, bo będzie dla nas za duży. Na nasze dorosłe dzieci nie możemy już liczyć. Mają własne rodziny, życie, kariery. Teraz musimy pomyśleć o własnej starości* — mówią wprost.

Dziwią się, gdy słyszą o tym, jak wyglądają wielopokoleniowe rodziny w Polsce, na Śląsku. — *Tu w Ameryce dzieci na starość oddają ojców po prostu do przytułków. Nie zajmują się nimi* — zapewniają chcąc uniknąć takiej przyszłości...

Samotność w Stalinoogrodzie

Drobna Ślązaczka z Brynowa, Maria Gwioździk, nie przypuszczała, że krótką karierę dziennikarską rozpocznie w gazecie wydawanej w Katowicach, a zakończy w Stalinoogrodzie.

Świeżo upieczona adeptka polonistyki i dziennikarstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego do pracy w „Dzienniku Zachodnim” trafiła dzięki – jak przyznaje – protekcji kuzyna, który znał dobrze redaktora Rakoczego. — *Zawsze marzyłam o pisaniu artykułów i reporterskich wędrówkach* – mówi pani Maria. — *Marzenia zniweczyły jednak ciężkie, stalinoowskie czasy. Ludzie bali się czegoś nieokreślonego. Nie ufali sobie. Atmosfera podejrzeń przytłaczała wszystkich.*

Młoda adeptka zaczynała jako adiustatorka. Potem przerzuciła się do działu miejskiego, gdzie zajęła się sporządzaniem prostych notatek z życia Katowic. Przyszły wreszcie pierwsze próby dziennikarskie. Materiały publicystyczne. Pani Maria mile wspomina reporterskie wędrówki. Ale czasy nie sprzyjały szczerości. Dziennikarz opisał to, czego od niego oczekiwano – propagandową, nieistniejącą rzeczywistość. Pani Maria do dziś wspomina hutę szkła, do której trafiła, by napisać typowy, propagandowy materiał. Uderzyła ją spozierająca zewsząd bieda, brud, zapracowani i wynędzniali pracownicy. Stwierdziła wtedy z przerażeniem, że nie wie sama, co właściwie ma napisać. Sytuację uratował fotoreporter, który wykonał serię zdjęć. Zamiast obszernego artykułu o sukcesach huty, ukazał się fotoreportaż z krótkim, ale wymownym tekstem. Najbardziej drętwe były rozmowy z dyrektorami hut, kopalń, naczelnikami urzędów. Trzeba było niemal płaszczyć się na kolanach.

W dziennikarskim życiu nie brakowało miłych chwil. Atmosfera w zespole była życzliwa. Zwłaszcza starsze koleżanki po piórze próbowały okiełznać i uszlachetnić charakter gniewnych dziennikarzy, pokolenia, które dojrzało po wojnie i chciało się „wykazać” nieraz niepotrzebną nadgorliwością. Połowę dziennikarskiego zespołu „DZ” tworzyli właśnie ludzie młodzi, którzy szukali ujęcia dla swej energii. Bardziej doświadczeni redaktorzy „DZ” unikali angażowania gazety w ideologiczne rozgrywki. Taką rolę pełniła „Trybuna Robotnicza”. Kiedyś po wprowadzeniu nazwy „Stalinogród”, jeden z nieopierzonych pismaków ubolewał nad niekonsekwencją niektórych obywateli, którzy jeszcze używali starej, nieprawomyślniej nazwy Katowice. Spotkał się z cichym potępieniem. Cichym, bo prywatnie każdy cieszył się ze śmierci towarzysza Stalina. — *Oficjalnie było inaczej. Każdego tygodnia odbywały się szkolenia ideologiczne. Utkwiło mi w pamięci jedno z nich, na którym jeden z partyjnych gorąco nas przekonywał, że za dziesięć lat będzie w Polsce Ludowej zupełnie inaczej. Podobno zbyt do słownie zapewniał nas o tym, że każdy doczeka się własnego samochodu, mieszkania, zamiast skupiać się na treściach ideologicznych. Od tej pory już nie nauczał* — wspomina pani Maria. — *Pamiętam też, że wkrótce po śmierci Stalina wysłano nas w teren, by na gorąco pozbierać ludzkie odczucia. Trafiłam w jednej z katowickich hut na kobietę, która ku mojemu wielkiemu zdziwieniu autentycznie rozpacziała po śmierci generalissimusa. Szczerze płakała, twierdząc, że ocalenie swojego życia zawdzięcza Związkowi Radzieckiemu*

i kochanemu towarzyszowi Stalinowi. Być może była to Żydówka.

Nadeszły trudne chwile. — *Panowało ogólne zastraszanie. Któryś z redaktorów „DZ” stracił pracę po tym, jak w prywatnej rozmowie przyznał znajomemu z ówczesnej „Trybuny Robotniczej”, że ma w domu ciężką sytuację, bo jego żona wróciła ze Związku Radzieckiego z gruźlicą. Tego nie wolno było mówić.*

Brutalna rzeczywistość spowodowała, że realia miały się z wyobrażeniami pani Marii o dziennikarskiej profesji. Z zażenowaniem obserwowała, jak Gustaw Morcinek na katowickim rynku agitował w obecności tłumów za zmianą nazwy miasta z burżuazyjnych Katowic, na socjalistyczny Stalinogród. Pożegnała się z „Dziennikiem” po niespełna roku pracy, w sierpniu 1953 roku. Odeszła do Krakowa, gdzie poznała Wacława Urbana, młodego pracownika Uniwersytetu Jagiellońskiego. Związana była przez lata z Państwowym Instytutem Wydawniczym. Publikowała w „Tygodniku Powszechnym” i „Znaku”.

— *W „Dzienniku” pracowali zacy ludzie, jak na przykład sekretarz redakcji Kalparczyk, który przyjmował mnie do pracy — wspomina pani Maria. — Naczelny Surówka miał osobny pokój. Nie brakowało także takich oryginałów, jak redaktor Szarama, który zawsze chodził własnymi ścieżkami i trzymał się z dala od wszelakiej polityki. Przedwojenna osobowość. Był zresztą na moim ślubie w Brynowie. Pamiętam, że przyszedł z bukietem kwiatów. Napisał kiedyś żartobliwy felieton o przygłupawym, naiwnym, ale pięknym dziewczątku. To było o mnie.*

Australia nie jest biała

W Adelajdzie, stolicy Południowej Australii, święta Bożego Narodzenia zaczynają się dzień wcześniej niż w Polsce. Miejscewa Polonia zgromadzi się na tradycyjnej Wigilii w Centralnym Domu Polskim. Pani Krystyna Dyna z mężem i dziećmi spędzi je po raz pierwszy od 14 lat w swoim rodzinnym domu w Brzeźcach koło Pszczyny.

Robert, Amanda, Artur, Adam i Adriana najbardziej zachwyceni są śniegiem. W Południowej Australii go nie ma. — *Zrywają się rano i lepią bałwany* — mówi ich babcia Łucja Godziek. Amanta opowiada o zbudowanym wspólnie igloo, a 16-letni Robert o kuligu zorganizowanym przez wujka.

Przyjechali do Polski pod koniec października. Dzieci na razie są z mamą. Tata Artur (z pochodzenia Krakus) wyjechał do Australii w interesach i przyjedzie dopiero na same święta. Musi pilnować rodzinnego biznesu. — *Ale dzwoni co drugi dzień* — podkreślają dzieci. Australijczycy największy problem mieli z przystosowaniem się do czasu polskiego. Przez prawie dwa tygodnie dzieci wstawały o trzeciej nad ranem i były wyspane. W Australii jest w tej chwili czas letni, w Polsce – zimowy.

Opowiadają o australijskim Bożym Narodzeniu. W Australii prezenty pod choinkę przynosi Father Christmas, czyli nasz święty Mikołaj. Kiedy dzieci zobaczyły brzeskich przebierających, chodzących tradycyjnie na św. Mikołaja 6 grudnia, obawiały się, że Mikołaj pod choinkę prezentów im nie przyniesie.

Zwykły Australijczyk nie obchodzi Wigilii. Zwyczaj ten jest znany wiernym Kościoła rzymskokatolickiego. Kulturuje go ok. 65-tysięczna Polonia rozrzucona po całym kontynencie. Polonusi z rodzinami zbierają się w polonijnych centrach. W Adelajdzie do liczących się klubów należą: „Polonia”, „Millennium” i „Kopernik”. Jest choinka, mnóstwo tradycyjnych polskich potraw, prezenty,

śpiewa się kolędy. Trudno przygotować dobrą wigilijną kolację, kiedy jest tak gorąco, że domy są cały czas klimatyzowane. Do mownicy zasiadający do wieczery po całodziennym gotowaniu, nieraz nie chcą niczego jeść. — *Nie dość, że temperatura dochodzi do 40 stopni Celsjusza, to jeszcze trzeba męczyć się gotowaniem w kuchni* — wspomina swoje pierwsze wigilie pani Krystyna. Kiedy dzieci podrosły, zaczęli chodzić na wigilie organizowane przez Dom Polski. Tak jest po prostu łatwiej. — *Zawsze tęskniłam za prawdziwymi świętami z zimową scenerią* — przyznaje Australijka polskiego pochodzenia.

Australijczycy uroczysty bożonarodzeniowy obiad lub kolację (Christmas dinner) spożywają w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia. Dzieci szukają prezentów, które ukrył w nocy św. Mikołaj. Tradycyjna choinka usycha kilka dni później. Śpiewa się kolędy. Przed świętami stroi się domy w kolorowe, mrugające girlandy. Świąteczny nastrój panuje już dwa miesiące przed Wigilią.

— *W pierwszą sobotę listopada na ulicach pojawia się pochód przebierańców* — opowiada pani Krystyna. — *W sklepach są już ustrojone choinki. Ponieważ Australia to jeden wielki tygiel kultur i narodowości, tych obyczajów jest więcej.*

Adelajda leży nad Oceanem Indyjskim. Jest jednym z najdłuższych miast w Australii — rozciąga się na długości 120 kilometrów. Państwo Dynowie mieszkają w jednym z podobnych do siebie domków jednorodzinnych z małym ogrodem. Ich sąsiedzi to zarówno rodowici Aussie (tak nazywa się Australijczyków), jak i Włosi, Ukraińcy. Dzieci uczęszczające do australijskich szkół mają wśród swoich kolegów Chińczyków i Aborygenów. Adriana rozpocznie naukę w szkole, kiedy ukończy piąty rok życia. Robert uczęszcza już drugi rok do college'u, odpowiednika naszej

szkoły średniej. Rok szkolny trwa tak długo jak kalendarzowy. Moi rozmówcy skończyli właśnie kolejne klasy. Po dziesięciu tygodniach nauki (tak długo trwa każdy semestr), dzieci mają dwa tygodnie wolnego. Szkoła nie jest stresująca i chodzi się do niej z przyjemnością. Ale teraz są wakacje.

Co sobotę pani Krystyna dowozi samochodem swoje pociechy na zajęcia języka polskiego do Centralnego Domu Polskiego, wybudowanego i zarządzanego przez Polonię. Dzieci Dynów są dwujęzyczne. Te młodsze mówią częściej i chętniej po angielsku. Nawet tu, w Polsce. — *Mówię im coś po polsku, a one do mnie zwracają się po angielsku* — opowiada ich mama. Kiedy oglądaliśmy zdjęcia, mała Adriana z Arturem kłóć się między sobą. Babcia Łucja uśmiecha się. — *Nie mam pojęcia, co tam do siebie mówią* — przyznaje. Młodzi Australijczycy mogli poznać swoich krewnych — wujków, ciotki, kuzynów, kuzynki — prawdziwych, a nie „przyszywanych”. Ale najbardziej kochane są babcie.

Jak w Australii spędza się sylwestra? Tak samo jak w Polsce. Trzeba jednak o tych wyobrażeń dodać gorącą, letnią porę roku. Jedni bawią się na balach, inni — na prywatkach. Są i tacy, którzy Sylwestra spędzają w oceanie. Wiadomo, jest upał.

Co Dynowie chcieliby zabrać do Australii? Śnieg — bo jest taki biały i puszysty. Robert twierdzi, że chętnie zostałby w Polsce.

— *Kiedy przyjechałam do Pszczyny od razu rzucili mi się w oczy długie, szare i wąskie ulice miasta* — opisuje swoje wrażenia pani Krystyna. — *A na nich pełno samochodów. Pszczyna wydała mi się jeszcze mniejsza niż kiedyś. Ale było to pierwsze odczucie. W mieście zmieniło się wiele. Jest bardziej kolorowo.*

Rodzina Dynów zamierza jeszcze odwiedzić Zakopane. 15 stycznia wyjadą z Polski. Wrócą tam, gdzie nie ma śniegu.

Pieśń o Zarzeczu

Budowa zbiornika wodnego w Goczałkowicach w latach pięćdziesiątych pochłonięła Zarzecze, część Wisły Małej i Wielkiej, Zabrzega, Łąki, Strumienia i Ligoty. Zarzecze stało się mitem ludzi skrzywdzonych, wygnañców. Ich mała ojczyzna ciągle żyje w ich pamięci. Oto opowieść z dna ich serca, pieśń o dawnym Zarzeczu.

Wtem Zarzeczu to zawsze była muzyka. Powiadali ludzie, że kiedyś im się to skończy...

Pamiyntom jak oni tam na Zarzeczu jakiś wielki świynto odprawiali. Jo też tam był i dużo Wiślan tam było, bo my tam czynsto do kościoła chodzili. Bliżyj my mieli jak tukej do Wisły. Gibcyj sie szło, bo my tam po wółkach miyndzy stowami na skróty chodzili. Wielki świynto to ta mieli, pamiyntom. Wielu ludzi... Wielu tych strażoków stymi szprycami... Pełno tego było. Najprzód szli piyknie z muzykom do kościoła. A umundurowani fajnie, pierucha, wszyndzi tak... A jak wyszli z kościoła, muzyka zaś zaczana grać – jo ci powia my ta stoli skraja, ale tak grali... I zaś z tom muzykom szli do karczmy u Jorgi i ta grali aż do rana. A my jeszcze długo stoli na zarzeckim moście i słuchali.

W tej drugi karczmie u Krzymпка, co kosek dali stoła, ta też była muzyka. Nowo wybudowane całe to ta było i ta też się zbiryali, ale nie było to tak wielki jak u Jorgi. Tych izbów tam było, a jeszcze kwatyr miół na boku. I najwiyszko muzyka tam była. Oni tam na cesarskim jak mogli to ino grali. I piyknie grali. Tam zawsze była muzyka...

II Powódź

Ale tam czynsto powódź wylywała w tem Zarzeczu. Ale tańcować nie przestali. Tu się wszystkie domy zalywało, a tańcowali. Jak przyszła woda to niyroz cało droga zalywało, aż ku tej karczmie u Jorgi. Jak kiery szeł to musioł bez ta woda przynś. Ta drugo karczma, co kosek dali stoła, ta była sucho. Jak przyszła woda, to nie pomagały nawet woły. Wszystkie zalywało i pola, i tonki. Nojwiyncyj cierpieli ci, co miyszkali w tych, jak oni tota nazywali, koloniach Brandys i Dół. Jak zalywało ludzie wychodzili na strychy. Kieryś wpod na to, żeby zbić do kupy dwa koryta i nimi płynonć. Ludzie radzili se jak mogli. Nawet cmyntorz, tyn na Chołujowej Kympie, musieli nadsuć, bo był za mokry.

Na jedno se też chwołili ogromnie ta powódź, bo mieli urodzaj po tej wodzie. Fajnego glonu naniosło, że dobry urodzaj był potem...

Ale czynsto niszczyło im plony i niyroz głód zaglôndoł im w oczy. Jeszcze mój ojciec

wspôminof jak w 1915-tym w lipcu woda wlaźła do kościoła na Zarzeczu. Zalało im tam całe ottorze, tak że niy mogli odprawać. Po wsi to ino pływali na tratwach, czy też na korytach, kiere sami zrobili. Zalało niy ino centrum wsi, ale nawet Nowy Stow i Rybalec. Trzy lata późni, w odpust, woda podeszła im pod som kościół, tak że straganiorze musieli zwiżać budy. A zbiorów poniszczyło... Tak samo jak świyncilli szkoła w 1924, co pamiyntom za łebka, też rzeka wylała. Nojwiynkszo powódź przyszła jednak po wojnie. I krzywda...

III Przeczucia i przepowiednie

Jeszcze downi starzi ludzie padali, że kiedyś na Zarzeczu bydzie wielko woda. Wszystko bydzie przez nia zalone i zniszczone, a po wsi nie zostanie ani śladu. Niy mogli w to ci zarzeczanio uwierzyć. Jako to wielko woda mo przyś? Sama — padali. Dyc nasza Gołysko Paniynka by nos nie dała. I nie mogli w to uwierzyć. Do czasu. Najprzod były przepowiednie. Potym przeczcucia. Pamiyntom byłzech roz na weselu zaroz jakoś po wojnie. Było też tam poru z Zabrzega i oni już wtedy coś godali. Godali, że bydzie zalyw od Zabrzega po Strumiyń. I wszystko bydzie zalone. Chałpy majom być zburzone, a ludzie wysiedlyni. No, ale zarzeczanio nijak ni mogli w to uwierzyć. Nawet mój rodzony ojciec powontpiywoł. Ponoć już kaś po Zabrzegu łazyły jakiś geometry, ale nikt tego nie był pewiyn. Ludziom nie chciało się to pomieścić w głowach. No jak mogom zalać, jak to idzie rzeka zastawić jakimś wielkim murem i zalać tako wielko wieś. A co zrobiom z tymi murowanymi kościołami. Jakby to ksiondz wiedzieli to zaroz by była msza na Gołyszu przed cudownym obrazem. Nasza Paniynka by nos nie dała... A zresztom kaj by tela ludzi podzioli. Jak tela chałpów wyburzyć... To sie nie do... A zresztom żoden zarzeczanin by się na to nie zgodził, tu jeden drugigo zno i idzie za swoim. Nie dali by się. Przecóż zalać tyn piykny kraj... niy to ni może być. I nie chcieli uwierzyć za-

rzeczanio. Nie chciało im się to pomieścić w głowach. Ale ludzie dali godali i jeszcze gorsze przeczcucia łazyły im po głowie.

IV Zapora

Najprzód przysłali na Zarzecze goroli, kierzy wycionć mieli wszytki las. I rychtyk, nim przyszła zima wyciyni prawie każdo kympa. Miyjscowi brali wiela się dało; znosili pnioki, gałynzie. Ze starych piyknych zarzeckich drzew wiela nie zostało. A i ludzie jakosikej nie przeczuwali, że z nimi bydzie to samo. Na wiosna wysiedlili piyrwszych komorników. Oni poszli do Chybio, Czechowic i Bielska. Potym przyszła kolej na reszta...

Był tam taki jedyn inżynier nazywoł się Ekert. On namowioł ludzi żeby szli i obiecywoł. Ale niyjedyn nie wierzył i uciekoł jak ino słyszol, że tyn panoczek do niego idzie. Jak mnie ni ma to mnie nie wykludzom — myśloł se niyjedyn. Buntowali sie też zarzeczanio i niyjedyn godol, że sie z miyjsca niy ruszy; dyc mnie nie zalejom — myśloł. Nikt nie rozumioł, że som insze czasy i przestali sie już downo z ludźmi liczyć...

A tyn pieron ino obiecywoł. A to traktor, pomoc przy budowie, czy cołkiym nowo chałpa zamiast starej, drewnianej. I uprzejmy był pieruch nadzwyczoj, że sie to ludziom ogromnie podobalo. Niyjedyn poszeł miyszkać na bloki i se chwolił. Dopiyro późni poznali nikierzy, co stracili.

V Prawda i przepowiednie

I tak to synku było. No, ale godajom jeszcze, że ta wielko woda kiero nastala bydzie ino przez dwa pokolynia. Potym wszystko wyschnie. I kiedyś mo jechać starom zarzeckom drogom jakiś rychtyk utrudzony wyndrowiec. Ale nie bydzi mog niom przejechać i wybiere innom, nieuczynszczanom. I trefi na skarb. Za tyn skarb mo on postawić kaplica, tam kaj downi. I mo do ni wrócić w wielki chwale Gołysko Paniynka. I zaś nazot pobudujom domy, zbudujom kościół. Tak powiadajom. No, ale jo już tego nie dożyja, może ty opowiesz to swoim wnukom...

Więś sprawiedliwych

Pierwszym sprawiedliwym był mój pradziad Augustyn Godziek, bogobojny Ślązak, który z narażeniem życia uratował istnienie trzem Żydówkom: Oldze, Magdzie i Lojzice. Nie dożył przyjazdu Olgi w 1981 roku, zmarł półtora roku wcześniej. Ale za to jego córka Jadwiga – moja babka – miała przyjemność spotkać się z Olgą po pół wieku niewidzenia. Kolejnymi sprawiedliwymi byli członkowie rodziny Paszków: Maria i Ludwik oraz ich syn Henryk. Do ich domostwa położonego przy trasie styczniowego przemarszu tysięcy więźniów schroniły się Żydówki. Przetransportowano je potem do zabudowań Godzków, którzy byli poza podejrzeniami, bo August pracował w tzw. Landwasze, czyli miejscowej straży porządkowej. — *Kwaterowali u nas niemieccy żołnierze* — wspomina Jadwiga Lazar (córka Augustyna). — *Pamiętam, że jeden z wojaków wziął kiedyś przez pomyłkę Olgę za naszą siostrę. Bardzo mu się spodobała.*

Odtąd Olga musiała towarzyszyć niemieckim żołnierzom w ich schadzках i pogawędkach. Nie robiła tego chętnie. Pałała głęboką odrazą do hitlerowców, którzy wymordowali jej całą rodzinę. Wspomina o tym w swej książce „Five Chimneys”, którą wydano w USA w 1947 roku. Zaczęła ją spisywać w Brzeżcach koło Pszczyny, w domu moich pradziadków. Babka Jadwiga często opowiada przy rodzinnych spotkaniach, że pamięta lekko sfatygowany zeszyt Olgi, a ją samą pochyloną, wiecznie zamyśloną, nieobecną. — *Nie chciało nam się wierzyć w te wszystkie okropności, o których od niej słyszeliśmy. Jakichś eksperymentach...* — mówi babka Jadwiga, jedna z ostatnich świadków przemarszu więźniów Oświęcimia.

Na długo zanim w obejściu Godzków zagrościły Żydówki, dziadkowi Augustynowi przytrafiło się zdarzenie, które wywróciło jego dotychczasowy światopogląd. Otóż odtąd, jak tysiące innych uczestników wojny światowej, miał on Niemców za porządną i cywilizowany naród. Ale pewnego dnia, kolejnej, drugiej wojny światowej, przerzucono

go - jako członka wiejskiej Landwachy (służby porządkowej) - do pilnowania więźniów z obozu w Oświęcimiu, których użyto do jaskich prac. Dziad Augustyn był wstrząśnięty ich traktowaniem. I, jak głosi rodzinna tradycja, nie chciało mu się pomieścić w głowie, jak tak porządny naród jak Niemcy mogą sponiewierać innych. Dojrząc do takich okropieństw. Jeden z więźniów, z którym udało się porozumieć mojemu antenatowi, prosił go żarliwie o modlitwę w swojej intencji podczas podniesienia. Poruszony pradziad prośbę tę spełnił, a modlił się chyba żarliwie, bo Bóg pozwolił mu jeszcze uratować kolejne istnienia ludzkie.

Na brzeskim cmentarzu

spoczywa 19 więźniów oświęcimskich. W księgach metrykalnych odnotowano ich numery obozowe: A 14525, R 61417, 181919, 117739, U 202225, A 1723, B 12435, 312635, A 4333, A 14222, A 4328, 188892, U 185, E 35926, Kartes Bello Block 29, 37. W większości byli to Żydzi z Czechosłowacji, Węgier, Polski, a także Europy Zachodniej. Jedna z ofiar pochodziła z Białorusi albo Rosji. Numerów dwóch więźniów nie odnotowano w księgach metrykalnych.

Przemarsz był wstrząsającym wydarzeniem dla mieszkańców. Dlatego na skromnej mogile każdego roku palą się znicze. Nie tylko z okazji Dnia Zadusznego.

Paweł Godziek, mieszkaniec Suszca ukrywający się na brzeskiej farze, naoczny świadek tych wydarzeń, napisał: „Nawet uczciwi Niemcy wzdrgali się na widok tego strasznego pochodu śmierci w mroźnych dniach 18 i 19 stycznia 1945 roku”. Półnagich, głodnych i nieraz bosych pędzono jak zwierzęta przy dwudziestostopniowym mrozie. Olga, Magda i Lojzika, które schroniły się u Godzków ubrane były w cienkie paletka. Nic dziwnego, że śmiertelność była wysoka. — *Bratem udział w grzebaniu ofiar ewakuacji* — wspominał miejscowy grabarz Jan Wuzik. — *Było to 21 stycznia 1945 roku.*

W chwili, kiedy zdjęliśmy na cmentarzu z sań pierwszą warstwę ofiar, ujrzałem jak jedna z nich – kobieta w wieku około dwudziestu lat – uniosła się i usiadła na saniach. Miała ranę postrzałową przy jednym z uszu i w usta. Obecny przy grzebaniu esesman dobił ją wystrzałem rewolweru w głowę. Widok ten tak mną wstrząsnął, że płacząc pobiegłem za kościół. Dopiero po upływie kilkunastu minut wróciłem na tyle do równowagi, że przystąpiłem do wykonywania dalszych czynności grzebalnych.

Powstaniec śląski, Władysław Wuzik w pozostawionych po sobie wspomnieniach pisze: „Na trasie Pszczyna – Pawłowice leżało... nie sposób policzyć tych ofiar. Odcinek ten był formalnie ułany trupami. Kilkanaście więźniów uzyskało przy pomocy miejscowej ludności swą wolność. Między innymi Holenderka, która po dziś dzień jest w stałej korespondencji [z rodziną]... I tu spotkaliśmy szeroko w świecie znaną wyrodną kobietę w mundurze oficera SS o włosach białych jak len – Willę Koch, która osobiście strzelała do więźniów na plebanii”.

Świadectwa

A oto urzędowo potwierdzone oświadczenie, jakie złożył jeden z uratowanych przez mieszkańców Brzeźc więźniów oświęcimskich. „Zaświadczam niniejszym własnoręcznym podpisem, że w dniu 19 stycznia 1945 roku podczas zakwaterowania części ewakuacyjnego transportu pieszego więźniów oświęcimskich, w którym to transporcie i ja jako więzień się znajdowałem, ob. Paszek Ludwik zamieszkały w Brzeźcach koło Pszczyny ukrył mnie w kominie w piwnicy swego budynku i w ten sposób uratował mnie od niechybnej śmierci, bowiem byłem kaleką – inwalidą i nie zniósłbym trudów dalszego transportu pieszego. Nadto ob. Paszek w dniu następnym za pośrednictwem syna Józefa powiadomił o ukrywaniu się u niego moją matkę i dopomógł się przedostać do mojej rodziny w Hażlachu w pow. Cieszyn. Kalembice, dnia 12 października 1962 roku, Macura Wilhelm”.

W wydanym przez Towarzystwo Opieki nad Oświęcimiem „Marsz Śmierci. Przewodnik po trasie Oświęcim – Wodzisław Śląski”, Andrzej Strzelecki sporo miejsca poświęcił najmniejszej na trasie przemarszu miejscowości – Brzeżcom. „Miejscowi mieszkańcy zdołali jednak przejąć pod swoją opiekę co najmniej kilkanaście zbiegłych więźniarek i więźniów i ukryć ich. Tak na przykład... Józef Walecki z małżonką [udzielił pomocy] – dwóm więźniarkom Polkom z Warszawy i jednej Rosjance. U Joanny Foks i jej syna Jana oraz przeniesionego do domu Władysława Wuzika (krewnego wymienionego grabarza - przyp. autora) ukrywały się trzy więźniarki i dwóch więźniów, wśród nich Żydówka z Holandii i Rosjanin. Udział w spontanicznym ratowaniu więźniów wzięli też: Jadwiga Jarosz z synem Kazimierzem, Ludwik Majer, Augustyn Nowak, Klara Przybysz oraz rodzina Folków z przysiółka Pazurówice...”

Niemieccy konwojenci zatrzymali się do rana w budynku zwanym przez miejscowych „ciotenhausen”. Mieszkała tam rodzina ukrywającego się kierownika szkoły Jana Przybysza. — *Moja matka, Klara Przybysz, posłała mnie do sąsiadów po chleb i smalec, by przygotować Niemcom posiłek* — wspomina pani Anna. — *Pojedli, popili, zażyczyli sobie śniadania i zgodzili łaskawie, by nakarmić więźniów i przenocować ich w stodole na stojąco. Dzięki temu część z nich wyczerpana marszem przetrwała bezpiecznie mroźną noc.*

W przygotowaniu naprędce czegoś gorącego pomogła gospodyni Hanka Szczepkowa, a także sąsiednia rodzina Lazarów.

Stanisław Wuzik, mieszkaniec Brzeżc: — *Więźniarka Elfrida Gilsbach schowała się w stodole u Kopacza. Tam znaleźli ją Stanisław Dziuros i Bronisław Wuzik, zwany „Szatanem”. Oni przyprowadzili ją do mojej babki Jadwigi Wuzik. Dwie bodaj noce więźniarka spędziła w chlewie. Potem ukryto ją w komórce na strychu przykrywając stertą szmat. Później przyszli Rosjanie, a wtedy niebezpieczeństwo już minęło.*

W naszym domu tzw. Wuzikówce urządzili sztab, a domowników przesiedlono do Foksów. Elfrida Gilsbach wyjechała do Holandii. Mieszkała także w Niemczech, a pod koniec życia zdecydowała osiedlić się w Izraelu. Pamiętam, że co miesiąc przychodziły listy i paczki. Nigdy nie mogła się nadziękować, że uratowano jej życie.

Woźnica marszu śmierci

— *Pierwszego dnia przemarszu część więźniów zanocowała w gospodarstwie moich rodziców — wspomina Jan Foks. — Moja siostra Klara zaniósła im kawę i trochę więskiego chleba w koszu, ale esesmani nie pozwolili go dać. Jeden z nich kopnął ten kosz i chleb się rozsypał. Powiedział, że więźniowie mają go dosyć. Drugi ostrzegawczo strzelił. Dopiero później zgodzili się na podanie więźniom odrobiny ciepłej kawy. O świcie następnego dnia więźniowie po apelu szykowali się do wymarszu. Usłyszałem strzały, które dobiegały od innej kolumny zbliżającej się od strony Poręby. Poszedłem tam zobaczyć, co się dzieje — mówi.*

Przypadkiem na miejscu zdarzenia pojawił się też Burgemeister (wójt wsi) z Brzeżc Jan Wróbel, uczciwy Niemiec, który szedł z domu do urzędu. Kilku kapo biło więźniów kijami. Oburzony Wróbel zapytał, dlaczego ich biją i wyciągnął pistolet, by zmusić kapo do zaprzestania znęcania się nad nimi. Nadszedł esesman, prawdopodobnie „Obergefreiter”, zaciekawiony zajściem. Burgemeister zapytał go, dlaczego więźniowie są tak bici. Usłyszał, że są zbyt słabi, by iść dalej i trzeba ich zastrzelić. I zabił przy nim trzech więźniów.

— *Powiedziałem wówczas, po co do ludzi strzelać, ja ich podwiozę saniami* — wspomina Jan Foks. — *Burgemeister poparł pomysły. Zgodził się też na to, mimo początkowych sprzeciwów, esesman.*

Tak więc Foks ruszył saniami za podążającą w kierunku Wodzisławia kolumną. — *Wiozłem 18 więźniów. Za saniami szedł esesman. Ko-*

to „malowanego mostu” na rzece Pszczynce sanie zaczęły lekko hamować. Na szosie nie było za dużo śniegu – kontynuuje. – Esesman kazał zatrzymać sanie i wyładować kapo część „zwierząt”, bo konie mają za ciężko. Kapo kijami wypędził więźniów z sań. Zostało dziesięciu. Z wypędzonych, sześciu było osłabionych ciągłym znęcaniem się. Nie mieli już siły iść. Kapo zameldował esesmanowi, że nie chcą iść do szeregu. Ten ich zastrzelił. Towarzyszący mu pies ściągnął zwłoki ofiar na pobocze drogi. Pozostali dwaj posileni owsem, które Foks zabrał dla koni, włączyli się do kolumny.

Szli otuleni kocami, w pasiakach, niektórzy w drewniakach, w trzaskającym mrozie. Piątkami w kolumnie. Przed saniami szli w trójkę kapo. Osłabiony marszem więzień zostawał coraz bardziej w tyle. Idący za nim współwięźniowie wchodzili na jego miejsce. Docierał do ostatniej piątki i trzech idących przed saniami kapo. Po pobiciu mógł wejść na sanie, ale ktoś z dziesięciu jadących na saniami musiał uzupełnić ostatnią maszerującą czwórkę do piątki.

W Studzionce ktoś zameldował, że przebywa tu dwóch, trzech więźniów jeszcze z pierwszych kolumn. Komendant towarzyszący kolumnie, w której jechał Foks, wysłał zaraz rozkaz, by ich zastrzelić.

– *Wieczorem koło Jastrzębia nadleciały samoloty i oświetliły całą kolumnę. Było tak widno, że można było igitę znaleźć. Towarzyszący kolumnie esesman dał rozkaz, aby się zatrzymała i stała w porządku na środku drogi. Pilnować tego mieli kapo. Esesmani schronili się między pobliskie drzewa mając jednak cały czas broń wymierzoną w więźniów. Nikt nie mógł się ruszyć, bo zostałby zastrzelony – wspomina. – Zapytałem się, czy ja też mam stać z koniami. Powiedzieli mi, że konie mają stać, a ja się mogę skryć. Schowałem się do pobliskiego rowu. Samoloty parę razy okrążyły kolumnę i odleciały.*

Przemarsz kontynuowano. Do samego Wodzisławia na trasie liczącej około 30 km – od

Brzeźc – nie było już żadnych postojów. Po drodze urządzono jednak „czystkę” i zabito słabszych, niezdolnych do dalszego marszu więźniów.

Jeden z więźniów na trasie nie radził sobie z marszem. Zrezygnowany usiadł na skraju drogi. Podszedł do niego kapo i zachęca, żeby dołączył do reszty. Ten powiedział, że nie da już rady. Zastrzelono go.

– *Zwróciłem się do jednego z esesmanów żeby zostawił w saniami na dłużej jedną z więźniarek. Chodziło o dwudziestoletnią dziewczynę z długimi czarnymi warkoczami – mówi. Tłumaczyłem mu, że przyda się na gospodarstwie. Odesłał mnie do kapo. Kapo zapytał tylko, która to jest, bo na saniami jechało wiele kobiet. Po pewnym czasie podszedł do sań i chwyciwszy ją z tyłu za warkocze zgiął silnie przez oparcie sań i złamał ją na pół. Nie mogła się ruszyć i leżała bezwładnie zwisając na krańcu ściany.*

– *Przed Wodzisławiem jakaś kobieta z dzieckiem na ręku stała przy drodze i pytała, czy idzie piąty blok. Okazało się, że już przeszedł, ale jakiś więzień z tego bloku pozostawał w tyle. Kobieta rozpoznała w nim swojego męża. Towarzyszący tej kolumnie esesman zezwolił na krótką rozmowę małżonków. Przedłużała się, bo moje sanie i towarzyszący im esesman z psem doszli do nich. Zapytał, co się tu dzieje. Kobieta prosiła go, by zostawił jej męża w domu. Esesman zapytał: „chcesz go mieć w domu?” I kiedy kobieta potwierdziła swą prośbę, zastrzelił go na jej oczach – wspomina. Kolumna szła dalej.*

– *Odniosłem wrażenie, że esesmani z przednich kolumn celowo pozwalali na takie spotkania i pozostawianie w tyle słabych więźniów. Wiedzieli, że z tyłu idzie brutalny egzekutor. Nie wiedziałem, że przyjdzie mi się z nim zmierzyć – mówi.*

– *Nad ranem następnego dnia dotarliśmy do Wodzisławia. Jeszcze panowały ciemności. Esesman – egzekutor stałe mi towarzyszący zwrócił się do pozostałych podle-*

głych mu esesmanów i kapo, by przypilnowali kolumny i udali się z więźniami prosto do czekających na stacji spedycyjnych pociągów. On miał się „pożegnać” z tymi, co zostali na saniach — opisuje tamte wypadki. Kolumna się oddaliła. Sanie zostały same z uczestnikami wydarzeń. — Kazał mi zjechać na bok. Potem rozkazał więźniom pojedynczo wychodzić z san. Każdego z nich zabił strzałem w głowę. W końcu zwrócił się do mnie ze słowami: „Teraz się z tobą policzę”. Zorientowałem się, że mnie też chce zastrzelić. Zdecydowałem się skoczyć na niego. Uderzyłem go pięścią w żołądek tak, że się przewrócił. Pies chwycił mnie za rękę — opowiada. Dalsza walka rozegrała się pod saniami i bez świadków. — Zacząłem go dusić. Kiedy osłabł, chwyciłem jego pistolet i obezwładniłem.

Tymczasem prowadzący kolumnę esesmani zorientowali się, że coś jest nie w porządku, bo komendanta zbyt długo nie było. Zaczęli go szukać. — *Wskutek czego zrobił się wielki zamęt, z czego skorzystali więźniowie i uciekli. Było ich ponoć aż 150 — mówi.*

To jednak nie koniec. Foks wrócił saniami z psem, który towarzyszył poległemu egzekutorowi. Nazajutrz przyjechał do Brzeźc trzykółowym motocyklem miejscowy gestapowiec z esesmanem z przedostatniej kolumny. Rozpoznali sanie. Zapytali mnie, czy jechałem

z więźniami. Nie zaprzeczałem. Prosił o zrelacjonowanie zdarzenia. — *Powiedziałem, że esesman, z którym rozmawiałem, uważał, że wojna jest stracona. A ja odpowiedziałem mu, że ma nie wątpić, bo Hitler ma jeszcze nową broń i tę wojnę wygra. Na moje szczęście uwierzyli w moje tłumaczenia i uznali, że popełnił samobójstwo. Nie dokończyli śledztwa — wspomina Foks. Miesiąc później w Brzeźcach byli już Rosjanie. Dopiero w latach 70. Główna Komisja Badań Zbrodni Hitlerowskich w Polsce zainteresowała się woźnicą marszu śmierci. — Trafili kiedyś do mnie przez przypadek. Okazało się, że otrzymywali sporo listów dziękczynnych, w których byli więźniowie pisali, że ocalenie zawdzięczają pewnemu bezrękiemu woźnicy — wspomina.*

Komisja na maszynie do pisania spisała protokół z zeznań, który potem woźnica marszu śmierci jechał podpisać do muzeum w Oświęcimiu. Wzywano go jeszcze parę razy.

„Jak ten czas leci. Mam wszystko jeszcze świeżo w pamięci, mimo że minęło już 40 lat. To ciągle tkwi we mnie. Nadal czuję się, jak młody człowiek, nie mogę zapomnieć Waszego domu i nie mam pojęcia, jak ten czas szybko przeleciał” – pisała w 1984 roku Elfrida Gilsbach, 90-letnia więźniarka, która znalazła schronienie w rodzinnym domu Wuzików. We wsi sprawiedliwych.

Słońce Katalonii

W żeglarskiej knajpie w Lloret de Mar stary Hiszpan podaje carajillo, miejscową kawę z rumem. Upał nieznośny. Niebieskie morze, błękitne niebo nad skalistym wybrzeżem Costa Brava. Woda nie jest lazuruwa. Pełno w niej petów. Tak samo na plaży. Nie przeszkadza to w erotycznych harcach grupie rozkrzyczanej niemieckiej młodzieży. Panom w topless wysypują piasek do majtek przystojni, choć smarkaci blondyni. Kiedy te obmywają swe wdzięki pod publicznym prysznicem, atakują z aparatem fotograficznym. Nieco dalej inni młodzieńcy filmują skrycie kamerą wszystkie napotkane „toplesiki”. Komentarze przeplatane są piwskim.

Wspólnie z Olkiem z Tychów z zażenowaniem obserwujemy te gierki. Inne pokolenie? Wychowanie? Właściwie to nie mamy nic przeciw nagim, kobiecym biustom. Hiszpańskim, katalońskim, niemieckim, włoskim – no i śląskim. Ale nasze dziewczyny zostały zbyt pocziwie wychowane. Nie ustępują. Dopiero po kilku dniach żartobliwej, słownej perswazji wyłamuje się jedna z nich. Argument, że piękne trzeba promować działa. Śląskie panny nie mają gorszych figur niż Hiszpanki. Rozpoznają je uliczni sprzedawcy oferując różne drobiazgi.

Katalonia

to autonomiczna republika Hiszpanii. Katalończycy z dumą mówią o własnej odrębności. Mają własne narodowe tańce, namiastkę rządu. Flotę wojenną. No i oczywiście język kataloński. — *W szkole podstawowej uczylem się katalońskiego, hiszpańskiego i angielskiego* — tłumaczy Amerykance puszysty sprzedawca porcelany. Turystka podziwia wielojęzyczność Katalończyków.

Ale to mił. Z miejscowymi trudno dogadać się po angielsku. Po kilku zwrotach wymiana zdań zaczyna przybierać chaotyczny charakter. Gdyby nie język gestów... Kelner nie reaguje na uwagę, że zbyt długo czekamy na doręczenie rachunku. Uduje, że nas nie rozumie i bierze za Włochów, niespecjalnie tu lubianych. Na ich jazdę psioczy kierowca miej-

skiego autobusu, którym wracamy ze średniowiecznej Tossy. I przeraźliwie trąbi. Na niewiele się to zdaje, nadal stoimy w korku.

Aromaty Andaluzji

W środku miasta natrafiamy na wystawę poświęconą Andaluzji, najbardziej egzotycznemu regionowi Hiszpanii. Bezpłatna. Wielkie plansze pokazują rozprzestrzenianie się islamu na terenie Półwyspu Iberyjskiego, a także kontrowersyjną rekonkwistę, dzięki której narodziła się Hiszpania. Wszystko to opatrzone jest dwujęzycznymi napisami – w językach katalońskim i hiszpańskim. Nie różnią się zbyt mocno od siebie. Inne są poszczególne głoski, akcenty. Prosimy przypadkowych młodzieńców, Pedra i Jose o przeczytanie fragmentów tekstu. Pedro wyklada nam niemal całą historię Katalonii i Aragonii. Pytamy, czym różnią się oba języki? Może kataloński trzeba nazwać nie językiem, a gwara? Nasi rozmówcy oponują i znów przytaczają argumenty historyczne – włącznie z tym, że to królestwu Katalonii podlegała niegdyś Sycylia z częścią Italii. Dlatego Włoch z Katalończykiem (i niemal z każdym Hiszpanem) dogada się bez problemu. Ale Katalończykom nie bez trudu przychodzi zrozumienie Francuzów. Pedro tłumaczy to tym, że włoski, jak i kataloński ma więcej korzeni romańskich niż francuski. Beatris, nasza przewodniczka po Barcelonie, ostrzegała nas, by w ten sposób nie rozmawiać z Katalończykami. Bo w katalońskim sporo jest słów hiszpańskich, włoskich, jak i portugalskich. Ale jest to skodyfikowany, uznany język. Język, nie gwara. Różnicę między językami włoskim a hiszpańskim można sprowadzić do analogii między czeskim a polskim. Zawsze można się zrozumieć i dogadać. Byłem świadkiem rozmowy Hiszpana (Katalończyka), sprzedawcy napoi chłodzących, z Włochem. Rozmawiali o futbolu. A różnice między katalońskim a hiszpańskim są naprawdę nieznaczne. Nawet dla laika. Studenta historii, który wkuwał po nocach łacinę. Nawet mowa śląska wobec katalońskiego może uchodzić za odrębny język. Bo

różni się znacznie od literackiej polszczyzny. Mimo że tak jak kataloński tworzy ją mieszanina różnojęzycznych wyrażań, tworzy przecież jednorodną całość. Dlaczego boimy się słowa język? Bo idzie za nim określenie narodowości? „Gwara” to określenie, które deprecjonuje. „Mowa”, „język” brzmi już lepiej. Czy z takim przypadkiem mamy do czynienia w katalońskim?

Odrębna historia, flaga. Tak jak w przypadku Śląska. Tłumienie ruchów autonomicznych za kadencji generała Franco (do 1975 roku). Podobnie było w naszym regionie za władzy ludowej. Ślązak był tylko od roboty, a najlepiej gdyby w ogóle nie myślał. Dlatego nie dopuszczano ziomeków do rządów. Katalonia odrodziła się w latach 80. i 90. Podobnie było z Górnym Śląskiem. Zaczęliśmy cieszyć się i upajać własną niezależnością. Czy Katalończyk (Górnoślązak) uświadomiony jest groźny? Chyba bardziej otwarty, europejski. Katalonia tak jak Śląsk jest krajem ponadgranicznym. Jej część leży też w południowej Francji. Mieszkańcy chętniej używają w rodzinnych rozmowach katalońskiego niż francuskiego. Ciekawe? Katalończykiem czuje się zatem i Hiszpan, i Francuz. „Jestem Ślązakiem” – twierdzą Polacy, Czesi i Niemcy. Jest też spora grupa, która twierdzi, że są po prostu tutejsi. U siebie.

Lloret

Ponieważ przyjechaliśmy do Lloret de Mar w niedzielę, mimo zmęczenia udajemy się na wieczorną mszę. Hiszpańską mszę. Pierwsze zaskoczenie – zupełny brak ministrantów. Ubogie wyposażenie kościoła. — *No tak — myślimy. — Hiszpanie wszystkie pieniądze łądają w świątynię Gaudiego, Sagrada Família w Barcelonie. Budowa, jak zapewniał nas przewodnik, kosztuje bajońskie kwoty. Ale nikt oficjalnie o tym nie mówi. Bo powstaje dzieło tysiąclecia.*

Podniesienie. Nikt nie klęka. *Pater noster* – „Ojcze nasz”. Przypomina się łacina. Nasi ojcowie nie mieliby problemu z modlitwą w tym kościele, bo za ich czasów liturgię sprawowa-

no w języku łacińskim. „Przekażcie sobie znak pokoju” – tej kwestii akurat się domyślam. I widzę ogromne zdumienie w oczach mojej żony, kiedy ludzie w kościele zaczynają się całować. Rosły Hiszpan stał koło niej... Ale pocałunki pokoju wymieniają między sobą tylko rodziny. Obcym podaje się rękę z życzliwym spojrzeniem i słowem. Komunię rozdzielają poza księdzem dwie starsze kobiety. Dostać. To w mentalności polskiej się nie mieści. Nie klęczą. Organista rzewliwie gra, a druga ręką dyryguje chórkami starsuszków. Seniorzy tylko łopoczą wachlarzami. Poczułem, że prawdziwy rzymski obrządek zachował się tylko jeszcze w Polsce. Niejeden Ślązak przeżyłby kulturowy szok i stwierdził, „co za pogański naród, nawet rzykać się im nie chce”. Bo sprzątać, jak to południowcy, nie umieją. I chyba się już nie nauczą. Żyją tylko z Morza Śródziemnego i turystów. Masz ci los. A my „muszymy rychtyk robić”.

Korrida

Nikt z naszej wycieczki nie wybierał się na to szoł. Kobietom drżały serca na myśl o strasznej rzezi niewinnych byczków, jaka działa się

ponoć na korridzie. Rezydentka z odrazą potraktowała plakat, który wisiał za nią i stwierdziła, że nie przetłumaczy, co na nim stoi. Trudno. Miłość do korridy jest trudna i nieodwzajemniona. Za 21 euro zdobyłem bilet w słonecznej części areny. I zrezygnowawszy z plaży, żony i kolacji pobiegłem zobaczyć starożytne (tradycje sięgają jeszcze Rzymu) widowisko.

„Plaza de Toros, Jose Luis Andres” – brzmiał napis na murze. Próba porozumienia się z obsługą w języku innym niż hiszpański nie zdawała egzaminu. Pół godziny przed osiemnastą otwarto bramy dla publiczności. Najwięcej ludzi zgromadziło się po słonecznej stronie areny. Torreadorzy kazali na siebie jeszcze czekać. Zza murów dobiegały dźwięki orkiestry. Znużeni Włosi zaczęli chórally śpiewy. Obsługa roznosiła napoje. Puszka Cervantesa (dobre piwo meksykańskie), coli albo zmrożonego sprita za dwa euro. Szły jak woda. Znużona publika zaczęła z wolna gwizdać. Orkiestra, która właśnie zajęła miejsca nad głównym wejściem na arenę, zaczęła grać. Po chwili weszli główni aktorzy wido-



wiska: torreador, matadorzy, pikadorzy. Kilku z nich na koniach. Wszyscy wystrojeni. Widownia szalała. Kiedy na arenie pojawił się byk, emocje sięgnęły zenitu. Wypuszczono go z bocznego boksu, nieco skośwanego. Przed oczami miał czerwony płot areny. Najpierw zaczęli się z nim bawić matadorzy. Czerwonymi płachtami atakowali byka z czterech stron areny. I zmykali w pośpiechu w chwili zagrożenia. Po chwili na arenę wkroczył torreador, prowadzący właściwy pojedynek ze zwierzęciem. Na razie mierzył jego siły. Po kilkuminutowych zmaganiach pojawili się obok niego matadorzy z płachtami, by do reszty zmęczyć byka. We właściwym momencie na arenę wskakiwał pikador z ogromnymi pikami, które wbijał w grzbiet zwierzęcia. Musiał atakować byka z przodu, patrząc mu w ślepią. Jeżeli stchóżył, upuścił pikę, został bezlitośnie wygwizdany. Każdą udaną akcją widownia nagradzała brawami. Natomiast byk wariował z bólu. Wiergał i gonił sprawcę swego cierpienia. Pikador nie miał zbyt wiele czasu na ucieczkę. Ratował się gwałtownym susem nad kilkumetrowym ogrodzeniem areny. Inaczej mógł zostać rozplątany przez byka. Asekuracyjne wachlowanie płachtami przed ślepiami stworzenia przez matadorów nie na wiele się zdawało. Teraz do samotnej walki przystąpił ponownie torreador. Triumfował. Byk miał najwyraźniej dość. Dawał się wyprowadzić w pole głupimi sztuczkami. Widownia biła brawo. Na arenę weszli śmiało matadorzy. Ale to było niepotrzebne. Byk miał dość. Bezradnie wodził ślepiami. Język kołkiem stanął mu w gębie. Zamurowało go na moment. Znieruchomiał. Podniósł łeb i przeraźliwie zabuczał. Raz i drugi, przejmującym rykiem szlachtowanego zwierza. Przeciwnika świadomego swego końca. Zadrżał i padł. Natychmiast podbiegł do niego torreador i począł go dobijać ostrzem. Triumfował. Okrążył arenę. Był zwycięzcą. Ciało byka zaprzężono i starą szkapą wywieziono z areny. Tak wyglądało starożytne widowisko.

Tego wieczoru zabito pięć byków. I mimo że zwycięstwo młodego torreadora nie było pewne – kilka razy tratował go byk, raz uniósł w powietrzu, a nawet ranił w głowę – widowisko skończyło się jego triumfem. „Na barana”, niesiony przez obsługę, okrążył arenę. Jeżeli ktoś rzucił nakryciem głowy na arenę, schylał się szybko i odrzucał. Widownia szalała. Poruszeni krwawym spektaklem byli nawet Japończycy, małżeństwo z synem pod parasolem słonecznym. Ale młody torreador obrócił się tyłkiem do naszej części Koloseum. Nie dziękował. Bo ta część publiki była mu nieprzyjazna. Gwizdała i chwaliła byka. Chyba jednak triumf torreadora nie był pełny, gdyż szybko opuścił okolice areny. Nie dał sobie pogratulować. Minał tłum wielbicieli i turystów. Tylko Japończyk zdążył sobie pstryknąć szybką fotkę z bohaterem. Ale czego nie robi się dla przedstawicieli cywilizacji Kraju Kwitnącej Wiśni? Przejechali szmat drogi, by zobaczyć jak szlachtuje się byka w starożytnym pojedynku.

Południowcy szaleli z uciechy. Na korridzie zjawily się całe rodziny z kilkuletnimi pociechami. Zakochani. I nikt nie reagował histerycznie na szlachtowanie byka. Miałem wrażenie, że uczestniczę w piłkarskim meczu. Ale ocuciło mnie pełne wyrzutu spojrzenie żony, której szkoda było nawet wróbelka. Ona, tak jak święty Franciszek, chyba nigdy nie zrozumie tego widowiska. Nawet nie próbowałem tłumaczyć. Kiedy powiedziałem, że padło pięć byków, zaszklily się jej oczka. Ale nie broniła mi udziału w tym misterium. Choć stwierdziła, że jestem już innym człowiekiem. Ach, nasze Ślązaczki...

Być w Hiszpanii i nie być na korridzie, to tak jak być w Rzymie i nie spotkać papieża. By zrozumieć, trzeba poznać. Nie tylko siebie, ale przede wszystkim innych. Spróbować być przez moment Katalończykiem.

Autonomia dumy

Katalończycy są dumni ze swej odrębności. Każdego siódmego dnia miesiąca przed ratuszem w Lloret de Mar urządzone są barwne

pokazy katalońskich tańców. Widowisko, w którym uczestniczą kilkuletnie dzieci, młodzież i dorośli trwa ponad dwie godziny. Turyści klaszczą i otwierają gęby ze zdziwienia. Tancerze naśladują procesję. W jednostajnym, piskliwym tonie tańczy się najbardziej znany taniec Katalonii, sardanes. Dziewczyny w rytm muzyki zaplatają i odplatają wstążki zawieszane na okazałym kiju. Brzdące klaszczą i wywijają szklanymi dzbankami do wina.

Wydawałoby się, że tak zurbanizowana miejscina jak Lloret de Mar dawno już wyrzekła się własnej tożsamości. Tylko hotel na hotelu. Kilkaset gmachów. Jest ich prawie tyle, co w Madrycie. Potomkowie dumnych mieszkańców pracują teraz w usługach hotelarskich i gastronomicznych. Ale jest inaczej. Otyły Katalończyk z magistratu siedzący przy pulpicie nagłaśniającym uśmiecha się widząc zainteresowanie turystów. I sam podryguje w rytm katalońskiej muzyki.

Przeszłość Lloret de Mar jest ukryta w małym niepozornym budynku „Museu Can Carriga” (darmowe zwiedzanie). Wdrapujemy się stromymi schodami willi na kolejne piętra. Najpierw napotykamy na miniaturowe modele statków. Potem oglądamy marynarskie busole, dzienniki wypraw, mapy. Kilka sal zajmują obrazy miejscowych malarzy. Na jednym artysta ukazał procesję polami Lloret de Mar. W innym pomieszczeniu wiszą ogromne fotosy tego przedwojennego miasteczka. Zauważamy niepozorną, cichą rybacką wioskę, z niskimi białymi domkami, która w niczym nie przypomina dzisiejszej rozrywkowej metropolii. Kiedyś to kościół górował nad budynkami, teraz jego wieża ledwo widoczna jest w natłoku kilkupiętrowych hoteli. Dumni rybacy walczący z żywiołem przemienili się w pokornych dawców usług hotelarskich. Dawniej kobiety, tak jak stojąca na nabrzeżu odlana z brązu Donna, czekały aż z połowów wrócą ich mężowie. Dzisiaj nie ma dumnych marynarskich kobiet. Są tylko pokorne sprzątaczkę, które zmieniają hotelową pościel. W 60-tyśięcznym mieście połowę mieszkańców sta-

nowią turyści, którym pokornie służy druga połowa – miejscowi. Czy takiej przyszłości chcieli dla nich ich dziadowie? Zapach mamony potrafi z człowieka wycisnąć wszystkie soki i zmienić duszę. Dawniej Lloret było spokojną rybacką wioską. Taką jak Jastarnia. Przeżywała tragedie, kiedy morze – jak to w dzieliśmy na kilku fotografiach – wdarło się do centrum niszcząc wszystko po drodze. Ale też dostrzeżliśmy, jak bardzo zmieniło się to Lloret. Nie ma już niskich, charakterystycznych domków. Na ich miejscach wyrosły drapieżne hotele, a na obrzeżach całe ich skupiska. Zagospodarowano każde wolne miejsce. I w ten sposób zniknęły malownicze polany, a uczestnicy procesji już nigdy nie będą napawać się ich pięknem. Tak jak było to na kilku zdjęciach.

Zmienili się też ludzie. Dawniej zarabiali na swój chleb ciężko, ale chodzili ubrani godnie. Odświętnie. Cieszyli się sobą. Teraz ubiór nie gra już takiej roli. Miejscowi wdiewają wszystko tak jak turyści – niedbale. Nawet w restauracjach, kawiarniach obsługując klientów wystrojeni byle jak, nawet w zwisających dzinsach, wyrażając przez to szacunek dla siebie i innych. Dziadowie przynajmniej szanowali dzień święty, na który przygotowywali najlepsze szaty. Ich potomkowie zapomnieli, czym jest dla katolika msza. W niedzielę trzeba przede wszystkim pracować, bo inaczej turysta pójdzie do konkurencji. To cena, jaką trzeba płacić za powszechny dobrobyt. Starsze pokolenie pamiętne nauk ojców przychodzi jeszcze do ubogiej, zaniedbanej nieco świątyni (jak na nowobogackie miasto). To też o czymś świadczy. Uboższe pokolenia bardziej dbały o miejsca kultu. Młodzi ulegli szalowi biznesu, którego boom rozpoczął się w latach 80. Pięć lat wcześniej zmarł dyktator (gen. Franco) i Hiszpania wreszcie otworzyła się na świat. Zaczęli przyjeżdżać turyści, najwięcej Niemcy. Dzięki ich pieniądзом wybudowano hotele (najpierw niemal na dziko), potem drogi i autostrady. Hiszpanie poczuli się jak w Europie. Przed nami podobna droga. A malowni-

czej nadmorskiej Jastami grozi podobny bóm jak Lloret.

Opuszczając to niezwykle muzeum, zwiedzający przechodzą przez mieszkalne wnętrza. Zupełnie jakby właściciele gdzieś wyszli. Wysokie, secesyjne pokoje. Stylowe meble. Jasne kolory. Za oknami rozniewane morza. Z balkonu widzimy centrum Lloret, naprzeciw ratusz. W tej willi przyjemnie mieszkać. Ogromne portrety właścicieli wywołują respekt. Robi wrażenie nowoczesne wyposażenie łazienki. Niby z początku wieku, a wanna, umywalka z kurkami. Zmysłowy sedes. Niczego sobie. Widać, że nie mieszkał tu byle kto. Sypialnie, pokój gościnny. Przestronne wnętrza pełne są światła. Sprawiają, że człowiek czuje się tu przyjemnie. Nie jest tak „przytłoczony”. Psychika odpoczywa, a nie wariuje. Nasi architekci męczą przestrzeń. Tu jest inaczej. Nie ma mowy o żadnej klaustrofobii.

Genialny Antonio

Zginął przypadkiem pod tramwajem w centrum Barcelony, ale miał szczęście. Bo dzieło jego życia – kościół Sagrada Familia (Święta Rodzina) – stał się wyzwaniem Katalonii. Buduje go już trzecie pokolenie budowniczych. Dzieło zostanie ukończone za 20 lat. Wtedy stanie najwyższa z 18 wież kościoła, Wieża Chrystusa. Sagrada będzie największą chrześcijańską świątynią. Już teraz jest symbolem Barcelony. Jej ojcem jest on, Antonio Gaudi, najgenialniejszy z architektów Katalonii i świata. Trzydzieści kilka dzieł stało się natchnieniem dla wielu turystów, budowniczych, artystów. Przed każdym z budynków, Parkiem Guell jest zawsze tłum. A on zdawał się kpić z wszelkich reguł i wznosił budowle wedle własnej krzywej. Nawet kamienie w jego rękach są plastyczne. Grób wielkiego architekta znajduje się w Sagradzie.

Atmosferę Barcelony poznajemy dopiero wokół starej katedry. Przez słynną arterię

La Rambla, na której stoją handlarze, kwiatarki i przebierańcy dosłownie przebiegamy. Jose, nasz przewodnik zatrzymuje się na moment przy Chaplinie. Zna go bardzo dobrze. To stary znajomy Włoch, którego zimą spotkać można na Korsyce w tym samym przebraniu. Wędruje już tak od ponad dwudziestu lat. — *Wierzyć się nie chce, że ten czas tak szybko biegnie* — wzdycha Jose.

Koło starej katedry czas jakby zwolnił tempo. Gitarzyści wykonują flamenco. Grupa turystów podziwia wirtuozerię kobiety i mężczyzny w kapeluszu. Klaszczą. Nieco dalej kilku muzyków próbuje zainteresować przechodniów jazzem, ale ten klimat nie zyskuje sympatii. Tłum mija ich obojętnie.

Wieczorem na placu Katalonii, tłumy podziwiają taniec fontann. Strumienie wody podświetlane kolorowymi światłami wyrzucane są na odległość pięćdziesięciu metrów w górę. W rytm muzyki. Wiedeńskiej, rockowej, klasycznej. Półgodzinne harce zapierają dech w piersiach. Tańcząca fontanna nie ma sobie równej w Europie.

Znowu w Lloret

Przyjemności szybko się kończą. W żeglarskiej knajpie z widokiem na morze stary Hiszpan opieszale podaje nam carajillo, miejscowy specjał. Patrzymy na plażę pełną nagich, kobiecych biustów. I klniemy na czym świat stoi, bo obsługa znowu nie fatyguje się z rachunkiem. Czekamy cierpliwie kilkanaście minut na kelnera. Wreszcie... Pytam, dlaczego się spóźnia. Uduje, że nie rozumie i bierze nas za Włochów. Ale refleksu starcza mu na tyle, by wziąć propinatę, napiwek. To taki śródziemnomorski obyczaj. Mile widziany. — *Masz dobre serce* — kwituje sytuację mało mówny zwykle Olek.

Wychodzimy na plażę, by zobaczyć jak praży słońce Katalonii.

Listy do dalekiego kraju

Drogi Grzegorzu. Przepraszam, że nie zdążyłam złożyć Ci życzeń świątecznych. Dostałam w międzyczasie Twój długi list i kartkę z życzeniami. W „Orędowniku Kulturalnym” masz aż trzy artykuły. Dobrze mieć historię kościoła w Brzeźcach na papierze – parę faktów i anegdot już słyszałam od Ciebie. Ja bym temu artykułowi nie dała tytułu „Pieśń o moim kościele”, bo zaczyna się wprawdzie jak pieśń, ale szybko zmienia się w historyczny artykuł. „Pieśń o Zarzeczu” już lepiej pasuje do Twojego drugiego artykułu, bardzo udanego. W tej cesarskiej katedrze w Berlinie nigdy nie byłam, niestety. Słyszałam, że robi duże wrażenie. Mojemu tacie zresztą nie podobają się katedry w Berlinie, bo mówi, że kościół ma być dla Boga i ludu, a nie dla chwały pruskich cesarów. Chyba ma rację... Przeczytałam opowieść Bugumila Hrabala o knajpach (czeskich). Pasuje lepiej do knajpy w Brzeźcach niż do Singerki w Krakowie.

Ile godzin liczy u Ciebie dzień? Uczysz się na egzaminy, jesteś prezesem koła historycznego, prowadzisz badania w Starej Wsi i w różnych archiwach, podróżujesz na wykłady do Katowic. Pisziesz artykuły w różnych gazetach i jeszcze masz czas na wycieczkę w Tatry.

Jeszcze nie wiem, czy w tym roku pojawię się w Polsce z Rodzicami. W maju odwiedzę ich i spróbuję przekonać.

Pocztówka. Podróż do Torunia odbyła się pomyślnie. Pociąg się co prawda spóźnił. Jeszcze raz dziękuję Twojej Rodzinie, że mogłam u Was mieszkać, i że mi tyle pokazałeś.

I enjoyed my stay in Poland very much. I felt quite at home in „Sztolerstrasse”, thanks to you and your family. Moi rodzice wyjechali na wakacje do Szwajcarii, a babcia na miesiąc trafiła do domu starców.

Kilka lat wcześniej, po angielsku. To wspomniałam, że rozpoczęłaś studia historyczne. Jakie masz przedmioty? Przy okazji – nie

potrzebujesz książki Daviesa „Boże Igrzysko”? Mam dublet...

Nie mam zbyt wiele o sobie do powiedzenia. Miesiąc temu napisałam wspólnie z kolegą z Norwegii pracę z matematyki. Ale jego żona dostała załamania nerwowego i musiał wyjechać. Zostałam w Berlinie sama na tydzień. Musimy skończyć tę pracę. Wybieram się do Norwegii na dwa miesiące na długie wakacje, no i by skończyć kilka zaległych zleceń informatycznych. Dwa tygodnie temu odwiedził mnie mój brat Wolfgang, który tak jak ja nie jest zbyt rozmowny. Dowiedziałam się tylko, że skończył służbę wojskową. Więcej wiem o mojej siostrze Ingrid, która ma czwórkę wspaniałych dzieci i... mnóstwo pracy.

Drogi Grzegorzu, ucieszyłam się z Twojego długiego listu. Niestety, długo nie odpowiadałam, bo byłam zajęta i teraz jest już za późno. W całym Europejskim Spotkaniu Młodzieży w Monachium nie uczestniczę, ale mogę przyjechać na jeden dzień, powiedzmy 30 grudnia. Zaprosiła mnie przyjaciółka z Augsburgu, a to blisko Monachium.

U mnie wszystko w porządku. Starła się o stanowisko w tym samym Instytucie, w którym tyle razy bywałam w Norwegii. Jeśli wszystko pójdzie pomyślnie we wrześniu przyszłego roku przeniosę się do Norwegii. Moja siostra Ingrid urodziła czwarte dziecko: Paulę. W sobotę wszystkie siostry i bracia byli u niej, by zrobić zdjęcie. Będzie to prezent dla naszych Rodziców i Babci. W niedzielę świętowaliśmy jej urodziny, które właściwie przypadają 8 grudnia. Ona jest wyjątkowo zdrowa jak na jej 89 lat. Gdyby tylko umiała chodzić. Teraz już tylko siedzi w domu i nie umie wychodzić...

Nie wywołałam wszystkich zdjęć, ale tylko te z drewnianymi kościółkami, rodziną. Mam zamiar przysłać kilka z nich Twojemu dziadkowi. Dziękuję za Twoje fotografie. Te-

raz mam znów krótsze włosy. Obrzydły mi te długie.

Nie uczestniczę w Spotkaniu Młodzieży we Wrocławiu. Zamiast tego przyjadę na tydzień do moich Rodziców do Würzburga, bo nie widzieli mnie od dłuższego czasu. Jeśli napiszesz mi w odpowiednim czasie, kiedy przyjedziesz z kołem historycznym do Frankfurtu, to mogę przedłużyć wizytę w Würzburgu. Zobaczymy. Ale to nie ma sensu tylko dlatego wybierać się do Frankfurtu, żeby się ze mną spotkać.

Rune nie ma ochoty jechać ze mną do Polski. Pytałam go parę razy. Trudno. Ten człowiek w ogóle nie lubi podróżować. Ale ja chętnie Was jeszcze raz odwiedzę...

Co to znaczy „być na swoim”? Wynajmuję tu duże mieszkanie, samodzielnie pracuję, tylko nie wiadomo czy wyjdę za mąż. Rune do tego nie jest gotowy. Trochę dziwna sytuacja między nami. Co chciałam powiedzieć: Twoi rodzice nie muszą czekać aż będę „na swoim”, by przyjechać do Norwegii. Jedyny problem to, że nie mam samochodu. I jeszcze jedno pytanie: co to jest „uniwerek”? Uniwersytet?

Strasznie dużo podróżuję na konferencje i do Norwegii. Wolę już zostać w jednym miejscu. W Norwegii mogę prowadzić spokojne życie. Mam miłych kolegów i w parafii mam dobrych znajomych. Przyroda jest piękna – zwłaszcza teraz była prawdziwa zima z prawdziwym śniegiem. Szkoda tylko, że nie umiem jeździć na nartach.

W mojej rodzinie nic nowego. Moja babcia teraz już cały czas siedzi w fotelu z kółkami. W następny weekend dyżur przy niej pełni moja siostra Wiltrud, a moi rodzice odwiedzą mnie w Berlinie. Chcą też odwiedzić wystawę i wieloletnią przyjaciółkę mamy. Tak, to jest skomplikowane wyjechać, jeśli masz dzieci i starych ludzi w domu.

Tu w lokalnej gazecie nikt nie pisze o dawnym Lillestrom. Podobno ma tylko dwieście lat, a jednak byłoby to ciekawe. Lille-

strom to 10-tysięczne osiedle, które nawet nie jest miastem. Tu nawet nie ma kina. Ludzie tu mieszkają, kupują, ale do pracy dojeżdżają do Oslo, stolicy Norwegii. To tylko 25 kilometrów zakorkowanymi szosami.

Nie musisz się niepokoić. Ze mną wszystko w porządku. Miałam tyle do roboty, że napisałam bardzo niewiele listów. Otrzymałam Twój list z Częstochowy i ten który pisałeś za dziadków, i ten wysłany w sierpniu.

Do Paryża nie mam czasu jechać. Mam pilną pracę w styczniu, więc spędzam tylko Boże Narodzenie u rodziców i pojadę z powrotem do Norwegii. Ale z Twojego zaproszenia do Pszczyny chętnie skorzystam. Kiedy masz wolne?

Cieszę się, że mieszkasz teraz w akademiku. Czy masz więcej czasu na studiowanie? Opowiadałeś mi w Monachium, że u was studenci lubią chodzić na imprezy...

Podziwiam cię, że możesz iść 40 km do Częstochowy, potem nie spać przez całą noc (bo jesteś na czuwaniu). Byłam tylko raz na pieszej pielgrzymce do jednej wioski i pewnego kościoła. Pogoda była straszna, szliśmy 40 km do tego miejsca, a potem była spowiedź i msza święta. W następny – 40 km z powrotem. Ale w połowie drogi tak mi spuchły nogi, że musiałam wsiąść do samochodu. Myślę, że nie ważne jest, ile się chodziło, lecz ile się modliło.

Przez święta byłam w Würzburgu i Augsburgu. Cała rodzina była obecna prócz Ingrid i jej dzieci z mężem. Wiltrud ma teraz dobre stanowisko jako asystent kościelny w Dettingen na granicy Hestii i Bawarii. Organizuje duszpasterstwo chorych w pobliskim szpitalu i pomaga w parafii. Do tego jeszcze uczy religii w szkole. Wolfgang studiuje teraz informatykę w Würzburgu, a Bernhard marzy o studiach ekonomicznych, choć ma jeszcze kilka lat szkoły przed sobą.

Napisz mi o spotkaniu w Paryżu. Niemiecka telewizja poświęciła nawet trzy minuty

spotkaniu. Patrzyłam uważnie, ale ciebie nie widziałam.

Dobrze rozumiem twoje polskie listy. Nie musisz mi nic tłumaczyć, może tylko „gwara”, jeśli się pojawia. W lipcu i sierpniu nie mam jeszcze żadnych terminów, więc mogę sobie zarezerwować parę dni w lipcu na odwiedziny w Polsce, powiedzmy gdzieś tam między 9 a 17 (w lipcu wszyscy Norwegowie mają wakacje).

List w języku angielskim. Tydzień temu odwiedziłam moich rodziców i znalazłam paczkę z książkami od Ciebie. Dziękuję bardzo! Teraz mam kompletną Trylogię Sienkiewicza. Poświęcę trochę czasu, by ją przeczytać w całości. Podszkolę trochę mój polski.

Widzę, z listu, który do mnie napisałeś, że Monachium wywarło na ciebie ogromne wrażenie. Zwiedziłeś najlepsze muzea. No i opis przygody w znanej piwiarni „Hofbräuhaus” był naprawdę przeżabawny. Bawarskie rodziny lubią takie miejsca, zwłaszcza podczas piwnych festiwali i kiermaszy.

Drogi Grzegorz akurat spędziłam tydzień w Wiedniu z moim nowym przyjacielem Tomem. Jego koledzy po fachu przyjęli nas gościnnie, pokazali najciekawsze muzea, potrawy, wina, kina. Było jak w raju. Tylko pogoda trochę deszczowa. Może słyszałeś, że w Wiedniu jest kościół Sobieskiego? Przez przypadek tam trafiliśmy podczas spaceru po lesie.

Chyba ciężko pracujesz na studiach, a wolny czas spędzasz z Ulą. U mnie prawie to samo. Mam narzeczonego Toma Artura, nie wiem, czy Ci już o nim pisałam? (Tak rzadko piszę, że jest mi przykro). Był kiedyś moim kolegą z pracy, ale zaprzyjaźniliśmy się dopiero, kiedy półtora roku temu zmienił miejsce pracy. Teraz spędzimy wspólnie Boże Narodzenie, a potem odwiedzimy jego rodziców. W październiku byliśmy już w Würzburgu. Chyba będzie nam dobrze razem...

Kiedy ty będziesz gościć w Norwegii? Kupiłam już sobie stary samochód. Miejsca też jest dosyć.

Święta spędzam jak zawsze u moich rodziców. Ale tym razem babcia leży w szpitalu i będzie tam do stycznia. Ale to chyba mama Ci napisała...

12 lutego 1996. Prawdopodobnie już wiesz, że moja babcia Hedwig umarła 19 stycznia. Miała 91 lat. Mama zawiadomiła już twojego dziadka. Nie było to dla nas zaskoczeniem, bo ona naprawdę była bardzo słaba ostatnio, kiedy już leżała w szpitalu. Pojechałam na pogrzeb do Frankfurtu. Była tam cała rodzina, nawet prawnukowie tzn. dzieci Ingrid. Jeden wuj jechał całą noc z Lipska. Pojawiły się też stare przyjaciółki z Frankfurtu, choć tam już przez pięć lat nie mieszkała.

Załączam drzewo genealogiczne, o które kiedyś pytałeś. Wydaje mi się, że siostra Marii Krzystek (albo Krzistek) musi być matką Twojego Dziadka. Ale pewna nie jestem.

Droga Mechthild. Dziadek Johann ogromną estymą darzył nieżyjącą już kuzynkę, Hedwig. Często opowiadał mi o swojej ulubionej ciotce Marii Krzystek, która wyjechała z Wisty w latach trzydziestych, w czasie wielkiego kryzysu. Wraz z pewną bogatą rodziną, u której pracowała jako służąca, znalazła się w Niemczech. Tam po pewnym czasie poznała inżyniera Nickla z Niemiec, który się z nią ożenił.

Dziadek Johann marzył, że kiedyś się spotka z Hedwig. Ale życie bywa przekorne. Minęło kilkadziesiąt lat i nie zjawił się nawet na pogrzebie kuzynki. Zresztą nie byłby w stanie tam zająchać z uwagi na swój podeszły wiek. Dziadek Johann ma już ponad 80 lat i czasem nie wie już z kim rozmawia. Cieszę się, że przez te kilkadziesiąt lat przetrwał między naszymi rodzinami korespondencyjny kontakt. Wspieraliście nas w trudnych czasach. Odwzajemnialiśmy się dobrym słowem, pamięcią, listami i kart-

kami świątecznymi. Tylko ty mówisz po polsku, ale nie przeszkadzało to nam. Rozumieliśmy się. Listy pisali nasi dziadkowie, ojcowie, a teraz my, droga Mechthild, kontynuujemy tę znajomość. Jesteś Ślāzaczką po kądzieli i nasze strony, w których kilkakrotnie gościłaś, są Ci naprawdę bliskie.

Pozdrawiam, Grzegorz.

Spędzam święta w Norwegii, bo jestem odpowiedzialna za muzykę przy tych wszystkich specjalnych wielkanocnych mszach świątecznych. Napisałeś, że pracujesz w gazecie? Jak ci się podoba? Spotkałam tu starego dziennikarza naszej lokalnej gazety. Jest na emeryturze, a jeszcze pisze, kiedy i co chce. Zrobił ze mną wywiad – jak mi się podoba w Lillestrøm, i jako pracownik telekomunikacji, co już zwiedziłam w okolicy. Zdaje się, że siedział w zarządzie wszystkich skansenów, które zwiedziłam. Chyba kocha dziennikarstwo, że się jeszcze tym zajmuje. Kolega zeskanował cały artykuł i włożył go na stronę internetową. Przekręceno w nim tylko moje nazwisko na „Store”.

Inną nowiną, którą chciałam się podzielić jest to, że w sierpniu wyjdę za mąż za Toma Artura Oppera. Wtedy wychodzę na „swoje” i możecie mnie odwiedzić.

Jak się masz? Jeździsz już na uniwersytet? Mój tata w tym semestrze ma wolne od wykładów, ale został zaproszony na cztery miesiące na jakiś japoński uniwersytet, żeby tam robić jakieś badania. Moi rodzice wyjadą do Japonii na początku października, a wrócą w styczniu. Zanim wyjadą, jeszcze ich odwiedzę.

Kiedy Twój dziadek ma urodziny? 6 czy 29 września? Te daty zapamiętałam z naszych rozmów.

Często wspominam różne sceny z mojego pobytu u Was – te miasteczka, kościołki, wieczorne gawędy. Bardzo dziękuję Twojej Rodzinie i Tobie, że mnie gościliście i że mi tyle pokazałeś. Może nie pamiętam wszyst-

kiego, co mi opowiadałeś. Ale trudno, nie jestem przecież historykiem.

Znalazłam też książkę Uspieńskiego o ikonach w Toruniu, ale jeszcze nie zdążyłam jej przeczytać. Teraz właśnie przeglądam książki kupione w księgarni „Znak” w Krakowie. Ta o buddyzmie jest bardzo ciekawa, choć trochę specjalistyczna, jakby dla teologów.

Zrobiłam o wiele więcej przezroczy z wakacji spędzonych na Śląsku. Zdziwiłam się, że tak dobrze wypadły stare obrazy i rzeźby. Przecież w kościołkach było dość mroczno, a flesz mojego aparatu nie jest zbyt mocny.

Przez święta byłam u rodziców Würzburgu. Na szczęście nie zostawili mnie samej w kuchni, ale wspólnie przygotowaliśmy wigilijną kolację. Tydzień temu moi rodzice wrócili ze swojej długiej podróży. Rozmawialiśmy przez telefon. Ostatnim przystankiem podróży był Singapur, gdzie spędzili pięć dni. Jest tam ciepło (ale nie gorąco) i bardzo schludnie. Nie dziwię się, bo władze miast nałożyły wysokie kary na każdego, kto wyrzuca śmieci na ulicę. Mam zamiar odwiedzić ich jeszcze na przełomie lutego i marca, by więcej usłyszeć o ich przygodach. Może nakłonię ich też do odwiedzenia Śląska.

To była ważna nowina, że Twoja babka otrzymała w imieniu nieżyjącego już ojca medal Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata. Napisałam do niej. To dobrze, że nie zapomina się o tym, że ktoś komuś pomagał. Mam nadzieję, że nigdy już nie powrócą czasy pełne nienawiści.

Z książek, które mi przysłałeś czytam teraz „Ogniem i mieczem”. Jak to możliwe, że polscy ojcowie czytali ją przed snem swoim dzieciom? Jedyną rzeczą, której nie lubię, a tutaj jest tego pełno, to krwawe opisy wojen, bitew. Być może było to potrzebne w czasach, kiedy nie było jeszcze telewizji.

Masz tydzień pełen zajęć. U mnie jest podobnie. Od poniedziałku do piątku pracuję – w poniedziałki i wtorki trochę więcej. W czwartek prowadzę chór kościelny (tzn. trzy kobiety). W sobotę robię większe zakupy i pracuję w domu, a niedzielę chodzę na msze św. i potem czasami do Runego. Mam też parę innych zajęć: śpiewam w chorze jazzowym, który się nieregularnie spotyka, dyskutuję w Internecie, odwiedzam przyjaciół. Prawie nie mam czasu pisać listów (pisanie listów od dzieciństwa uważałam za ciężką robotę). Poza pracą mam jeszcze tylko jeden „oficjalny obowiązek” – przygotowuję mszę świętą od strony muzycznej. To ciekawe, brakuje mi tylko materiałów (tj. katolickich śpiewników w języku norweskim, możliwie dla chóru kobiecego – już widzisz trudność).

Dużo działo się w tym roku i dzieć się będzie w następnym. Bo w maju spodziewam się dziecka. Wtedy dopiero będzie zmiana. Już się cieszymy.

Moja siostra Wiltrud wyszła za mąż za swojego długoletniego przyjaciela Gerharda, 6 listopada. Kościół w Detlingen był pełny, bo cała parafia знаła Wiltrud jako katechetkę. Potem była duża impreza z 150 gośćmi w salce parafialnej. Wydaje mi się, że połowa parafii pomagała w organizacji.

Zresztą, jak to jest w Polsce – czy to czasami w kościele gra zespół muzyczny z mikrofonami, elektrycznymi gitarami, troszkę nowoczesne religijne pieśni? Tom Artur prawie był zszokowany, że na ślubie grano nowoczesne pieśni... Chyba przespał zmiany w luteranśkim kościele.

Pamiętasz, że napisałam, że Tom Artur spróbował reperować stare radio dla mojej parafianki Jadwigi, która chciałaby słuchać Radia Maryja? No, nie udało się z tym radiem, tylko z następnym (Tom ma cały magazyn starych odbiorników radiowych). Ale teraz Jadwiga dostała udaru mózgu. Musieliśmy trochę poczekać aż

Połną do nieba

jej sytuacja się ułoży. Wydaje mi się, że teraz naprawdę przydałoby się jej Radio Maryja. Jest tam dużo dobrego dla starszych ludzi.

Drogi Grzegorzu,

6 lipca urodził się nam syn Christian. On ma się dobrze i ja też. Maria też go lubi, głaszcze, tylko czasami się na niego wścieka. Bardzo się cieszymy, choć teraz jest jeszcze więcej roboty w domu. Mam urlop macierzyński przez cały rok, potem zobaczymy, co zrobię. Pracodawca (norweska telekomunikacja – Telenor) jest dobry, ale dojazd do pracy zajmuje mi półtorej godziny. Chyba też tak długo dojeżdżasz do Katowic?

Czy groźba zwolnień u Ciebie już minęła? W „Tygodniku Powszechnym” czytałam, że dużo ludzi nie ma pracy. Mam nadzieję, że się wam zawsze powodzi! Czy masz jeszcze egzemplarz Twojej książki o dziadkach ze strony ojca i możesz mi go przysłać?

Moi Rodzice spędzali w lipcu trzy tygodnie w Norwegii. Dwa u nas, i jeden na podróż po kraju. Wszystko z nimi dobrze. Tata jest teraz emerytem. Czasami jeszcze uczestniczy w konferencjach matematycznych.

Na początku września wybieram się do Niemiec na ślub mojego brata Wolfganga z Christiną. Cieszę się, że zobaczę moją siostrę Wiltrud z dwoma malcami w prawie tym samym wieku, co moje (Eva jest tylko tydzień młodsza od Marii, a Judith ma 10 miesięcy). Szkoda, że tak daleko od siebie mieszkamy.

Nie wiem, kiedy pojadę znowu do Polski. Czytam „Tygodnik Powszechny”, żeby nie zapomnieć języka polskiego. Tu prawie z nikim nie mogę porozmawiać. Pozdrawiam Cię serdecznie, Twoja Mechthild.

Nad pełną dróżką, przy której mieszkali Berta i Ludwik rozciąga się niebo. Zawsze wydawało mi się, że Polna sięga nieba. Ilekroć nią ktoś przejeżdżał, błękit przenikał się ze wzbijającym się w przestworza piachem i kurzem. I tak jest do dzisiaj. Nic się nie zmieniło... Tylko w niewielkich, zgarbionych zabudowaniach jest o wiele ciszej. Nie ma już tego gwaru, co kiedyś. Gdy jedenaścioro z nas po kolei ruszało w świat. Opuszczano ojcowski dom Berty i Ludwika. Pochylone ściany wiele mogłyby opowiedzieć. Ludzie jednak milczą, a pamiątek przeszłości nie zostało zbyt wiele.

Ojciec

Jadzia: *Jak przez mgłę pamiątkom wielko paradno izba z porożami w gajówce na Grabowni. Tata miał tam kancelaria. Był tam wielki kredens. Ale nam nie wolno było niczego dotykać. Tuż za budą Rolfa stała lipa, na której żyły oswojone przez nas wieiórki. Tata miał konia, którym jeździł do nadleśnictwa w Wielopolu. Zwierzę było bardzo mądre, skoro nieraz samo przywoziło woźnicę do domu. A przed rodzinnym domem w Studzionce na Polnej rosły – zawsze odkąd pamiętam – dorodne krzewy róż.*

Fridek: *Ojciec w czasie wojny pracował w warsztacie elektrycznym w Kietrze koło Opolu. Nie było go całymi tygodniami. Brał ze sobą jedzenie i ubrania. Dojeżdżał na rowerze do stacji kolejowej w Pawłowicach. Mioteł tyn rower przywieźć nazot. A on pociągiem jechał do Rybnika, na Opole i do Kietrza. Pamiątkom, jak ojciec opowiadał, że się w ćwikli chowali jak były niemiecki naloty. Uciekali z tych zakładów. Ojciec po wojnie miał mundur leśniczego. Szli go z amerykańskich śpiworów. Pamiątkom, że były zielone. Miał też czopka degolówka, wojskowo trocha wąsko, bez daszku. Ludwik był w Czechach na Zaozliu jak tam kaś się tłukli przed wojną w 1939 roku. Wiym z opowiadanie, że w nocy mamie uciek z domu i polecioł się*

bić. Ale czy się bili sztachetami czy strzyłali, kto oberwoł - nie pamiątkom. Mama miała do niego wielkie pretensje. Ludwik pochodził ze Strumienia, który należał do powiatu cieszyńskiego. Widać, że bardzo dotykały go te polityczne sprawy. Ojciec był w czynnej służbie wojskowej w Baranowiczach na Ukrainie. Często o tym opowiadał. Nie było żadnej wojny, szarpaczki. Przebywał tam w koszarach. Nauczył się tam ukraińskich piosenek, które później chętnie śpiewał. A tak w ogóle to Ludwik lubił muzyka. Przed wojną za kawalera groł w Strumiyniu w orkiestrze na trąbce i bębnie. Za „starej Polski” ćwiczył w Studzionce strzelców z towarzystwa gimnastycznego „Sokół”. Był też wielkim aktywistom miejscowej straży pożarnej. Musztrował synków gospodarzy na boisku przy starej straży. On ćwiczył tych pamponi. Pamiętam zdjęcie Ludwika na cyklomobilu wykonane na rynku w Strumieniu. Było też inne. Ludwik grał na olbrzymim bębnie na jakimś pogrzebie. Musiało łać, bo orkiestra szła pod parasolami.

Leon: *Prowadzenie domu ojciec pozostawił matce. Dla niego liczyła się tylko straż pożarna i jeszcze kilka innych rzeczy. Organizował zabawy strażackie, festyny. Bez Sztolera nie obyła się żadna impreza. Sztołler był nawet komendantem straży, tuż przed i trochę po ostatniej wojnie.*

Fridek: *Ludwik robił przed wojną w majątku księcia pszczyńskiego w Studzionce. Pilnował ambon i lasu. Było wtedy ogromne bezrobocie. Ojciec był rod, że miał robotę. Ale, że pensja miał niewielko, strzył z flinty do dziczyzny. Miał blisko do roboty. Nie musioł nikaj jeździć. Wyszedł za chałpa do lasu i już był w robocie. W 1939 roku Ludwik czekał na przydział i podwyżka. Miał dostać poprawę ze 140 zł na 180 zł. Nie doczekoł się, bo wybuchła wojna. Potem robił u Kolarczyka za elektrykorza. Po wielkich chałpach robili instalacje pod elektryczność. Następnie w fabryce w Kietrze. Poza tym, jak dawniej, groł po wese-*

lach. Ponieważ ojciec lubił strzylać i nosić broń, a nie dostał na nią po wojnie pozwolenia, zapisał się do ORMO. Był stróżem przemysłowym w zakładzie pracy. Przed wypłatami szedł do roboty i całą noc pilnował pieniędzy na wypłaty dla pracowników. Pieniądze przywozili na poniedziałkowe wypłaty, stary Sztoler już z soboty na niedzielę paczkował pieniądze na wypłaty. Tak se dorobił do rynty wachtowaniem kasy.

Kryśia: Życie nauczyło Ludwika zaradności, dzięki której był ceniony. Był we wsi pionierem elektryczności. Ojciec wykonywał wiele usług dla kościoła. Malował. Podłączał elektryczność i oświetlenie obrazów i lamp. Był typowym samoukiem. Dzięki temu w naszym domu często bywał proboszcz Strzebnik, który był przyjacielem rodziny.

Fridek: Ludwik znany był szeroko i daleko jako organizator zabaw i balów. Znajomi i krewni prosili go za starostę weselnego, ponieważ znał wiele piosenek. Sztoler w młodych latach przewodził orkiestrze, w której grywali jego koledzy. Grywał na bębnie, w późniejszych czasach zabierał go z sobą na weselne imprezy, aby wspólnie z nimi pomuzykować. Bęben był wielki, tkwił na nim napis „Cześć muzyce” – co widać zresztą na jednym ze zdjęć. Berta wspominała, że Ludwika proszono jako starostę na wesele kilkadziesiąt razy.

Matka

Antek: Matka utrzymywała dom, starała się, byśmy mieli włożyć co do gęby. Nawet jeżeli czasem żartowała, „chycić się za rzyć tam mosz miyso”, nie dawała nam zginać z głodu. Kiedy ojciec przepił chałupę przez kilka lat spłacała po wsi długi. Dbała o nasze wychowanie. Chodziła do kościoła. Kiedy dorastaliśmy i opuszczaliśmy rodzinny dom przy ul. Polnej, zawsze mogliśmy liczyć na pomoc matki. W tych niełatwych przecież czasach, ilekroć zwróciliśmy się o pomoc, nigdy nam nie odmówiła.

Dom

Fridek: Przeprowadzka do Sztolerówki wybudowanej przy ul. Polnej nastąpiła w marcu 1952 roku, w Niedzielę Palmową. Powstała jeszcze za „starej Polski”. Miyszkół tam kwatyrnik Mańka Jonek i gospodarzył. Miał trzy dziolchy i synka. Mańka pilnował Sztolerówki, gdy Ludwik z rodziną mieszkał w Gajówce. Sztolerówka budował Ludwik. Konia kupił, by zwieźć żwir. Dach domu był najpierw kryty słomą. Dopiero za okupacji pojawiła się dachówka pochodząca z rozbiórki strumińskiego klasztoru. Na każdej dachówce był jakiś napis i pieczęć. Sztolerówka nie była imponująca. Do kuchni wchodziło się z niewielkiej lauby. W kuchni na piecu zawsze stały garnce. Berta siadywała na rozłożystym tapczanie, a nad nią wisiał olbrzymi zegar. Obok kuchni była jeszcze izba, w której spaliśmy. W komórcie, do której wchodziło się z sieni wiodącej z lauby przesiadywał Ludwik. Kurzył w niej, majstrował albo spał. Do chlewa wiodło również przejście z lauby. Dopiero później dobudowano do Sztolerówki osobne skrzydło. Ludwik, mój ojciec, wykopał fundamenty w glinie, załat betonem i podmurował. Było to w 1957 roku. Pomagaliśmy mu w sześciu z Alojzem Kąkołem. Robotę wykonaliśmy w ciągu jednego popołudnia. Przybudówka była gotowa w 1959 roku.

Wojna

Fridek: Jak Niemcy wylżyli do Studzionki mioteł siedem lot. Dobrze to pamięntom. Czołg jechoł polem, naroz stanął, a z niego wysiadło dwóch wojoków. Wyglondali jak kuminiorze w czarnych mundurach. Poglondali kaj som i nawrócili, bo nikaj dali nie było już chałpów. Jak wchodziły Rusy w 1945 roku wszyscy siedzieli u kuzyna w piwinicy, a mnie ostawili samego na gospodarstwie. Rano wylżyli my z ojcem z piwnicy i szli nałutrować zwierzynta. Ledwo my tam doszli, zaczęła się we wsi strzylania. I stary Sztoler, mój ojciec, mnie zostawił. Biegiem polecioł przez pola do dom.

Od lasa sześć Rus koło Rusa, cała masa, jeden od drugiego z dziesięć metrów. Kiedy przechodzili koło nas jeden z nich rzucił na płot zajęcia, którego rozerwała mina. „Chadziaj kuszej” – zakrzyknął. I wtedy stary uciyk. Leciał pedzieć, że Rusy idom. Pamięntom, że wpadli do chałpy – a byłech w ni som – wołali „Herman, Herman”, i po-otwierali wszystkie szufłody jakie były. Piywszy Rus wpod, ryknął „German” i zaś prze-skoczył gibko przez płot. Musieli iść w rownym szeregu. Jak niy kula w łeb.

Nie zdawołem se sprawy co to ta wojna. Ale zapamiyntołem tego Rusa w szmacianych cholewach. Nastypnego dnia przyszła reszta. Ujkowi kaj się wszyscy ukrywali jedyn Rus łapnot skrzynia cygar, którym on czynstował wyzwolicieli. Wieczorem ojciec sebuwoł oficerki, na sztywnej cholewie i z białym kantem. Naroz do chałpy wpod Rus, kierymu zaroz wpadło to w oko. „Chadziaj, dawaj, dawaj” – rozległy się krzyki. Ludwik musiał oddać mokre, oblepione gliną saperki, w których ledwo co zdążył przyś do dom. A Rus poszeł na Berlin w ojcowych szczewikach.

Ledwo co minęła wojna i nadeszli Rosjanie, ojciec znowu chodził z bronią. Był sołtysem. Na drzwiach domu mieliśmy napisane „tu żywiot gołowa sieła”. Niedługo pozo-stał tym sołtysem, bo awansowali go na gajowego. Sprzedawał drzewo z lasu. Konunktura była, bo zaraz po wojnie Rosjanie całą drogę z Pawłowic do Pszczyny wyłożyli ściętymi pniami.

Zdarzenia niezwykłe

Fridek: W 1958 roku piorun uderzył do linii energetycznej przebiegającej koło Sztole-rówki na ulicy Polnej. Po linii przeszedł od słupa do naszego domu z gniazdka wtyczkowego wyładowanie przeszło na lustro, które w oka mgnieniu się rozsypało w proch. Koło nas rosły wielkie topole, w które dosyć często waliły pioruny. Stary Sztole ściął je i przerobił na deski, które wykorzystał przy budowie stodoły. Niedale-

ko domu stała kryta, głęboka studnia, z której domownicy czerpali czystą i smaczną wodę. Studnie kopot Bartoszek, ochrzczony od tego czasu jako „Blicher” (gibki jak błyskawica). O mało nie zginął... Studnia była głęboka na kilkanaście metrów. Cembrowinę budowano z cegieł. Jedna z nich spadła obok głowy nie podejrzewającego niczego Bartosza. Studnia okazała się dobrą inwestycją. Doczekała się też własnej legendy. Dobiegały z niej tajemnicze odgłosy – jakby żyła. Huczało i bulgotało w niej na zmianę pogody. Jako „bajtle” ogromnie baliśmy się gadającej studni. Bunkier za studnią, jak go nazywaliśmy, był właściwie krytą piwnicą przeznaczoną na magazynowanie ziemniaków i buraków na zimę. Najpierw wszystko było przykrywane ziemią. Dopiero potem ojcowie zrobili brog ze słomy, bo wszystko marzło.

Życie i polityka

Fridek: Przed referendum w 1947 roku, w którym komuniści pytali ludzi czy chcą socjalizmu, w leśniczówce pojawiły się „Ubejoki” i aresztowali ojca. Wypuścili go dzień przed słynnym referendum, którego wyniki – jak się okazało po latach – zostały sfałszowane. Pedzieli mu, że mo jawnie z żoną głosować. Tak nastraszali ludzi. Komuniści nie byli pewni, czy Ludwik bydzie ich słuchot. Pamięntom, że ojciec przyszeł z heresztu cały obrosniynty. Matka była cało wystraszona, co się z nim działo. Wiedziała, że ludzie nieroz znikali na zawsze. Ale i tak w dniu referendum na płocie koło Ziebury pojawiła się zdechła kura i napis: „Kto bydzie głosował tak, bydzie wisioł jak tyn ptak”.

Leon: Kiedyś ojciec sprzedał konia gospodarzowi z Wisty Małej. Ale koń, jak to koń, doszedł do kościoła w Studzionce i ani kroku dalej. Czy ta szkapa jest tak pobożna? –zdziwił się zdenerwowany gospodarz. Koń jednak nie był wierzący. Po prostu tak go ojciec nauczył. Szedł do kościoła albo karczmy z właścicielem, czasem na pole.

Innej drogi nie znał. Uparte zwierzę ruszyło dopiero, gdy do wozu zaprzęgnięto drugiego konia, który znał trakt na Wisłą Małą.

I znowu dom

Fridek: Ludwik z wielkim trudem zagospodarowywał działkę, którą jego żona Berta dostała w wianie. Pomagała mu siostra Andzia, mieszkająca za czeską granicą, która wyszła potem za Ferdynanda Piekarczyka. Dowodem wspólnych kontaktów był motor elektryczny, jaki został przewieziony przez granicę pod sterłą drzewa opałowego. Miał zostać sprzedany, a pieniądze uzyskane z transakcji Andzia przeznaczyła na potrzeby rodziny brata. Ludwik pracował dorywczo i nieraz nie był w stanie związać końca z końcem. Ale motor był tak duży, że przez długi czas nie było na niego chętnego. Nawet wojska radzieckie zostawiły go w spokoju. Sowieccy żołdacy, znani z determinacji, nie byli w stanie wynieść maszynery z błotnistej podwórki. Dopiero w 1947 roku silnik trafił do uruchamianej fabryki w Zabrze.

Leon: Matka wspominała zawsze, że wychowanie dzieci było dla niej ciężką pracą i kosztowało sporo zdrowia. Lekkoomyślność ojca prowadziła stale do dramatów i biedy. Ale Bóg dał matce siłę i czas doczekać chwili, gdy najmłodsze dzieci dorosły i usamodzielniły się. Często się modliła o lepsze jutro dla rodziny. Ale mijały lata, a ojciec jedenastki nie bardzo chciał słyszeć o biedzie. Ludwik był typem wesołka, któremu życie przynosiło przyjemności. Umiął je zresztą sam sobie stworzyć, nie bacząc na rodzinę. Zawsze udawał, że jemu niczego nie brakuje – a przecież były to trudne powojenne lata, w których panował głód, a ludzie byli pełni rozterek. Starsze dzieci wychowało życie. W tych trudnych czasach byliśmy zobowiązani dbać jeden o drugiego.

Hilda: Jako kilkunastoletnie dziecko często byłam wysyłana do Frysztatu, gdzie mieszkała ciotka Andzia. Działo się to za okupacji, kiedy wszystko było na kartki. W Czechach ciotka owijała mnie płótnem, które pod kurt-

ką przewoziłam przez granicę. Ale nie przypominam sobie, byśmy nie mieli czego do ust włożyć. Kiedy ojciec był leśniczym mięsa mieliśmy dosyć. Kaczek, zajęcy upolowanych w lesie nie brakowało. Nawet nauczyciele przychodzili do nas po łowną zwierzyinę. Hołomek zawsze wybierał zające. Matka zawsze robiła dobre wino z ryżu i lukru. Ilekroć ktoś przyszedł, stało w dzbanku na stole. Przy leśniczówce chowaliśmy dwa konie, dwie krowy, świnię i mniejsze zwierzęta. Jeździło się na targ do Rybnika z proszętami. Wybierałam się tam zwykle z Fridkiem. Podróż trwała całą noc, wczesnym rankiem byliśmy na miejscu. Kłamaliśmy, gdy pytano się, gdzie jest ojciec z matką. Aaa, gdzie poszli – zapewnialiśmy. Świnie były ładne i gładkie, dlatego sprzedawaliśmy je bez trudności. Prócz tego handlowaliśmy ziemniakami i zbożem, które ludzie kupowali dla siebie i inwentarza. Jesienią jeździliśmy z ziemniakami i kapustą na Paruszowiec. Kiedy ukończyłam szkołę w Studzionce, powołano mnie do Służby Polsce. Ale jako najstarsza z rodziny, nie musiałam do niej wstępować. Pozostałam w domu i opiekowałam się młodszym rodzeństwem. Już jako kilkuletni brzdąc chodziłam na zakupy wyręczając w tym rodziców. Wcześniej robił to ojciec. Kupowałam wszystko – od jedzenia przez ubranie po buty dla rodziny. Materiał na mundur ojcu nabyłam w Żorach. W drodze powrotnej ze szkoły zaopatrywałam się w chleb i inne potrzebne produkty. Odzież najczęściej kupowaliśmy w Strumieniu. Moja matka Berta nigdy nie była w sklepie...

* * *

Było ich jedenastu. Każdy do tej pory z biciem serca przejeżdża obok Polnej i rodzinnego domu. Antoni z Brzeźc, Ludwik junior z Ligoty, Sławek z Goczałkowic, Hilda z Jastrzębia, Krysia i Tila ze Strumienia, Helena i Aniela z Niemiec, Jadzia z Wisły Wielkiej, Leon z Wodzisławia... Niebo sięga ziemi właśnie tu na Polnej – najskromniejszej z drózek. Wujek Fridek z Grabowni już tam doszedł. Polną prosto do nieba.

Żywot Ślązaka pocziwego

Rzecz o gasnącym pokoleniu

Jan Lazar urodził się na pograniczu dwóch śląskich światów – pruskiego i cesarskiego („prusoki” i „cesaroki”). Wisła Wielka należała do Śląska pruskiego. Zarzecz, do którego często chodził, leżało tuż za rzeką Wisłą, na Śląsku Cieszyńskim (dawniejsza monarchia austriacka). Trzeba było minąć łąkę i grobel. Potem przejść skrótnymi, mostami, drózkami do kościoła albo karczmy, bo tych w Zarzeczcu nie brakowało.

— *Pamiyntom jak oni tam na Zarzeczcu jakiś wielki świynto odprowiali* — opowiadał mój dziadek. — *Jo też tam był i dużo Wiślan tam było, bo my tam czynsto do kościoła chodzili. Bliżyj my mieli. Gibcyj sie szło, bo my tam po wólkach miyndzy stowami na skróty chodzili. Wielki świynto to ta mieli, pamiyntom. Wiela ludzi... Wiela tych strażaków stymi szprycami... Pełno tego było. Najprzód szli piyknie z muzykom do kościoła. A umundurowani fajnie, pierucha, wszyndzi tak... A jak wyszli z kościoła, muzyka zaś zaczana grać... Jo ci powia my ta stoli skraja, ale tak grali... I zaś z tom muzykom szli do karczmy u Jurgi, i ta grali aż do rana. A my jeszcze długo stoli na zarzec-kim moście i słuchali.*

Wielki zegar akurat zatrzymał się na trzeciej i dziadek przerywał opowiadanie, by poskarżyć się na zawodność czasomierzy. Babka Jadwiga przyniosła kołocz.

— *W tej drugi karczmie u Krzypka, co kosek dali stoła, ta też była muzyka* — ciągnął dalej dziadek Lazar. — *Nowo wybudowane całe to ta było i ta też się zbiyrali, ale nie było to tak wielki jak u Jorgi. Tych izbów tam było, a jeszcze kwatyr miot na boku. I najwyk szo muzyka tam była. Oni tam na cesarskim jak mogli to ino grali. I piyknie grali. Tam zawsze była muzyka...*

We wspomnieniach dziadka najczęściej przewijała się postać księdza Migdałskiego, pierwszego proboszcza Wisły, po uzyskaniu własnej parafialnej niezależności. Wiślanie od wieków – mimo że mieszkali w trzykrotnie większej miejscowości – należeli do kościoła w Brzeźcach. W 1925 roku odłączyli się od

parafii w Brzeźcach w atmosferze wielkiej niezgody.

Dziadek Jan dorastał w tych czasach. Miał wtedy dziewięć lat. Należał tak jak większość młodzieńców do KSM-u, katolickiego stowarzyszenia. Zebrania odbywały się na probostwie, w największej i najbardziej okazałej sali. Młodzież znalazła wspólny język z postępowym proboszczem. Migdalski, jak to mówił dziadek, był „do ludzi”. Nie unosił się ponad. Odpowiadał na pozdrowienia. Lubił spacerować po Wiśle i rozmawiać z parafianami. — *On się staro! o to i on to trzyma!* — mawiał o działaniach „stowarzyszeniowych” księdza Migdalskiego.

Później tylko ksiądz Ernest Bijok z Brzeźcach zaszkarbił sobie przychylność dziadka. Podczas duszpasterskiej kolędy, brzeski farorz przychodził do Lazarów... pograć w karty. Jeszcze przez długie lata po śmierci księdza Bijoka pamiątkę jego pobytu otaczano należytą czcią.

Ale po kolei. Kiedy pisałem monografię parafii w Brzeźcach prosiłem dziadka, by opowiedział mi o ówczesnym szkolnictwie w Wiśle Wielkiej.

— *Na wiyrchu po jednej stronie były kwatery dlo nauczycieli* — opisywał szkolny gmach. — *A na spodku, po drugi stronie schodów, były biura. Na wiyrchu miyszkol Filipowski. Ustympy były na dworze. Starsze klasy uczyły się na farze, w taki wielki sali, zaroz jak się wchodziło, kaj były zebrania. Klasy były sztyry. Dwie na spodku i dwie na wiyrchu. Wszyscy uczyli się na ósmo. Rachunki roztomaite. Religii uczył w szkole ksiondz Migdalski. Tyn kierownik Filipowski był z Warszawy. Była tam też jeszcze nauczycielka ze Suszca. I nauczyciel Janosz z Pszczyny. Filipowski miyszkol na wiyrchu i jo mu czyścił, robił wszystko. I przodzi zech wszystko porobił, a potem szel do klasy się uczyć. Ty był rychtyk fajny rector.*

Dziadek Jan był pojętnym uczniem, bo szybko został pomocnikiem nauczyciela i kierownika szkoły Józefa Filipowskiego. Pomagał w pracach gospodarskich, czyścił buty. Przy-

nosił mleko od gospodarzy albo jedzenie. Uwielbiał rachunki. Liczenie nie sprawiało mu nigdy kłopotów. Dlatego został cieślą, a później pomagał w nauce swoim córkom, których czasem przerażały matematyczne zawłości.

Szkoła w Wiśle Wielkiej, którą zapamiętał mój dziadek, położona była obok kościoła. Zbudowano ją w 1880 roku. Mieściły się w niej cztery sale lekcyjne i mieszkanie kierownika z kuchnią. Dwie klasy umieszczone były na piętrze, dwie na parterze. Na samej górze mieszkali kierownik szkoły i nauczycielka ze Suszca. Sekretariat szkoły mieścił się na parterze po przeciwnej stronie schodów. W szkole mieszkał do chwili ukończenia probostwa ksiądz Migdalski. Zajmował tu mieszkanie kierownika szkoły. Po ukończeniu probostwa w zamian prowadzono tam naukę religii starszych klas. Na parterze szkolnego gmachu była kuchnia, w której wynajęta służąca przygotowywała kierownikowi i nauczycielstwu posiłki.

— *Jak kto z nos miał urodziny w klasie to doł tej co warzyła na harbata, a ona połała do gorczków tym wszystkim co się nazbierali* — wspominał Jan Lazar.

Przeglądając szkolne świadectwo dziadka dziwię się, że nie kontynuował nauki w pszczyńskim gimnazjum. Ale było to chyba niemożliwe. Matka zmarła mu wcześniej. Był więc pólsierotą. Wychowywały go starsze siostry. Jakoś wiązali koniec z końcem. Ale pracować na gospodarstwie musieli.

Katolicką publiczną szkołę powszechną w Wiśle Wielkiej ukończył mój dziad 27 czerwca 1931 roku. W roku szkolnym 1930/31 zakończył naukę w ósmym oddziale tej szkoły. A oto jego stopnie: ze sprawowania się bardzo dobry, z nauki religii bardzo dobry (widać liczyła się przynależność do organizacji katolickich), z języka polskiego i języka niemieckiego dobry, z rachunków z geometrią bardzo dobry, z przyrody, geografii, rysunków, śpiewu, ćwiczeń cielesnych – dobry, ale za to z historii, robót ręcznych mój dziadek mógł pochwalić się ocenami bardzo dobrymi. Coś z tego zostało jego dzieciom i wnukom.

Potem dorastanie. W latach 30. ludzie szybko dojrzewali. Groźba kolejnej wojny światowej nie dawała nikomu spokoju. Ludzie byli nadto rozpolitykowani, interesowali się wszystkim, co dzieje się na świecie. Politykę traktowali niemal jak religię. Nie mieli do niej dystansu. W tych czasach dorastał mój dziadek. Jest takie zdjęcie dwudziestokilkuletnich młodzieńców przed tzw. stawką. Siedzą w gromadzie przy długim stole nakrytym białym obrusem, a przed każdym solidny kufel piwa. Na następnej fotografii chłopcy już stoją z tymi pełnymi ciągle kufłami. Jest wśród nich Jan Lazar. Widać na jego twarzy zacięcie. Kawalerskie, wesołe czasy się kończą.

Pocztówka z niewoli

Nasz dwudziestoparoletni bohater z Wisły Wielkiej, tak jak wielu innych śląskich mężczyzn, trafił na front drugiej wojny światowej. Ukrywał się przed wojskiem, bo czuł się Polakiem. Więziono go parę miesięcy w Gliwicach. Nie pomogło. Został wcielony do Wehrmachtu. Przymusowo i wbrew jego woli. Przed sądem wojskowym oświadczył, że po

niemiecku nie rozumie ani słowa (co było tylko częściową prawdą). Nie pomogło. Został żołnierzem Wehrmachtu.

Początkowo wojskowa służba przebiegała mu spokojnie. Na południu Francji i jej winnicach. Dziadek trafił nawet do Paryża i był zachwycony jego kawiarnianym klimatem. Najbardziej zaimponowały mu schody do pięknego kościoła na wzgórzu (Sacre Coeur), o którym nie zapomniał do końca swych dni. Wspólnie z innymi kolegami ze Śląska chodził na wino do jednej z restauracji, w której pracowała dziewczyna z Katowic. Chłopcy nie ukrywali zauroczenia nią.

Dopiero potem zaczął się dla niego wojenny dramat. Tak, jak byli, z ciepłego południa Francji, przetrzucono ich na front wschodni. Nim nadszedł potrzebny ekwipunek, wymarzyła połowa armii. Warunki frontowe były trudne, przejściowo Jan znalazł się w berlińskim szpitalu, bo nieopatrznie zjadł zmarznięty kawałek smalcu. Dzielił nim współtowarzyszy niemiecki oficer. Mój dziadek nieopatrznie miał przy sobie nóż, którym pokrojono skutą w bryłę lodu tłuszcz. Po krótkiej kuracji walczył jeszcze przez pewien czas na froncie



położonym na północ od Moskwy (pozostał pamiętnik z wypisanymi kredką rosyjskimi nazwami i adresami). Kiedy front zbliżał się do Polski dostał się do radzieckiej niewoli. Po wojnie był w obozie, w którym przebywała większość Ślązaków wracających do domu.

22 lutego 1945 roku, kiedy wyzwolona została Wisła i inne przyległe do Pszczyny miejscowości, jego siostra Paulina napisała krótki list, adresowany przez Radziecki Czerwony Krzyż do Moskwy:

„Kochany Bracie! Najprzód posyłamy Tobie serdeczne pozdrowienie! Wczoraj my otrzymaliśmy od Ciebie tę pocztówkę i też bardzo my się z tego uradowaliśmy. Mówił nam też ten Łączan, że tam żyjesz. My tu są zdrowi i mamy się dobrze. O Pawle nie ma do dziś żadnej wiadomości. Nie wiemy, czy tam gdzie żyje. Już przyszło bardzo dużo do domu, Józef i Franc. Golko wi też. Łucyja się wybrała do Gołki, a u nas mieszka Paulina. My Cię już też bardzo wyglądamy. Tak posyłamy Ci jeszcze raz pozdrowienie. Twoja Rodzina i wszyscy domowi.”

Jan powrócił do domu rok później. Jego brat, Paweł, nie. Spoczywa na cmentarzu pod Berlinem. Zginął w czasie bombardowania miasta przez aliantów.

Nie wiadomo, kim był mieszkaniiec podpszczyńskiej Łąki, który przyniósł pomyślną wiadomość, że ukochany brat Pauliny, Jan Lazar żyje. Ale nawet ta krótka impresja wystarczy za szerszą opowieść o życiu obozowym dziadka. O wojnie wypowiadał się niechętnie. Unikał także tematu łagrów i życia, jakie toczył w rosyjskiej niewoli. Było to niebezpieczne. A kiedy było to możliwe, dziad nie chciał w to uwierzyć, a może też nie miał już sił. W końcu każdy 80-latek chce zapomnieć o przykrych wspomnieniach. Pozostało jednak kilka dokumentów i nagranie, którego dokonałem jako kilkunastoletni brzdąc.

6 lipca 1946 roku Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach wydało za-

świadczenie nr 04601. „Ob. Jan Lazar urodzony dnia 29.9.1916 miejscowość Wisła Wielka, powiat Pszczyna, województwo Śl. Dąbrowskie zamieszkały w Wiśle Wielkiej pow. pszczyński wojew. Śl. Dąbrowskie został zwolniony z Obozu Pracy w Złotowie, województwo pomorskie i udaje się do Wiśły Wielkiej, pow. Pszczyna, wojew. Śl. Dąbrowskie. Wyżej wymieniony po przybyciu do miejsca zamieszkania winien zameldować się w ciągu 24 godzin w tamtejszym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego”. Dziadek Jan został zwolniony z obozu pracy w Złotowie, który zawsze wspominał z trwogą. Nie chciało się mu pomieścić w głowie, że po powrocie z „Rusyi” spotka Polaków, „Ubejeków”, którzy swoich będą traktowali jak obywateli drugiej kategorii. Przesłuchania. Druty kolczaste. A przecież z taką nadzieją wracał z Rosji, w której dość się nacierpiał.

Książeczka Wojskowa Jana Lazara wydana **28 grudnia 1949 roku:**

1937 PKK Pszczyna Kat. A.

6 XII 1940 wcielony do armii niemieckiej, piechota, strzelec

20 I 1942 chory

20 VI 1942 komp. budowl. cieśla

XII 1943 stolarz maszynowy

15 I 1945 komp. strzelec

2 II 1945 niewola radziecka

1 VIII 1945 zwolniony

28 XII 1949 przeniesiony do rezerwy

Książeczka inwalidzka, strona druga: „Utrata lewego palca i 2-go palca lewej [nogi] po odmrożeniu”. W 1956 roku zdecydowano, że ogólna utrata zdolności zarobkowania wynosi 25 procent. Mimo to mój dziad pracował ciężko do końca swoich dni na gospodarstwie.

Tych kilka powyższych dat znakomicie charakteryzują pokolenie Ślązaków, którym przyszło żyć między dwiema wojnami. Nikt nie był i chyba nikt już w przyszłości nie będzie nastawiony na tak trudne dziejowe wy-

bory, jak oni – Polska, Niemcy, Rosja Radziecka, PRL i znowu wolna Polska, w którą do końca nie chcieli uwierzyć. Doświadczenie życiowe, jakie ze sobą nieśli, było przegromne, nieraz zbyt ciężkie jak na zwykłego śmiertelnika. Nauczyło ich jednego – ostrożności. Dostrzegania rzeczy małych, pozornych, ale ważnych. Każdej chwili. I drugiego człowieka.

Ale ponad tym wszystkim była rodzina, którą kochali, choć wychowanie jakie otrzymali nakazywało im powściągliwość w słowach, kochali czynami. Każdym spojrzeniem, gestem strudzonych dłoni. Spojrzeniem zmęczonych życiem oczu, uśmiechem i radością z rzeczy błahych.

Mogłem zawsze przyjść do dziadka – po kolejną opowieść. „Fajnie, żeś przyszedł. Nie zapomniot. Dziynkuja ci. A przydź zaś...” Ta śląska melodia zawsze będzie za mną płynąć.





projekt: ROMAN NYGA

Posłowie

Czy chcemy, czy nie – poddani jesteśmy władzy przeznaczenia. To ono rządzi czasem i przestrzenią naszego życia. Ono wybiera chwilę narodzin i moment śmierci, zakreśla dla życia miejsce na ziemi, kieruje po takich a nie innych ścieżkach.

Jednych nazywa swoimi wybrańcami i obdarza życiem długim i szczęśliwym, drugich – ofiarami, wyznaczając dla ich burzliwego życia niekończące się pasma nieszczęść i cierpienia.

Jednym urządza życie wśród pięknej przyrody, w czystym i zdrowym środowisku, w spokoju, gdzieś wśród lasów i jezior, innym każe żyć w przeludnionych blokowiskach, w miejscach spustoszonych przyrodniczo, niejednorodnie etnicznie i kulturowo, niespokojnych. Jak tu, na tym „przeklętym” Górnym Śląsku.

Jakie tu los ludziom wytyczył ścieżki życia? O tym właśnie opowiada ta książka. O ludziach stąd, którzy po ścieżkach górnośląskich szli w różnym okresie, poczynając od początku XX wieku. O ludziach całkiem zwyczajnych, których autor jako dziennikarz – a z wykształcenia historyk – napotykał przypadkowo podczas swych wędrówek reporterskich. Ale i o ludziach nietuzinkowych, których wyszukiwał celowo, aby ukazać ich niezwykłość i niezwykłość ziemi, na której wyrosli i której służyli.

Ta książka to 34 świeże spojrzenia młodego reportażysty, zdeteminowanego scenariuszem własnego losu, który podjął próbę utrwalenia losów innych, a przez to zachowania okoliczności przeszłej i teraźniejszej rzeczywistości. Dodać należy, że ze względu na rozległą przestrzeń czasową (prawie wiek!), różnorodność tematyczną, a przede wszystkim świadomie kreowaną surowość formy pisarskiej zastosowanej w kreśleniu sylwetek bohaterów – podjął próbę udaną.

Wybija ona z dość obfitego źródła o nazwie „Rodnia”, które załętniło po raz pierwszy w 1992 roku ukazaniem się gazety trzech gmin Bierunia, Bojszów i Łędzin pod tym samym tytułem i ukazaniem się niepozornej książki Alojzego Lyski „O tym, jak dwa huncwoty pszczyńskie Eliasz i Pistulka”.

Jest więc ta książka i świadectwem uznania wartości, jakie pomieszczono w programie ideowym tego cenionego wydawnictwa, formą deklaracji, że „swoją ziemię musimy opisywać sami”. Ogromnie to krzepiące i budzące nadzieję na przyszłość, bowiem autor jest przedstawicielem młodego pokolenia twórców wywodzących się z ziemi pszczyńskiej zafascynowany jej historią i przeżyciami mieszkańców – stąd wszedł „ścieżkami śląskimi” chyba na właściwą drogę twórczości. Wierzyć należy, że przeznaczenie – ten władca czasu i przestrzeni ludzkiego życia – pomoże mu iść za głosem swego powołania i trzymać się obranej drogi.

Alojzy Lysko

grzegorz sztoler

rocznik 1973, dziennikarz i historyk, współpracownik miesięcznika „Śląsk”, pracownik tygodnika „Nowe Echo”, aktualnie archiwista „Dziennika Zachodniego” i „Trybuny Śląskiej”, stypendysta Ministra Kultury RP, autor kilku książek z zakresu historii regionalnej (m.in. monografii Brzeźca, Ornontowic), własnym sumptem wydał książkę poświęconą swoim dziadkom pt. „Berta i Ludwik - wspomnienia rodzinne”, od kilku lat wędruje śląskimi ścieżkami i zafascynowany regionem, kulturą i ludźmi tworzy własną wizję śląskiego świata.



TIGRAN VARDIKYAN

Grzegorz Sztoler | Ścieżki śląskie

Ta książka to 34 świeże spojrzenia młodego reportażysty, zdeterminowanego scenariuszem własnego losu, który podjął próbę utrwalenia losów innych, a przez to zachowania okrucichów przeszłej i terażniejszej rzeczywistości.

Albiny Lysko

